

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

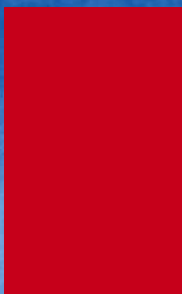


FOT. JENS KALAENE/AP

**RAMMSTEIN
I #METOO**
Raport zza sceny:
znudzony seksoholik,
rosyjska łączniczka
i pigułki gwałtu



WYSOKIE OBCASY
**Proszę pani, a jak
mnie aresztują?**
Prawniczki uczą
o demokracji



GAZETA

wyborcza.pl
wyborcza
WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Tacy fajni zamordyści

Jak wcisnąć ludziom
dyktaturę,
żeby się nie zorientowali

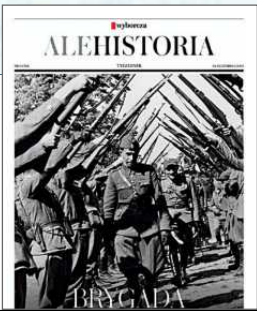
RYS. MARCIN BONDAROWICZ

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**Brygada
Świętokrzyska**
Do kolegów z Niemiec
strzelamy na niby

**Ach, ten wściekły
hipopotam**
Litwini zazdroszczą nam
Piłsudskiego



**Polacy są za mięcky
i nie dość sumienni**
Nowy raport
o Zagładzie

Karolina Słowik

Już nie uciekniesz ze szkoły Kaczyńskiego

Koniec roku szkolnego to nie tylko desperacki wyścig o miejsce w liceum i dyskusja o paskach czerwonych, biało-czerwonych czy też „komuszych”, jak chce osławiona kuratorka oświaty Barbara Nowak. Zbliżamy się do końca czerwca również w atmosferze coraz bardziej gęstej i dusznej.

Rodzice i dzieci na potęgę uciekają z przeciążonego, opresyjnego systemu, więc PiS grodzi drogę ucieczki: wymyślił centralizację oświaty niepublicznej. Na celownik wziął wszystkie szkoły prywatne, przyjazne edukacji domowej, społeczne. Jeśli nie podporządkują się woli kuratora, będą mogły zostać zlikwidowane. Chodzi o wykonanie „zaleceń pokontrolnych”. Z tym że kontrola może być niezapowiedziana, od zaleceń nie ma odwołania, a wykreślić szkołę z ewidencji będzie można nawet w trakcie roku szkolnego. Jeśli dyrektor nie okaże uległości wobec kuratora powołanego przez ministra, jego uczniowie mogą zostać na lodzie z dnia na dzień.

Wszystkie szkoły prywatne, przyjazne edukacji domowej, społeczne będą mogły zostać zlikwidowane, jeśli nie podporządkują się woli kuratora

To nie tylko krok do centralizacji. To krok do mrożenia wszelkich przejawów samodzielności i realizowania autorskich pomysłów szkół, które są poza systemem.

W ciągu 10 lat liczba uczniów i uczennic w szko-

łach niepublicznych się podwoiła. Szkoła w Chmurze obecnie ma 19 tys. podopiecznych. Od września będzie ich aż 60 tys.! We wrześniu rok temu w całej edukacji domowej uczyło się 30 tys. osób. Przyrosty są geometryczne. PiS to widzi i rozumie, co rodzice i dzieci sądzą o publicznej oświacie.

– Nowe przepisy będą potężną bronią w rękach kuratorów. To furtka do likwidacji szkół niepublicznych, którą zamierzano uchylić już w „lex Czarnek”. Te same przepisy próbuje się wprowadzić kuchennymi drzwiami, bez jakiegokolwiek konsultacji – ocenia Zygmunta Puchalski, prezes Społecznego Towarzystwa Oświatowego.

W ostatnich latach skupialiśmy się na bulwersujących próbach podporządkowania dyrektorów szkół resortowi, na zastraszaniu nauczycieli, na uwstecznianiu programów, na usuwaniu ze szkół organizacji pozarządowych przekazujących treści niemiłe władzy, na sekowaniu uczniów LGBT+, kontestujących czy po prostu wylamujących się z postpruskiego schematu. Ale wszystko zaczęło się od tego, że PiS zarał gimnazja, a wraz z nimi m.in. nauki przyrodnicze czy wyrównywanie szans między miastem i wsią. Badacze z UW mówią, że gimnazja były naszym „cudem edukacyjnym”, dzięki nim ścigaliśmy się z Singapurem. Dzisiejszy bezprecedensowy odpływ dzieci i młodzieży z systemu to finalny efekt kumulujących się zniszczeń wywołanych właśnie tym, by przywołać proroczą powieść s.f. Edmunda Wnuka-Lipińskiego, mordem założycielskim.

PiS ma na to receptę: zrobić tak, żeby nie było dokąd uciec. Jak mówią działaczki edukacyjne: „Spuszcza atomówkę na niepubliczne”. ●

Andrzej rysuje



Wielka Brytania Nadeszło lato



W najdłuższy dzień w roku do Stonehenge dziesiątkami tysięcy zjeżdżają wyznawcy New Age, neopoganie różnych wyznań, w tym kultu Wicca, oraz druidzi, czarownice, pasjonaci historii oraz zwykli turyści. Bilet kosztuje 21 funtów, a wycieczka – w cenie przejazdu z Londynu, zwiedzanie okolicy i kolacja w średniowiecznej wiosce – 100-200 funtów. **Więcej na Wyborcza.pl/zdjecia**

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Cytat dnia

Chiny nie rzucą wyzwania i nie będą dążyć do zastąpienia USA



XI JINPING

do Anthony'ego Blinkena. Ich spotkanie to wyraźna próba ocieplenia stosunków, bo lecąc do Pekinu, amerykański sekretarz stanu nie liczył na spotkanie z samym przewodniczącym

Lovejoy Beatlesi z „Minecrafta”

Kiedy wiosną kwartet Lovejoy Kruszał w pierwszą europejską trasę, w Polsce zaplanowano jeden występ w mieszczącej 300 osób stołecznej Hydrozagadce. Bilety sprzedały się w minutę, więc w kwietniu Brytyjczycy zagrali dwa koncerty – w wypełnionych po brzegi klubach Stary Maneż (Gdańsk) i Stodoła (Warszawa). Na widowni amok, nowa beatlemania, pisk fanek tak przeszywający, że zagłuszał zespół. Nie inaczej pewnie będzie na rozpoczynającym się właśnie Open'erze, o czym będą się mogli przekonać ci szczęśliwcy, którzy wcisną się pod Tent Stage.

Jak to możliwe, że nieopierzony zespół, który powstał w 2021 roku i ma na koncie ledwie kilka singli, budzi takie zainteresowanie? Odpowiedź brzmi: Wilbur Soot. To pseudonim Williama Golda z Suffolku, lidera grupy, sympatycznego 27-latka, który miał oddaną, masową publiczność, zanim zespół zagrał pierwszą próbę. Jest streamerem na Twitchu z 5 mln followersów, ma też równie popularny kanał na YouTube. Po polsku: gra w gry wideo, głównie w „Minecrafta”, i trans-



mituje to online, przy okazji monologując o życiu i całej reszcie albo gawędząc ze znajomymi. Ma wyobraźnię i poczucie humoru. Sprawia wrażenie fajnego gościa, więc dzieciaki lubią jego towarzystwo.

Muzyką interesuje się nie od dziś. Podczas streamów zdarzało mu się pobrzdakać na gitarze akustycznej i zaśpiewać smutny kawalek o złamanym sercu albo piosenkę komediową. Uzbierały się z tego dwa mini-albumy w serwisach streamingowych. Prawdziwy zespół to nowe doświadczenie, ale przyjęcie, z jakim spotykają się Lovejoy wszędzie, dokąd zawędrują, każe przypuszczać, że William Gold będzie miał coraz mniej czasu na wielogodzinne układanie kolorowych klocków. ●

Jarosław Szubrycht

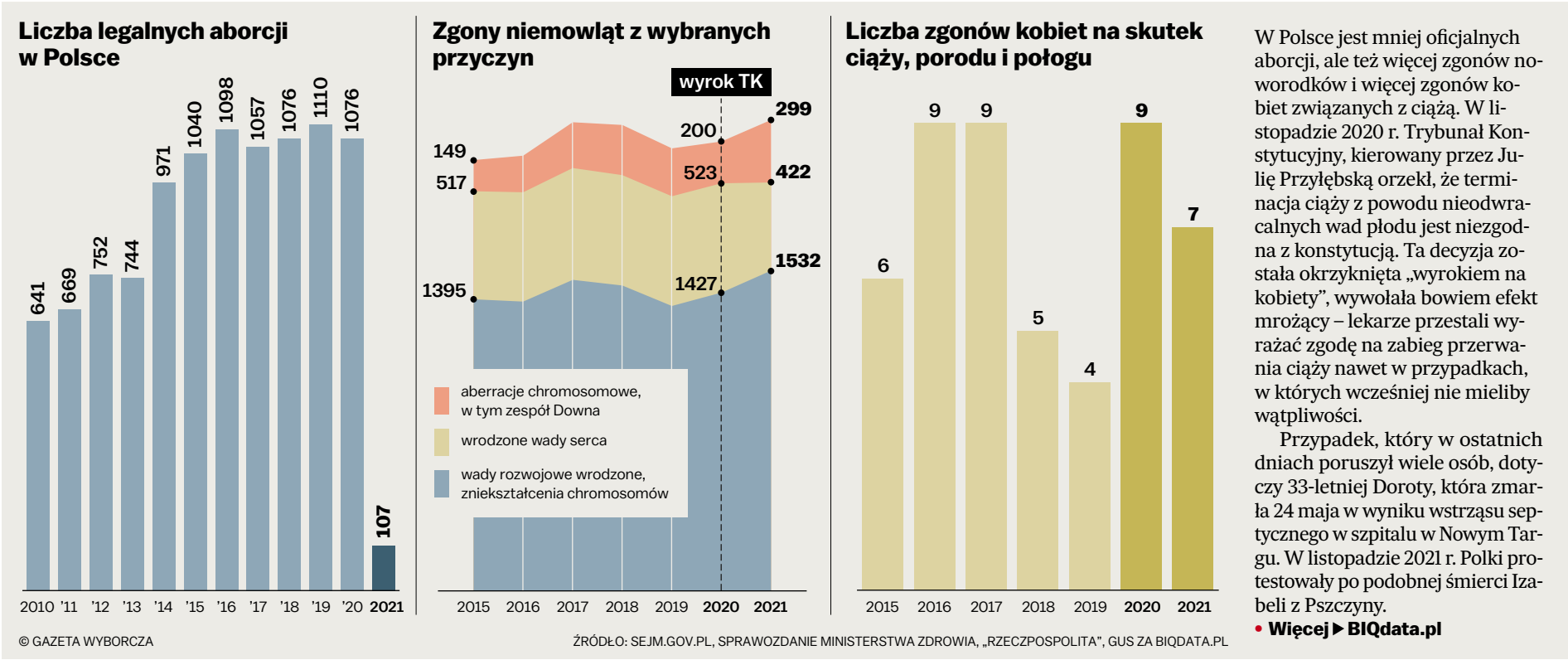
Pociąg do wakacji



ZA
150
ZŁ

można pojechać koleją z Pragi do Rijeki w Chorwacji. Za 500 zł można mieć cały przedział sypialny. Benzyna na tej trasie kosztowałaby 330-400 zł. Czesi z RegioJet chcieli uruchomić podobne połączenia z Polski – do Chorwacji i zimą w Alpy, lecz nie doczekali się urzędowych zgód.

Jak działa aborcyjny wyrok Trybunału Przylębskiej
Mniej urodzeń, więcej zgonów



Zaczyna się Kongres Prawników Polskich

Koniec z sędziami równymi i równiejszymi

Chcemy zbudować zupełnie nowy system sądownictwa. Polska będzie przecierać szlaki w Europie

Markiewicz, Przymusiński

WALDEMAR PAŚ: Czego panowie się spodziewają po sobotnim Kongresie Prawników Polskich?
PROF. KRYSZTOF MARKIEWICZ: Przełomu na miarę 4 czerwca 1989 r.

Skąd ten optymizm?

K.M.: Bo wyjdziemy naprzeciw temu, czego domagali się ostatnio protestujący w Warszawie, w Poznaniu i będą się domagać we Wrocławiu 24 czerwca. Chcieli powrotu państwa prawa – a to umożliwi pakiet pięciu ustaw na prawy wymiaru sprawiedliwości.

PROF. BARTŁOMIEJ PRZYMUSIŃSKI: Chcemy, aby przyjęły go wszystkie partie, które demokrację biorą na serio.

K.M.: Nie chodzi o powrót do tego, co było, ale o zbudowanie zupełnie nowego systemu sądownictwa. Polska będzie przecierać szlaki w Europie, jeśli chodzi o zarządzanie sądownictwem.

B.P.: Możliwe są sądy sprawiedliwe, praworządne, ale też sprawne. Od czasu objęcia rządów nad Ministerstwem Sprawiedliwości przez Zbigniewa Ziobrę czas załatwiania niektórych spraw, np. o podział majątku przed sądem rejonowym, wydłużył się o 80 proc. Trwały czasami trzy-cztery lata, teraz pięć-sześć lat.

W Polsce upadła nie tylko praworządność – leżymy też w ochronie zdrowia, praw kobiet, edukacji, sięje się nienawiść wobec cudzoziemców, osób LGBT+...

K.M.: Dochodzimy do momentu, kiedy ludzie mówią: po co nam takie państwo, które nie działa, które nie chroni dzieci, kobiet, słabszych, biznesu. Na Kongresie damy obywatelom propozycję uporządkowania państwa.

A jeśli nie będą zainteresowani?

B.P.: Według zamówionych przez nas badań większość Polek i Polaków chce

praworządności. Nie godzą na to, co się dzieje w polskich sądach.

K.M.: Nawet wyborcy PiS nie akceptują reform Ziobry. Jedno to cieszyć się, że dostają 14. czy 15. emeryturę, a drugie akceptować ograniczanie praw.

Samymi rozmowami o praworządności nie posuniemy się do przodu. Bo przyjdzie październik i nawet jeśli siły demokratyczne wygrają, to dopiero zaczniemy debatę? My już musimy być przygotowani, jak Joe Biden, który w pierwszych godzinach prezydentury podpisał kilkadziesiąt dekretów.

Na Kongresie proponujemy projekty ustaw o sądach powszechnych, Sądzie Najwyższym, KRS, Trybunale Konstytucyjnym i prokuraturze oraz przedyskutujemy, jak do nich doprowadzić.

Kolejne pokolenia muszą wiedzieć, jakimi zasadami się kierowaliśmy, czy można pozostać miłym i sympatycznym, gdy ktoś dokonuje gwałtu na konstytucji, doprowadza do zgonów ludzi na granicy, kobiet w szpitalach itd. Musimy wyznaczyć standardy.

Już słyszę cmokanie niektórych prawników: no wiesz, ale to nie jest takie proste itp. Dołączą politycy, że w imię zgody narodowej to trzeba jakoś rozsądnie...

K.M.: Jeśli w imię zgody nakleimy plasterka na ropiejącą ranę, to prędzej czy później pojawi się gangrena. Jak możesz siedzieć za stołem sędziowskim, skoro złamałeś konstytucję, by zostać sędzią i mówisz, że nic się nie stało?

B.P.: Żeby było jasne, nie chcemy nikogo ukrzyżować. Nie chodzi o kary, ale o to, aby nikt nie czerpał korzyści z bezprawia. Kary powinny spotkać jedynie tych, którzy aktywnie niszczyli państwo prawa.

K.M.: Jeszcze raz trzeba przeprowadzić konkursy na stanowiska sędziowskie. Podstawowym standar-

dem europejskim jest transparentność i konkurencyjność.

Nie mamy złych zamiarów wobec młodych ludzi, czyli byłych asesorów, którzy zostali sędziami. Lecz trzeba ocenić tych, którzy połaskili się na awans, by mieć pensję o 1 tys., czy 30 tys. zł wyższą, jak „elita” nakładająca togi sędziowskie w Sądzie Najwyższym.

Co zmienią wasze ustawy?

B.P.: Główny ciężar kierowania działalnością sądów przejdzie z Ministerstwa Sprawiedliwości do Krajowej Rady Sądownictwa. Trzeba odseparować ministra sprawiedliwości od sądów.

K.M.: Obecne rozwiązanie jest niezgodne z konstytucją i standardem unijnym. A odnowiona KRS będzie jedynym organem, który skupia trzy władze. Nareszcie nie będzie żadnego pana Ziobry czy innego równie wybitnego ministra i ich mądrości życiowych, czyli zarządzania sądami jak za czasów PZPR czy sprzed II wojny światowej.

B.P.: Wprowadzimy jednolity status sędziego – nie będzie sędziów sądów rejonowych, okręgowych, apelacyjnych, tylko sędziowie sądów powszechnych. Splaszczymy też wynagrodzenia.

To się uda?

K.M.: Dlaczego nie? Wszyscy sędziowie dźwigają tak samo trud wymiaru sprawiedliwości w Polsce. Mamy świadomość naszych przywilejów, dlatego jesteśmy bardziej wyczuleni na to, kto zostaje sędzią.

B.P.: W Warszawie nie trzeba będzie czekać czterech lat na pierwszą rozpra-



Po wyborach musimy być przygotowani, jak Joe Biden, który w pierwszych godzinach prezydentury podpisał kilkadziesiąt dekretów

wę, skoro w małym mieście zajmuje to tylko trzy tygodnie. Każdy ma takie samo prawo do sądu.

K.M.: Przez pierwszych pięć lat pracy sędziego będzie można łatwo skorygować decyzje KRS, jeśli nominacja okaże się błędem. A przez cały czas kariery sędziowie będą odpowiadać dyscyplinarnie. Osoba, której prawa naruszył sędzia, będzie mogła uzyskać status pokrzywdzonego w postępowaniu dyscyplinarnym. Będzie transparentnie, koniec z zamkniętymi drzwiami.

Przy nowej KRS będzie rada społeczna, m.in. z przedstawicielami innych zawodów prawniczych oraz organizacji pozarządowych. Chcemy ożywić udział sędziów obywatelskich, którzy zastąpią ławników, mają być lepiej opłacani niż ławnicy i mieć poczucie misji.

Prezesi sądów będą składać coroczne sprawozdania – I prezes SN w Sejmie, prezesi sądów niższego szczebla w sejmikach wojewódzkich i radach powiatów. Obywatele będą mogli się zapoznać z problemami wymiaru sprawiedliwości w swoim regionie, aby mieli poczucie, że to są ich sądy.

B.P.: Zinformatyzujemy sądownictwo, aby za jednym kliknięciem można było wysłać pozew do sądu, a sądowa korespondencja przychodziła na maila.

Chcemy, aby sztuczna inteligencja wspomogła pracę sądów. Dziś w sądzie kilkadziesiąciu referendarzy, klikając mechanicznie, wydaje nakazy zapłaty, choć w wielu krajach taką pracę wykonuje program komputerowy.

A co z mocniejszymi bezpiecznikami w konstytucji?

K.M.: Obecna konstytucja całkiem nieźle reguluje wymiar sprawiedliwości. Pod warunkiem że będą silne instytucje i ludzie będą silni. ●

• **Cała rozmowa ►** [Wyborcza.pl/magazyn. Szczegóły Kongresu i transmisja ► Kongresprawnikow.pl](#)

FOT. AP



UDAWANIE DEMOKRACJI

Zamiast munduru nosi garnitur. Jeździ do Davos, gdzie ściska się z demokratycznymi przywódcami. Nie rządzi z pomocą strachu i terroru – jak Hitler, Stalin czy Mao – lecz zręcznie manipulując społeczeństwem.

Z **SIERGEIEM GURIEVEM***
ROZMAWIA **MACIEJ JARKOWIEC**

Coś słabo z tą demokracją na świecie. Większość ludzi żyje pod butem dyktatury.

– Zależy, jak policzymy.

Definiowanie tego, co jest demokracją, a co nie, przypomina pierwsze zdanie „Anny Kareniny” Lwa Tolstoja: „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”. Wszystkie demokracje są podobne: to system, w którym liderów wyłania się w wyniku wolnych i uczciwych wyborów. Niedemokracje to wszystko inne. Są niedemokratyczne na swój sposób – mo-

gą być monarchiami, juntami wojskowymi, dyktaturami jednopartyjnymi, personalistycznymi, teokracjami itd. W skrócie określamy je wspólnym mianem dyktatur. Jeśli Indie zaklasyfikujemy jako niedemokrację, ok. 55 proc. populacji świata mieszka w takiej czy innej dyktaturze. Jeśli uznamy, że Indie są demokratyczne, proporcja się odwraca – 55 proc. ludzi żyje w demokracji.

Jak pan klasyfikuje Indie?

– Jako autokrację. Podobnie Węgry. Są dużo mniejsze, ale wśród politologów toczy się podobny spór jak ten dotyczący Indii – czy to jeszcze demokracja, czy już nie.

Wróćmy do tego wątku, jest nam w Polsce bliski, ale zacznijmy od początku. Dlaczego sytuacja jeszcze mniejszego kraju – Singapur – w dodatku sprzed wielu dekad, pomaga zrozumieć dzisiejszy świat?

– Singapur daje wzorzec i wymówkę wielu dzisiejszym dyktatorom. W pierwszym rozdziale opowiadamy o Singapurze, w drugim o Kazachstanie. Dlaczego? Bo Nursułtan Nazarbajew [prezydent Kazachstanu w latach 1991-2019] powiedział: zbuduję tu Singapur. To popularna narracja. Singapur przeszedł od biedy do zamożności, zbudował nowoczesne państwo, nie stając się demokracją, więc my też możemy tego dokonać. Au-

tokraci, łącznie z Orbánem, Putinem czy Erdoganem, dobrze znają historię Lee Kuan Yewa, pierwszego premiera Singapuru. Sprzedają jego model społeczeństwu jako atrakcyjny i próbują powielać. Ale oszukują, bo Singapur jest wyjątkowy. Spójrzmy na mapę polityczną świata – są trzy kategorie krajów wysokorozwiniętych: demokracje, monarchie naftowe i Singapur, który jako jedyna bogata autokracja nie ma ropy.

W jaki sposób – bez demokracji i bez ropy – Lee Kuan Yew stworzył zamożne państwo?

– Najkrócej mówiąc, popierał rządy prawa i walczył z korupcją. Większość dyktatorów kradnie, władzę wykorzystuje do wzbogacania rodziny i swojego otoczenia. Inwestorzy lokują kapitał w demokratycznych krajach, bo wiedzą, że chronią ich rządy prawa. W dyktaturze, gdzie nie ma niezależnego sądownictwa, inwestycja jest obciążona dużo większym ryzykiem. Mówi się, że w ostatnich dekadach dyktatorzy skutecznie przyciągają inwestycje. To nieprawda. Liczby pokazują, że Stany Zjednoczone pozostają najbardziej atrakcyjnym krajem dla inwestorów. Lee rozwinął system prawny oparty na brytyjskim. Nawet najbliższych przyjaciół wsadzał do więzienia za korupcję. Pozwolił na śledztwo w sprawie korupcji własnego syna. Inni dyktatorzy kopiują jego model

utrzymania się u władzy bez wolności, bez demokracji, ale nie odnoszą takiego sukcesu, bo łamią prawo i pozwalają na korupcję.

Nawet jeśli chcieliby z nią walczyć, w niedemokracji to trudne, bo nie ma pełnej informacji.

– Singapur jest mały, więc Lee mógł mieć na wszystko oko. Jednym z problemów dyktatorów jest brak informacji zwrotnej. W demokratycznym kraju masz niezależne media, społeczeństwo obywatelskie, opozycję. Jeśli twój minister zdefraudował fundusze, dowiadujesz się o tym. W autokracji korupcja pozostaje w ukryciu i powoli wykańcza państwo.

Nowoczesnych autokratów nazywa pan spin dyktatorami. Spin doktor to osoba kreująca wizerunek polityków. A kim jest spin dyktator?

– Zamiast munduru nosi garnitur. Jeździ do Davos, gdzie ściska się z demokratycznymi przywódcami. Nie rządzi z pomocą strachu i masowego terroru – jak Hitler, Stalin czy Mao – lecz zręcznie manipulując społeczeństwem.

Staje się celebrytą. Piszecie: Stalin był Bogiem, Putin jest marką.

– Jest nawet wódka o nazwie Putin. Myśleliśmy, że to niezależna marka handlo-



wa, której właściciele sprytnie zarabiają na popularności Putina. Tymczasem śledztwo dziennikarskie pokazało, że Putin osobiście dostaje za to pieniądze. Zasadniczą cechą nowoczesnych dyktatur jest udawanie demokracji. W demokracjach najpopularniejsi liderzy są markami, spójrzmy na Obamę czy Trumpa. Putin też chce być marką. Nie osiągnie tego przez kult jednostki. Represje również nie tworzą celebrytów. Trzeba do tego dojść inaczej.

Popularność nazywacie kapitałem. Jak się go zdobywa?
– Popatrzmy na Putina i Erdogana – pierwsza dekada rządów każdego z nich przypadła na lata boomu gospodarczego. Prospe-

rity jest jednym z najważniejszych narzędzi budowania popularności. Oprócz faktycznego stanu gospodarki ważne jest jego postrzeganie przez społeczeństwo. Nowocześni dyktatorzy, manipulując informacją, stosując ukrytą cenzurę, sprzedają narrację o swoich ekonomicznych kompetencjach. Jesteśmy lepsi od politycznej konkurencji, bo sprawnie zarządzamy gospodarką. W dyktaturach kondycja ekonomiczna państwa jest z reguły dużo gorsza, niż się wydaje obywatelom.

Co to jest ukryta cenzura?
– Taka, o której społeczeństwo nie wie. Badania pokazują, że jeśli ludzie zaczynają zdawać sobie sprawę z istnienia cenzury, popularność dyktatury spada. Więc dyktatura pozwala na istnienie niewielkiej ilości niezależnych mediów. Gnębi je różnymi metodami, żeby zmniejszać ich publiczność. Dąży do tego, aby ludzie ich nie oglądali, nie lubili, nie wierzyli im. Jednocześnie może powiedzieć – o proszę, mamy wolne media, mamy wolność słowa. W ZSRR istniało ministerstwo cenzury. Było jasne, że pewnych rzeczy nie można mówić. W Rosji przed wojną badania opinii pokazywały, że ludzie nie zdawali sobie sprawy, jak wielka jest machina putinowskiej cenzury. Została ona skutecznie ukryta. Nawet teraz, gdy zakazano używania pewnych słów – jak choćby „wojna” – państwo twierdzi, że w Federacji Rosyjskiej nie ma żadnej cenzury.

Wracając do popularności – piszecie o roli, jaką odgrywają sondaże opinii.
– Stalin ich nie miał. Nowocześni dyktatorzy chętnie z nich korzystają. Zabiegają o to, żeby społeczeństwo miało do sondaży względne zaufanie, i dzięki nim projektują obraz własnej popularności. Przeprowadzają badania i mówią – proszę spojrzeć, sondaż pokazuje, że trzy czwarte społeczeństwa ocenia nas pozytywnie. Łukaszenka, choć nie jest nowoczesnym spin dyktatorem, też rozumie siłę popularności. Podczas jednych wyborów jego ludzie przynieśli mu wyniki, według których zdobył 90 proc. głosów. Każał obniżyć do 80 proc., tak żeby było to bliższe rzeczywistości. Podobnie działają spin dyktatorzy – w skutecznym oszukiwaniu chodzi o to, żeby nie przesadzić, bo ludzie przestaną ci wierzyć.

Ci, którzy robią to najlepiej – Putin, Orbán, Erdogan – są popularniejsi od demokratycznych liderów.
– W pewnym sensie to normalne, bo gdy masz prawdziwie wolną prasę i opozycję, zbierasz więcej krytyki. Pokazujemy, jak dyktatorzy używają krytyki Zachodu w swoich narracjach. Jest spin dyktator i zachod-

ni demokratyczny lider. Dyktator z pomocą ukrytej cenzury i innych metod dba o to, żeby nie być krytykowanym w swoim kraju. Tymczasem zachodni lider zbiera u siebie ciągłą krytykę – taka jest natura demokracji. Więc Putin przez swoje media donosi rosyjskiemu społeczeństwu: Fox News bez przerwy krytykuje Bidena. A Putina w Rosji nikt nie krytykuje. Powstaje opowieść o słabych, skorumpowanych, nieskutecznych rządach Zachodu i bezbłędnej, uczciwej i mocnej władzy Putina.

To wiedzie do pesymistycznego wniosku, że spin dyktatury mogą długo utrzymywać popularność i się rozprzestrzeniać.
– Dlatego napisaliśmy tę książkę. Chcemy pokazać, że jest to realne zagrożenie. Niedemokratyczne reżimy profesjonalizują się, kształtują coraz bardziej wyrafinowane sposoby utrzymywania popularności i władzy. Demokratyczny świat musi wiedzieć, jak się temu przeciwstawić. Z drugiej strony są też powody do optymizmu. Po pierwsze, nowoczesne spin dyktatury są lepsze od starych dyktatur strachu. Może to łyche pocieszenie, ale jest jednak jest postęp. Nie ma w nich tyle przemocy, nie ma masowego terroru. Odejście od represji i skuteczne ukrywanie, że przemoc nadal się pojawia, jest częścią spinu. Jak stwierdziliśmy – przy użyciu stalinowskich metod nie da się w XXI w. zbudować popularności, która jest dziś kluczem do długoletnich rządów. Po drugie, nowocześni dyktatorzy nie posługują się ideologią. Ich zasadniczym pomysłem jest udawanie demokracji. Świadczy to o tym, że w sensie ideowym nie mają lepszego pomysłu niż demokracja. Jeśli więc nawet dyktatura chce być demokracją, możemy zachować optymizm w kwestii przyszłości demokracji.

Piszecie też o tym, że autokracje mają problem z rozwojem gospodarczym.
– Żeby rozwijać gospodarkę, społeczeństwo musi wykształcić klasę kreatywną. Stalin potrzebował robotników do pracy w fabrykach. Dziś potrzeba ludzi wykształconych i twórczych. Tymczasem badania mówią, że w dyktaturach ludzie wykształceni są bardziej krytyczni wobec władzy niż w demokracjach, gdzie klasa kreatywna cieszy się wysokim poziomem życia. Potrzebujesz wzrostu gospodarczego, żeby utrzymać popularność. Ale nie ma wzrostu bez klasy kreatywnej, która jest wobec ciebie krytyczna. Ślepa uliczka dla dyktatury.

Jak z niej uciec?
– Niektórzy wchodzą na ścieżkę liberalizacji. Taki jest model singapurski – państwo w ostatnich dekadach staje się coraz

bardziej zliberalizowane. Podobne procesy zachodzą w Armenii czy Ekwadorze. Inni wracają do starego modelu – Wenezuela była spin dyktaturą za Cháveza, stała się dyktaturą strachu za Maduro. Erdogan też poszedł drogą zaostrzania represji. I oczywiście Putin, który wraz z rozpoczęciem wojny w błyskawicznym tempie przechodzi do dyktatury strachu. W długiej perspektywie jest to gospodarczo nie do utrzymania. Oczywiście największe obawy budzą Chiny. Stanowią osobną kategorię. Jest to dyktatura strachu, która skutecznie odnajduje się w nowoczesności, między innymi dzięki wykorzystaniu technologii cyfrowych. Nie piszemy w książce o Chinach, bo to osobny temat.

Pomówimy zatem o kraju, który analizujecie. Nazarbajew zapowiadał, że zbuduje w Kazachstanie Singapur. Jarosław Kaczyński powiedział, że w Warszawie będzie Budapeszt. Jednoznacznie opisujecie Węgry jako dyktaturę.
– Ważne, żeby pamiętać, że dyktaturą nazywamy wszystko, co nie jest demokracją. To skrót. Węgry nie są przeciw Korea Północną. Ale nie są też demokracją. Opisując Węgry jako dyktaturę, opieramy się na badaniach. Pokazujemy na przykład, jak przejęcie pewnego portalu internetowego przez ludzi Orbána odmieniło opisywanie korupcji na Węgrzech. Ukryta cenzura, o której mówiliśmy – jeden z najistotniejszych składników spin dyktatur – działa na Węgrzech pełną parą. Wybory nie są tam ani wolne, ani uczciwe. Partie opozycyjne nie mają dostępu do mediów. System prawny został ubezwłasnowolniony i podporządkowany władzy Orbána. Państwo posuwa się nawet do zamykania szkół wyższych – Uniwersytet Środkowoeuropejski musiał wyprowadzić się do Wiednia.

Mówimy o kraju należącym do Unii. Członkostwo Węgier we wspólnocie bywa kwestionowane w publicystyce, ale na poziomie politycznym nie ma takiej dyskusji. Czy Węgry powinny nadal być w Unii?
– Usunięcie kraju ze wspólnoty jest trudne. Można używać narzędzi ekonomicznych i Unia wreszcie zaczyna to robić. Mówi Węgrom – dostaniecie fundusze strukturalne, jeśli będziecie szanować wspólnotowe wartości i zasady. Unia nie ma innej drogi.

Węgrzy mogą liczyć choćby na polską pomoc wewnątrz Unii. Bardzo trudno odciąć je od pieniędzy. Unia w dużej mierze utrzymuje władzę Orbána.

Peru – Imperium Inków

Wspaniała natura pośród której odkrywać będziemy fascynującą kulturę prekolumbijską w tym tajemnicze rysunki z Nazca czy zaginione miasto Inków – Machu Picchu.

Program wycieczki: **Dz. 1** Przelot Warszawa - Lima. **Dz. 2** Zwiedzanie Limy: Huaca Pucllana – piramida w dzielnicy Miraflores, kolonialne centrum miasta, 2 największe place: Plaza San Martín i Plaza de Armas. **Dz. 3** Cudowne wyspy Ballestas (wycieczka łodzią), oaza Huacachina i tajemnicze rysunki z Nazca. **Dz. 4** Przelot nad tajemniczymi rysunkami Nazca (wycieczka fakultatywna) oraz mumie z okresu przed inkaskiego. **Dz. 5** Przejazd wzdłuż wybrzeża Pacyfiku z Chala do Arequipa. **Dz. 6** Arequipa. Zwiedzanie kolonialnego centrum miasta z głównym placem Plaza de Armas, kościółta jezuitów La Compania i klasztoru św. Katarzyny. **Dz. 7** Arequipa – Dolina Colca: królestwo lam, wulkanów i pustynnych stepów. **Dz. 8** Kanion Colca: wspaniałe kondory i miasto Cabanaconde. **Dz. 9** Kanion Colca – Puno. Przejazd andyjskim płaskowyżem przez Sillustani w kierunku Jeziora Titicaca. **Dz. 10** Jezioro Titicaca: pływające wyspy trzcinowe plemienia Uros i wyspa Taquile. **Dz. 11** Podróż pociągami z Puno do Cusco. **Dz. 12** Zwiedzanie Cusco: świątynia Słońca Qoricancha, kompleks świątynny – obronny Sacsayhuaman, tajemniczy labirynt Qenqo oraz lokalny targ. **Dz. 13** Święta Dolina Inków: osady Pisac i Ollantaytambo. **Dz. 14** Machu Picchu – „zaginione miasto Inków”. **Dz. 15** Stanowisko archeologiczne Moray i solanki w Maras, powrót do Cusco. **Dz. 16** Podróż powrotna: Cusco – Lima - Warszawa. **Dz. 17** Przelot do Warszawy.

17 dni | Wyloty z Warszawy 16/02, 11/10 2024

Albatros travel

Zeskanuj kod QR i sprawdź cenę!

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: GW40

– To prawda. Węgry przez dziesięć lat przed pandemią miały tylko 3 proc. wzrostu rocznie. Mniej niż wiele innych państw regionu, choćby Polska, która za rządów i Platformy, i PiS utrzymuje dobrą kondycję gospodarczą. Po pandemii Węgry jeszcze bardziej osłabły gospodarczo. Gdyby nie unijne fundusze, kraj byłby ekonomicznie w tarapatkach. Komisja europejska kilka lat temu zdała sobie z tego sprawę.

Orbán przywodzi na myśl Josipa Broza-Tita, przywódcę Jugosławii, o którym też pisać.

– Tak. Tito zręcznie utrzymywał kraj w szarej strefie między Wschodem a Zachodem.

Orbán utrzymuje autokrację we wspólnocie UE, manipulując zarówno własnym społeczeństwem, jak i Unią. Jest niezwykle utalentowany.

Mówiliśmy o Lee Kuan Yewie. Orbán działa inaczej, ale jego talent polityczny, wodzowski jest podobnej miary. Proszę zobaczyć, jak rozgrywa sprawę Rosji. Mówi Węgrom: „Tak, rozmawiałem z Putinem. Tak, Putin jest zły. Ale ja was ochronię przed konsekwencjami tej wojny, bo mam z nim dobrą relację, wiem, jak z nim rozmawiać. Nie będę słuchać banialuk z Brukseli, bo oni nie rozumieją Putina”. To działa. Orbán wygrał wybory mimo heroicznego boju opozycji, która zjednoczyła się od lewa do prawa. Zgadzam się, że Unia musi zwiększać presję na Orbána. Jego spin dyktatura jest niebezpieczna, jej konsekwencje mogą być groźne dla Europy.

Myśli pan, że na najwyższym poziomie unijnym jest taka świadomość?

– Rośnie. Są pewne sukcesy. Mimo oporu Węgier udaje się jednogłośnie wprowadzać sankcje wobec Rosji. Za każdym razem Orbán zostaje zmuszony, żeby głosował za. Ale problem jest szerszy, nie tylko unijny – jak przywrócić porządek wewnątrz organizacji międzynarodowych. Jednym z niebezpieczeństw związanych ze spin dyktatorami jest to, że udając demokratów, instalują się w strukturach międzynarodowych. Po pierwsze, dają to legitymację ich władzy. Po drugie, oni rozbijają te struktury od środka. Mówimy o Węgrzech w Unii. A Turcja w NATO? Blokuję akces Szwecji do Sojuszu. Mamy wojnę. Motywacją Szwedów jest poszukiwanie schronienia przed rosyjskim zagrożeniem. Tymczasem jeden kraj członkowski głosuje przeciw. Proszę spojrzeć na Interpol – Rosja od lat wykorzystuje go do gnębienia przeciwników politycznych reżimu. Patrzmy dalej – Rada Praw Człowieka ONZ. Rosja została w niej zawieszona dopiero po wybuchu wojny. Instytucje międzynarodowe były w ostatnich dekadach zbyt otwarte. Nowoczesne dyktatury to wykorzystują.

Pracował pan dla administracji Dmitrija Miedwiediewa latach 2008-12. Jaki był wtedy pana pogląd na system Federacji Rosyjskiej i kierunek, w jakim zmierzała?

– Nie byłem bliskim doradcą. Nie poznałem Miedwiediewa osobiście. Byłem jednym z intelektualistów, którzy zaangażowali się w reformy. Pracowałem przy reformie edukacji. Część naszych pomysłów udało się przeformować i system edukacji zbliżył się do standardów międzynarodowych. Doradzałem też przy reformie prawa handlowego – chcieliśmy zwiększyć transparentność świata korporacyjnego i firm państwowych. Politolodzy już wtedy klasyfikowali Rosję jako autokrację. Nikt nie miał złudzeń – wybory 2008 r. nie były uczciwe. Jednak dostrzegaliśmy szansę na to, że Rosja wróci do procesu demokratyzacji, jaki zachodził przed Putinem. Miedwiediew mówił o wolności, partnerstwie z Europą, resecie stosunków z USA. Zrobił parę dobrych rzeczy. Nie za wiele, ale jednak. Pomagał Amerykanom w Afganistanie, stosunki z USA były dobre. Rosja wstąpiła do Światowej Organizacji Handlu. To ważna instytucja gospodarcza, która wymaga przestrzegania zasad. Z dzisiejszej perspektywy trudno uwierzyć, jakie swobody panowały w erze Mied-

Orbán mówi Węgrom: „Tak, rozmawiałem z Putinem. Tak, Putin jest zły. Ale ja was ochronię przed konsekwencjami tej wojny, bo wiem, jak z nim rozmawiać. Nie będę słuchać banialuk z Brukseli, bo oni nie rozumieją Putina”. To działa

wiediewa. Ludzie protestowali na ulicy, krytykowali bez strachu władzę w mediach społecznościowych. Dynamicznie rozwijał się i zwiększał publiczność niezależny kanał telewizyjny. Oczywiście liczyliśmy się z tym, że Putin miał z Miedwiediewem umowę – jeśli będzie chciał wrócić, wróci. O jego powrocie w znacznym stopniu zdecydowała arabska wiosna. Miedwiediew nie zawetował decyzji ONZ o wyprowadzeniu strefy zakazu lotów nad Libią. Był spór między nim a Putinem. Miedwiediew powiedział jasno: Kaddafi jest tyranem, musimy go powstrzymać przed bombardowaniem własnych obywateli. Putin publicznie go za to skrytykował. Kiedy wrócił, Rosja szybko zaczęła się zmieniać na gorsze.

Niedługo po powrocie Putina na fotel prezydenta był pan przesłuchiwany i zdecydował się na wyjazd z kraju. Co się stało?

– Przesłuchiowano mnie kilka razy. Przeszukano biuro, skonfiskowano laptopa, e-maile. Człowiek, który mnie przesłuchiwał, zrobił karierę na sprawie Jukosu [kiedyś najpotężniejsza w Rosji firma naftowa, której współwłaściciel Michail Chodorkowski popadł w konflikt z Putinem]. W dziesięć lat z kapitana awansował na generała. Moja sprawa też oficjalnie dotyczyła Jukosu, ale nie bez znaczenia było to, że publicznie wspierałem Aleksieja Nawalnego. Protestowałem głośno przeciw represjom i Putinowi. Generał mówił wprost, że ochrona, jaką teoretycznie gwarantuje mi prawo i konstytucja, nie zadziała. Że jeśli będą chcieli coś na mnie znaleźć, znajdą. Odwoływał się do sowieckich czasów i posługiwał się ich metodami. Byłem w kontakcie z ludźmi, którzy mieli dostęp do Putina, i pewnego dnia usłyszałem od nich: powinieneś natychmiast wyjechać. Dostałem to samo ostrzeżenie z różnych źródeł. Opuściłem Rosję w ciągu kilku-nastu godzin.

Dlaczego Putin najechał Ukrainę?

– W 2014 i 2022 r. z tego samego powodu. Przez pierwsze dziesięć lat władzy gospodarka szybko rosła i społeczeństwo wychodziło z biedy. Ale jego model władzy rozwałił gospodarkę wzrostu. Skorumpował państwo. Brak ochrony prawa własności i niezależnego sądownictwa zniszczyły inwestycje. Gospodarka wyhamowała. Przez dekadę przed rokiem 2014 Rosja rozwijała się w tempie 7 proc. rocznie. Tuż przed aneksją Krymu wzrost wynosił 1 proc. Ludzie to odczuli. Popularność Putina spadała. Zajął Krym, żeby ją odbudować. Zadziałało. Z pomocą propagandy w oczach większości społeczeństwa został bohaterem. Ale efekt wyzerpiał się po kilku latach. Trwała stagnacja gospodarcza. W 2022 r., tuż przed wojną, poziom dochodów w rosyjskich gospodarstwach domowych był o 10 proc. niższy niż w roku 2013. Opozycja dzięki mediom spo-

łecznościowym zwiększała efektywność. Nawalny stawał się coraz większym zagrożeniem.

W drugiej połowie 2021 r. popularność Putina spadła do historycznie najniższego poziomu. Zaczął więc wojnę.

Spodziewał się powtórki z Krymu – zajęmie Kijów i wzmocni władzę. Tak się nie stało. Dlatego dokonał natychmiastowej zmiany reżimu. W ciągu tygodnia zamknął wszystkie niezależne media. Zablokował Facebook, Instagram, wprowadził jawną cenzurę. Jeśli naszą rozmowę prowadziłybyśmy w Moskwie, obaj poszlibyśmy do więzienia na wiele lat. Niedawno dwóch ludzi rozmawiało o wojnie przez telefon. Sąd stwierdził, że rozmowa nie była prywatna, tylko publiczna, bo podsłuchiwał ich oficer KGB. Dostali wyroki więzienia.

Putin, który rozpoczyna wojnę, żeby podbić słupki popularności, wychodzi na człowieka oderwanego od rzeczywistości, jeśli chodzi nie tylko o własny kraj, lecz też o sprawy globalne. Spodziewał się, że Ukraina go pokocha, a Zachód będzie się przyglądał? Wiele można o nim powiedzieć, ale nie to, że jest idiotą.

– W 2014 r. zadziała.

Z pomocą zielonych ludzików. Teraz wypuścił czołgi na Kijów, rozpętał wojnę, jakiej Europa nie widziała od 1945 r.

– Pomysł był taki, żeby przeprowadzić lądowanie oddziałów na lotnisku Hostomel pod Kijowem i błyskawicznie zająć stolicę. Tyle że wywiad USA ostrzegł ukraińskie wojsko. Lotnisko zostało wybronione. Plan się posypał. Zgadzam się, że Putin nie jest idiotą. Jest niedoinformowany. Wydał miliardy na wzmocnienie armii. Zdawał sobie sprawę z korupcji, ale nie wiedział, że pieniądze były rozkradane na aż tak ogromną skalę. Generałowie masowo transferowali je na konta w bankach szwajcarskich. Nie chwalili się tym Putinowi. Na przykład niedawno w Paryżu odbyła się demonstracja przed rezydencją żony zastępcy ministra obrony narodowej Rosji. Luksus, jachty, zakupy – tam jest siła armii Putina. W sklepach jubilerskich na Place Vendôme w Paryżu.

Generałowie nie przejmowali się tym, że kradną, zamiast budować nowoczesną armię, bo nie spodziewali się, że zostanie pretestowana. Nie sądzili, że Putin zdecyduje się na inwazję. On tymczasem dostawał nieprecyzyjne dane od KGB. Służby mówiły mu: rekrutujemy pełną parą w Ukrainie, gdy wejdziemy, dostaniemy owację. Tak naprawdę wywiad też się nie spodziewał, że Putin będzie chciał iść na Kijów. Owszem, to rosyjskojęzyczne miasto, ale prorosyjskie nastroje znacznie tam osłabły po 2014 r. Niektórzy szpiedzy to wiedzieli, Putin nie. Na to wszystko nałożyło się niedoinformowanie na poziomie dyplomacji. Rosyjska elita dyplomatyczna podpowiadała Putinowi, że Za-

chód jest słaby. Amerykanie dopiero co niezdarnie wycofali się z Afganistanu. Jest masa napięć między sojusznikami w NATO i w Unii. Nikt nie będzie się przejmował Ukrainą. Putin nie miał właściwych danych od armii, wywiadu i MSZ. To nie głupota, tylko cecha dyktatur. Wspominałem o tym – nie masz precyzyjnej informacji, kiedy nie masz niezależnych mediów ani opozycji politycznej. Otaczają cię ludzie, którzy mówią to, co chcesz usłyszeć.

Słabo zorientowany facet trzyma palec na guzikach nuklearnym. Niektórzy analitycy przestrzegają zachodnich liderów przed wspieraniem Ukrainy, twierdząc, że jeśli Putin będzie przegrywał, użyje taktycznej broni jądrowej.

– Taki przekaz wzbudza zrozumiałe obawy w Warszawie czy Rydze. Kiedy w 2014 r. obchodziliśmy setną rocznicę wybuchu pierwszej wojny światowej, a Putin atakował Krym, politolodzy szukali odniesień w historii. Czy żyjemy w czasach przypominających rok 1914, kiedy Europa rozpętała wojnę niaby niechcący, jak lunatyk. Czy może mamy powtórkę z roku 1939 – kiedy nikt nie chciał zbyt drażnić agresora i skończyło się to kataklizmem. Rok 2022 dał odpowiedź – byliśmy zbyt pobłażliwi dla Putina. Dawaliśmy mu zachęty, żeby posuwał się coraz dalej. Gdy w 2008 r. zaatakował Gruzję, nie było żadnych sankcji. Bez większych konsekwencji pozwolono mu zająć Krym. Teraz straszy bronią jądrową. Ale jeśli Ukraińcy dojdą do linii sprzed lutego 2022 r. i na tym poprzestaną, odpuszczając Krym, jestem pewien, że Putin nic nie zrobi.

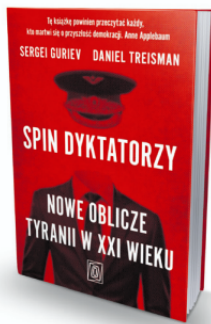
Skąd taka pewność?

– Wiemy z przecieków, że służby wywiadowcze USA kontaktują się ze swoimi odpowiednikami w Rosji i wysyłają jasny komunikat: zrobimy to i to, jeśli użyjecie taktycznej broni nuklearnej przeciw Ukrainie. Odpowiedź będzie konwencjonalna, ale na skalę, która przyniesie Rosji katastrofę: utratę floty czarnomorskiej i rozbięcie sił rosyjskich w Ukrainie. Po takiej reakcji Rosja w zasadzie zostanie bez armii. Niektóre źródła mówią, że Amerykanie zaatakują również samego Putina. Może i jest niedoinformowany, ale ta wiadomość do niego dociera. Przecieki są jednoznaczne. Proszę zwrócić uwagę, że od jesieni nie zająknął się o broni jądrowej. Myślę, że się boi. Wie, że nie wygrywa tej wojny. Ukraina i Zachód mogą zachować optymizm, jeśli chodzi o jej dalszy przebieg. ●



*Sergei Guriev

• profesor ekonomii, rektor Instytutu Nauk Politycznych w Paryżu. Był głównym ekonomistą Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju w Londynie, a także rektorem New Economic School w Moskwie. Wraz z Danielem Treismanem, profesorem Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, wydał książkę **„Spin dyktatorzy. Nowe oblicze tyranii w XXI wieku”**



CASA NOSTRA

MIKOŁAJEWSKI? Z TEJ STRONY ECO, UMBERTO

Włosi kochają i Berlusconi, i Szyborską.

Jarosław Mikołajewski

Jak zapowiadałem, mój najświeższy wyjazd do Włoch miał mieć charakter rocznicowo-Szyborski. I miał, ale zaczął się od aury wokół śmierci Silvia Berlusconiego.

W ostatnich dekadach Włosi dzielili się na tych, którzy wyli z niechęci, bezsilności i zażenowania dominującą obecnością czterokrotnego premiera, i tych, co widzieli w nim członka rodziny, człowieka opatrnościowego, wizjonera, rzutkiego przedsiębiorcę, który działa szybciej, niż myśli, potrafi podejść do człowieka, któremu trzęsienie ziemi zburzyło dom, i powiedzieć, że daje mu swoje mieszkanie, lub zadeklarować na Lampedusie, że doinwestuje małą wysepkę uchodźców i założy na niej pole golfowe.

Jako dobre żarty wujcia na urodzinach powtarzano jego idiotyczne wypowiedzi w rodzaju tej, którą skierował do niemieckiego parlamentarzysty Martina Schulza: „Mój znajomy robi film o obozie koncentracyjnym, polecę pana do roli kapo”. Albo podsumowanie spotkania z prezydentem Albanii Sali Berishą, którego poprosił, żeby ograniczając migrację Albańczyków do Włoch, zrobił wyjątek dla pięknych Albanek. Uwaga skierowana do Baracka Obamy, że jest opalony; komentarz o Angeli Merkel, że jest dupiasta – to wszystko przynosiło mu wzrost poparcia.

Był swojakiem. Jak wielu naszych kretynów wyczuwał swój naród, obrażał zwrotami, o których wiedział, że budzą ludowy entuzjazm współobywateli. Jak wtedy, kiedy powiedział do lewicowej polityczki Rosy Bindi, że bardziej jest piękna niż inteligentna.

I oto – zdumienie. Prerażenie. Nawet wstręt. Którejś nocy, oglądając w nocy telewizję, słyszę, że na Morzu Egejskim, na wysokości Peloponezu, zatonała łódź z migrantami i można spodziewać się sześciuset ofiar... Zapisuję to prerażenie kilkoma znakami, czekam na dalsze wiadomości, zasypiam, o świcie włączam telewizor: Berlusconi. Pogrzeb, słowa arcybiskupa Mediolanu o jego umiłowaniu i radości życia, płacz staruszek, którym się płacze, czy Silvio był jak ich syn, czy może jak ojciec... To chwila, kiedy rozumiem trochę lepiej naszych wyborców PiS.

I oni będą płakać na grobie faceta, który co z tego, że gwałcił prawo i wyśmiewał, skoro był jak ktoś bliski, z rodziny. Jak wujcio, który strzeli czasem spod wąsa, że kuzyn ubiera się jak dziewczyna lub coś jest dla ludzi myślących, więc kobiety mogą odejść od stołu... Jak ktoś, kto na chwilę pozwala na ulgę uproszczonego życia, i co z tego, że kosztem kuzyneczki z nadwagą, skoro na chwilę jedno czy nas w dzikim śmiechu.

Zaraz, zaraz: sześćset osób... Czy ja dobrze słyszałem? Nie ma ich na pasku w wiadomościach. Katastrofa pod Lampedusą w 2013 r. zabiła 368 i została uznana za największą na Morzu Śródziemnym (choć nikt nie policzy ludzi na podmorskim cmentarzu), a teraz: sześciuset? Sześćset? I nikt nic nie mówi?

Pytam na odległość, czy w Polsce przebiła się wiadomość o katastrofie – nic z tego. O Berlusconiim – owszem. Raczej prześmiewczo, poprzez bunga bunga, który to epizod wcale zabawny nie jest, zważywszy jego związek z nieletnią Ruby, rzekomą (jak sam to wymyślił) wnuczką Mubarak... Tak: Berlusconi wiedział, jak wie dzisiaj Kaczyński, że trzeba czuć społeczeństwo i używać najgorszego repertuaru jego głupoty, żeby uznało w nim przywódcę i mistrza.

Berlusconi polityk, Berlusconi właściciel Milanu, Berlusconi twórca Mediasetu – sieci, poprzez którą (jak powiedział Umberto Eco) Albańczycy za Adriatykiem dowiadawali się z quizów, że można zostać milionerem, wiedząc tylko tyle, że Garibaldi miał na imię Giuseppe.

Zaraz, zaraz... Sześciuset...

DO TYCH SZEŚCIUSET, KTÓRZY LEŻĄ NA DNIE

*jeżeli chcieliście przedostać się morzem na drugą stronę losu
już wiecie że taka podróż dobrze się nie kończy*

*jeżeli mieliście nadzieję dziecka które ściąga obrus
że zwróćcie na siebie uwagę
już wiecie że tutaj nikt nie dostrzeże zniknięcia*

*jeśli sądziliście że robi wrażenie wasza wielka liczba
już teraz wiecie że dwoje lub troje
trzysta albo sześćset
to zawsze tylko jedna kropla w morzu*

*jeżeli myślicie że życie umiera
z życiem co umarło pod zielonym słońcem
popatrzcie:
ja żyję choć martwię się z każdym
i wciąż będę martwić bo nikt się nie dowie
ile grobów się mieści w podmorskim cmentarzu
i każdy nieznany będzie mnie umierał*

*jesteście zabawni z wiarą w zmartwychwstanie
jesteście śmieszni kiedy woda podrywa wam ręce do lotu
w spowolnionym tempie niewidzącej kamery
i zwodniczo wciąga was w głębokie wiry
aż po dno
niczym płaszczki którym nie dość podziemia*

*jeżeli myśleliście że głos waszych dzieci
uderzy o chmury i wywoła chóry
słuchajcie pęcherzy nadaremnych krzyków*

*jedyne co łączy nas ludzi po obu przeciwbieżach morza
jest daremność uczuć i daremność trudu*

*my też
choć wygodniej
tam nie dopływamy*

*umieramy z marzeń ale tylko własnych
obrażonych słoną wodą w studniach cichych gardel
w chwili gdy wołamy: ludzie dobrej woli
utonęło właśnie sześćset dobrych kobiet
albo sześćset dzieci
lub sześciuset mężczyzn*

czy ktoś słyszy?

*sześćset
nie trzy albo czterech*

*sześćset
sześciuset*

jeden dwa trzy cztery

*sześćset sekund mówienia numerycznych imion
w nowej wodnej poezji enumeracyjnej gdzie pięć warte pięćset
choć nic nie warte*

Choć na chwilę wróć do Szyborskiej. W 2009 r. (byłem dyrektorem Instytutu Polskiego w Rzymie) zaprosiłem Ją i Michała Rusinka do Bolonii. Organizatorem spotkania był prof. Andrea Ceccherelli, szef bolońskiej polonistyki.

Zadzwoił telefon: „Mikołajewski? Tu Umberto Eco. Chciałbym poznać osobiście Szyborską i przeczytać wiersz »Możliwości...«”. Na spotkaniu, na którym było około 2 tys. osób, Eco mówił sporo, przemawiał także jej tłumacz Pietro Marchesani, wiersze czytali studenci, czytała sama Poetka... Spotkanie sprzed tygodnia nawiązywało do tamtego, z tym że studenci czytali wiersze Szyborskiej także we własnych przekładach, a rozmowom przysłuchiwali się również poeci skupieni w bolońskim Centro di Poesia. Okazało się, że prof. Ceccherelli wychował nowych tłumaczy, jak utalentowaną Lindę del Sarto, która oddała po polsku „Czarną piosenkę”.

Po Bolonii – Genua i nieprawdopodobna wystawa w pięknej Villa Croce (Museo d'Arte Contemporanea), na wzgórzu, przygotowana przez reżysera Sergia Maifrediego we współpracy z polonistami, profesorami Marinellim i Ceccherellim, spektakularnie i mądrze rozpisana przez Michała Jandurę. Graficznie oparta na wyklejankach Poetki, powiększonych do dwumetrowych formatów. Są też oryginały kolaży, z różnych kolekcji, jest maszyna do pisania, są książki i projekty okładek. Są grafiki wspaniałej krakowskiej artystki mieszkającej w Mediolanie Aliny Kalczyńskiej, która razem z mężem, legendarnym Giannim Scheiwillerem, jako pierwsza wydała książkę Noblistki (zanim nią została).

To już nie jest chwilowe zakochanie w Szyborskiej – jej wierszach, poczuciu humoru, dowcipie, skromności, mądrości zapisanej w słowach. To głęboka miłość, która sprawia, że Poetka jest najżywszą inspiratorką włoskich twórców, czytelników, ich codziennego życia. ●

„Ale to już po mojej śmierci, dobrze?” – powtarzała poetka Annie Bikont i Joannie Szczęsnej, gdy lata temu zbierały materiały do „**Pamiętkowych rupiec. Biografii Wisławy Szyborskiej**”. Już wtedy ta książka była wyjątkowa, zacytujmy Stanisława Barańczaka: „Autorki w ciągu kilku miesięcy od ogłoszenia werdyktu sztokholmskiego jury do wydania biografii Noblistki wykonały pracę, której nie wykonało parę pokoleń polonistów i krytyków, a mianowicie pokazały Wisławę Szyborską jako człowieka”.

Dziś, wznowione po latach, nabrały nowego smaku i ciężaru. Nie tylko dlatego, że uzupełniając „**Pamiętkowe rupiecie**”, autorki korzystały bez ograniczeń z korespondencji Wisławy Szyborskiej, włącznie z listami nigdy nigdzie niepublikowanymi. Książka już w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl



JAK ZJADACZY CHLEBA NA SPOŁECZNIKÓW PRZEROBIĆ

Przeciętny Szwed należy do czterech organizacji społecznych. Polak do 0,4

Bartłomiej Nowotarski*

Społeczeństwo obywatelskie i jego organizacje (dalej OSO) to filar zdrowej demokracji. Powinno być partnerem demokratycznie wybranych polityków we współzarządzaniu krajem, ale też ma reprezentować społeczeństwo, przełamując powszechny kryzys przedstawicielstwa partyjnego. Jednakże w Polsce w 2014 r. aż 40 proc. obywateli nie miało żadnych skojarzeń ze słowami „organizacja pozarządowa”, a tylko 18 proc. cokolwiek zrobiło na ich rzecz.

Trzeci sektor był więc w fazie stagnacji, koncentrując się głównie (66 proc. OSO) na dostarczaniu różnych usług i stając się swego rodzaju agendą administracji publicznej.

Dziś jest nieco lepiej, ponieważ 65 proc. Polek i Polaków ufa OSO i uważa ich aktywność za pożyteczną. To efekt energicznej pracy ludzi niosących pomoc ofiarom pandemii, potem ukraińskim uchodźcom, a także konieczność oporu wobec coraz bardziej autokratycznej władzy, zwłaszcza wobec represyjnej polityki w stosunku do kobiet i wymiaru sprawiedliwości. Dlatego powstały m.in. Komitet Obrony Demokracji, Inicjatywa „Wolne Sądy”, Ogólnopolski Strajk Kobiet, Akcja Demokracja, Archiwum Osiatyńskiego, Obywatelskie Obserwatorium Demokracji.

Rządy PiS są dla społeczeństwa obywatelskiego ogromnym wyzwaniem. Stowarzyszenie Klon/Jawor badające od 2000 r. jego kondycję ostatni raport (grudzień 2022) zatytułowało znacząco: „Efekt mrozący”. Kaczyński jeszcze w 2006 r. (w wywiadzie dla „Dziennika”) oświadczył, że społeczeństwo obywatelskie nie jest jego politycznym priorytetem i że zbuduje nowe, ma się rozumieć, odgórnie. I to robi.

Władza stosuje wobec OSO dwie strategie. Po pierwsze, represje, czyli odbieranie państwowych pieniędzy OSO krytycznym wobec władzy oraz medialne nagonki i oczernianie. Obu w nadmiarze doświadczała Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, której zbiórki przekroczyły w sumie od 1993 r. 1 mld zł.

Po drugie, kooptacja swoich fasadowych OSO. Od 2015 do 2019 r. nawet pieniądze z Unii nie docierały do OSO, zostały przekazane przez PiS lokalnej administracji, a w 2019 r. maksymalne granty w wysokości 700 tys. zł szły przede wszystkim do organizacji związanych z PiS, z jego koalicjan-

tami i Kościołem (54 OSO), głównie tam, gdzie w ich organach zasiadali szef kancelarii premiera, wiceministrowie, posłowie czy radni partii rządzących. Dziś nie tylko w ramach operacji „willa plus” ministra Czarnka PiS przelewa miliony złotych zależnym i usłużnym, ledwo co powstałym organizacjom „zombi” (w literaturze światowej określanym też skrótem GONGO), podczas gdy 56 proc. dotychczasowych OSO ma roczny budżet nieprzekraczający 10 tys. zł, zaś aż 75 proc. – poniżej 100 tys. zł.

Rząd PiS wykorzystuje chroniczną nieufność Polaków i w lutym 2017 r. rozpoczął nagonkę na istniejące wcześniej organizacje, wzorem Putina i Orbána imputując części z nich rolę „agentów zagranicy”.

Niestety, do 2015 r. nie dowiedzieliśmy jako społeczeństwo i kolejne rządy strukturalnie okrzepłego społeczeństwa obywatelskiego. Takiego, które byłoby z jednej strony istotnym partnerem rządzących, a z drugiej – efektywnym reprezentantem różnych środowisk. A zaczęliśmy wspaniale: w latach 70. Komitet Obrony Robotników (i kilka innych organizacji), a potem „Solidarność” były naszym najlepszym doświadczeniem właśnie ze społeczeństwem obywatelskim.

Pierwsza „Solidarność” nie utrwaliła w nas tych szczególnych wzorców aktywności publicznej, których sama była uosobieniem. W stanie wojennym wycofaliśmy się do domów i już z nich nie wyszliśmy. Wskazuje na to nasze późniejsze zaangażowanie w OSO: 24 proc. osób, aktywnych zaś tylko 15 proc. Komitety obywatelskie przed wyborami 1989 r. tworzyło nie więcej niż 1,5 mln ludzi, chociaż członków pierwszej „Solidarności” było ok. 10 mln.

W pierwszych trzech latach III RP 27 proc. obywateli zaangażowało się w tworzenie aż 25 tys. stowarzyszeń i fundacji, ale już w 1995 r. aktywność spadła do 22 proc. Kolejne rządy oferowały Polakom model liberalny, także w sferze społeczeństwa obywatelskiego, czyli głównie wolnościowe przyzwolenie na aktywność, lecz bez specjalnego zainteresowania ze strony polityków. Dlatego m.in. polskie organizacje pozarządowe stać było jedynie na zatrudnianie 1,4 proc. pracowników (sektora pozarolniczego), czyli dziesięć razy mniej niż w Holandii i pięć razy mniej, niż wynosiła średnia w UE. Jeszcze w 2017 r. aż 60 proc. gmin nie miało nawet rejestru działających na ich terenie organizacji.

Po wejściu do Unii gros organizacji skoncentrowało się na świadczeniu usług,

głównie dla samorządów (84 proc.). Ciężko dziedzictwo PRL, kiedy w OSO dominowały takie aktywności jak sport i rekreacja (35 proc.), a działania najbardziej pożądane, bo „rzecznicze” – polegające na reprezentowaniu dobra i interesów obywateli – od 2004 r. skurczyły się o 12 pkt proc., do poziomu 26 proc., z efektywnym wpływem na zmiany systemowe na poziomie zaledwie 12 proc. (raport Klon/Jawor 2022). Coraz gorzej wyglądają też interakcje z władzami centralnymi (tylko 37 proc. OSO); z mediami (47 proc. OSO) oraz współpraca z innymi OSO (zaledwie 37 proc. współpracuje). Niska jest skłonność do wspólnych wysiłków w federacjach czy organizacjach parasolowych. Brak wspólnej aktywności (collective action) to prawdziwy podarunek dla władzy wrogiej trzeciemu sektorowi.

Polskie OSO, przez całe lata niedofinansowane, stopniowo odrywały się od swoich środowiskowych korzeni, reprezentując głównie członków samych tych organizacji. Polska polityka najwyraźniej przeoczyła OSO jako istotnego partnera zdolnego budzić społeczne potencjały, a nawet wzmocnić legitymizację demokratycznych rządów.

Zjemy znów w czasach niepewności – wojna w Europie, pandemia, drożyzna, stan budżetu państwa i naszych domowych budżetów, sparaliżowane sądownictwo, organa ścigania na pasku władzy itd. Psychologia społeczna i behawioralna posługują się pojęciem „subiektywnego statusu społecznego”. Chodzi o nasze własne poczucie niestabilności wywoływane nie tylko słabym wykształceniem czy materialnym niedostatkiem, ale też zagrożeniami dla identyfikacji kulturowej. Władze w różnych krajach podsycają lęki przed uchodźcami, imigrantami, osobami LGBT, religiami, rasami czy nawet kobietami. Z tego ostatniego powodu aż 55 proc. białych mężczyzn w USA czuje się niepewnie w swoim statusie, czego nie omieszkali wykorzystać Trump.

Niepewność statusu może odczuwać nawet 40 proc. Polaków: gorzej wykształconych, należących do niższej klasy średniej lub sytuujących się poza nią.

Wskazuje na to opracowany przez Fundację Wyszehradzką indeks frustracji społecznej, który dla państw postsocjalistycznych w 2018 r. był na średnim poziomie 77 proc., w tym dla Węgier – 78 proc. i Polski – 75 proc. Subiektywne poczucie zagrożenia statusu prowadzi do poszukiwania silnego przywództwa, gromadzenia się „wokół flagi”, dyscyplinowania i karania odstępców. Na to zjawisko odpowiada PiS: straszyc, mamić, rozdawać podarki za pieniądze nas wszystkich – to podstawowe menu autokratycznej władzy.

Stoimy przed alternatywą: albo będziemy społeczeństwem zależnym i uległym, będącym tylko klientem władzy, albo takim, które zainwestuje już teraz w rozwój zaradnych społecznie Polek i Polaków, czyli w nasz kapitał społeczny, we współpracę z korzyścią dla jednostek i grup kooperujących. Znieczulonych, wycofanych i zdanych jedynie na władzę (jakakolwiek by była) czeka tylko cywilizacyjny regres i utrata perspektyw rozwoju. A mamy wiele do nadrobienia, ponieważ od lat tkwimy w pułapce bardzo niskiego zaufania społecznego i dlatego tracimy setki miliardów złotych rocznie w gospodarce – ok. 300 mld zł kosztów transakcyjnych. Badania porównawcze (World Values Survey) krajów o wysokim (np. Skandynawia, OECD) i niskim (np. Portugalia, Meksyk) kapitale społecznym uwidaczniają różnice w poziomie inwestycji – co najmniej 20 proc. na korzyść tych pierwszych. Słynni ekonomiści – kiedyś John Maynard Keynes, a ostatnio noblista Kenneth Arrow – konkludowali, że zaufanie i wiarygodność w biznesie są ważniejsze od zimnej kalkulacji.

Prof. Janusz Czapinśki od lat przestrzega, że jedziemy tylko na jednym motorze społecznego rozwoju – kapitale indywidualnym wyedukowanych



ILUSTRACJA JACEK GAWŁOWSKI



Szwedzi zbudowali system około 200 komisji rządowych współpracujących z organizacjami społecznymi. **Wspólnie** przygotowywane są tam wszystkie ustawy, prowadzone badania, ekspertyzy, wysłuchania publiczne

Polaków. Pozostałe dwa – kapitał społeczny oraz instytucje – pracują źle albo w praktyce są fasadowe. Innowacyjne polskie OSO będą więc miały kim się zaopiekować i kogo reprezentować. To przede wszystkim słabo wykształceni (do poziomu najwyżej zawodówki), czyli 11,5 mln rodaków (GUS, 2021). Dla kształcenia takich dorosłych szwedzkie OSO uruchomiło swego czasu latające uniwersytety, w których stale uczestniczyło 10 proc. obywateli, a okresowo aż 75 proc. (30 godz. edukacji, w USA – 15).

Pośród tych słabo wyedukowanych Polaków trzeba będzie najpierw dotrzeć do najbardziej niepewnych swego „subiektywnego statusu”, czyli obywateli z niższej klasy średniej (3 mln) oraz spoza niej (dalsze 3,4 mln). Ale zważywszy na złą kondycję małej przedsiębiorczości (z powodu pandemii i polityki rządu), nie wolno pozostawić bez reprezentacji także części średniej warstwy klasy średniej.

Wspólnym dla polityków i OSO zadaniem jest zbudowanie zaufania do instytucji naszego państwa. I nie chodzi o te polityczne (25 proc. zaufania), lecz o dużo dla społeczeństwa ważniejsze instytucje implementujące, czyli wdrażające poszczególne elementy polityki: administracja publiczna, sądy, prokuratura itp. To one, gdy są w oczach obywateli bezstronne, wiarygodne, niezależne, nieskorumpowane, przyczyniają się aż w 65 proc. do zaufania do państwa i trzykrotnie mocniej wpływają na satysfakcję obywateli z demokracji w porównaniu z porzeganymi jako stronnice czy skorumpowane.

Chodzi zwłaszcza o instytucje wymiaru sprawiedliwości. Według opinii polskich obywateli już same sądy, gdy są bezstronne i wiarygodne, mogą wpływać nawet w 60 proc. na zaufanie do państwa (European Social Survey, 2010). Przed 2015 r. polskie instytucje implementacyjne miały zaufanie 55 proc. Polaków, dziś zaledwie 38 proc.

Historia III RP pokazała, że same OSO – bez zrozumienia ich roli ze strony polityków – nie przebijają się

w debacie publicznej i popadają w apatię. Budowanie kapitału społecznego nigdy się nie uda bez partnerskiego, opartego na kodeksie dobrych praktyk współzarządzania krajem przez polityków i OSO. Rolą OSO jest wywieranie presji na zmiany instytucjonalne, aby odpowiadały na społeczne potrzeby. OSO mają nie tylko realizować różne usługi dla społeczności, ale także je reprezentować w sposób asertywny, pobudzając jednocześnie obywateli do odważnych postaw, ażeby z problemami społecznymi trafiać do partii politycznych.

Dopiero w 2003 r. pod naciskiem UE uchwalono ustawę regulującą m.in. taką współpracę. Powstała Rada Dialogu Pożytku Publicznego (oraz jej wojewódzkie filie), zespół przy Senacie RP z inicjatywy marszałka Borusewicza oraz podkomisja sejmowa. Lecz z powodu polityki oraz kłopotów z reprezentatywnością dotknął je w końcu uwiąd instytucjonalny. Polskie OSO muszą wyciągnąć wnioski i zaproponować nowe rozwiązania, a politycy zrozumieć, że – jak pisał w XIX w. francuski minister i teoretyk rządzenia Franciszek Guizot – rządzić to ciągle układanie się ze społeczeństwem oraz że tak rozumiane uprawianie polityki przysparza legitymizacji społecznej rządzącym.

Brazylia, kraj znany z pomysłu budżetu obywatelskiego, już w konstytucji z 1988 r. pootwierala wszystkie instytucje dla reprezentantów sektora społecznego. W Anglii w początkach lat 90. pisano, że władze (głównie te lokalne) traktują obywateli jak „lord spoglądający na chłopą”. Wreszcie rząd Blaira postanowił odnowić swoją legitymację do rządzenia, otwierając się na społeczeństwo obywatelskie. W parlamencie odbyła się debata i doprowadzono w 1998 r. do porozumienia zwanego English Compact, kodeksu dobrych praktyk przyjmowanych następnie w różnych wersjach przez gminy. Zarządzanie oparto na organizacjach sąsiedzkich, konsultacjach, panelach deliberacyjnych oraz współpracy ze wszystkimi prawie OSO. Jak mówili Anglicy, wyzwolono uśpione moce społeczne

oraz popyt na zmiany instytucjonalne służące rozwiązywaniu konkretnych problemów (instytucje „włączające”).

Szwedzi pojechali do Anglii na rekonesans, po czym w 2007 r. przygotowali podobne porozumienie. Przeciętny Szwed należy do czterech OSO (Polak do 0,4), w których jest wolontariuszem 15 godzin miesięcznie. Zbudowano system ok. 200 tzw. remiss – komisji rządowych stale współpracujących z OSO. Wspólnie przygotowywane są tam wszystkie ustawy, prowadzone badania, ekspertyzy, wysłuchania publiczne, a do efektów pracy każdy może się odnosić publicznie na forach internetowych, co ujmowane jest w końcowych raportach. Dlatego szwedzkie ministerstwa są niezwykle chude pod względem liczby pracowników.

Natomiast III Rzeczpospolita była i jest demokracją podażową, rozwiązania, instytucje wymyślają tylko politycy. Najwyższy czas przejść na demokrację popytową.

Nie tylko naukowcy utyskują na kryzys reprezentacji w demokracjach. Po okresie partii masowych partie przestały reprezentować obywateli, koncentrując się na utrzymaniu bądź zdobywaniu władzy. Kampanie wyborcze – w założeniu służące do komunikowania się z wyborcami – stały się okresem uwodzenia i manipulacji.

Ponadto skutek słabego reprezentowania interesów obywateli przez OSO oraz rzadkich aktów demokracji bezpośredniej coraz bardziej widoczny jest brak wrażliwości (responsywności) na problemy społeczne. W Polsce demokracja przybrała formę „państwa kurateli”, gdzie władza decyduje, kto i jakie ma potrzeby oraz kiedy i komu zostanie coś dane z pieniędzy należących do nas wszystkich, czyli z podatków. Populistyczna władza z założenia powinna często odwoływać się do obywateli w referendum czy konsultacjach społecznych. U nas nic z tych rzeczy.

Bez dobrej reprezentacji problemów Polaków przez OSO nie da się pomóc osłabionemu przedstawicielstwu partyjnemu po rządach PiS. Trzeba odwrócić proces odchodzenia przez OSO od ich społecznych korzeni na rzecz usług. Dzisiaj udział prywatnego sponsoringu, także ze zbiorów publicznych czy z 1 proc. (obecnie 1,5 proc.), wynosi zaledwie 9 proc. kwot pozyskiwanych rocznie przez wszystkie OSO (wyjątki to Akcja Demokracja – aż 60 proc. i Watchdog Polska – 23 proc.). To skutek myślenia, że OSO reprezentują tylko swoich członków i aktywistów, czyli siebie same. Dlaczego więc prywatni sponsorzy, nie chcący się nigdzie afiliować, mieliby finansować wąską grupę ich członków?

Nie miejmy złudzeń, Polacy nie będą masowo wstępować do OSO. Badania Fundacji Wyszehradzkiej (2018) wyraźnie wskazują, że mamy potencjał obywatelski (poczucie powinności obywatelskich,

wiedzę obywatelską), ale naszą społeczną aktywność lokujemy na szarym końcu. Można jednak zaproponować społeczeństwu innowacyjne sposoby reprezentowania obywateli.

Otóż OSO mogą stać się reprezentantem środowisk poprzez prowadzenie debat problemowych wśród wybieranych losowo ich reprezentantów (panele deliberatywne). Wybory losowe, stosowane w starożytnych Atenach, są i dziś uznawane za formę reprezentacji, np. w przypadku sędziów przysięgłych. Tak wyłonieni obywatele mają przedstawicielską legitymację i można w odniesieniu do nich wprowadzić instytucję mandatu związanego – wprost nakazującego przedstawicielom OSO walczyć o stosowne decyzje.

W Brazylii zaledwie 17 proc. obywateli partycypuje w OSO, a biedota w ogóle. Ale mimo skąpej liczby członków te właśnie organizacje postanowiły biednych reprezentować (to aż 80 proc. wszystkich OSO), w tym aż 95 proc. sąsiedzkich OSO i 75 proc. świadczących usługi non profit. Brazylijskie doświadczenie może być cenne dla Polaków alergicznych podchodzących do społecznej aktywności.

Brazylijski system społecznego przedstawicielstwa opiera się na trzech filarach: zobowiązaniu OSO do reprezentowania danego społecznego środowiska, partnerskich relacjach z politykami, czyli potencjale mediacyjnym (także z mocy konstytucji), oraz świadczeniu dobrej jakości usług swemu środowisku. Powstał fenomen – biedni obywatele, nieangażujący się formalnie nigdzie, aż w 60 do 70 proc. pomagają ad hoc swoim reprezentantom w różnych akcjach politycznych i społecznych.

My też tak możemy. Przecież nie zagniemy od zera. Mamy własną lekcję historii. Pierwsza „Solidarność” reprezentowała nie tylko członków związku zawodowego, lecz wszystkich pracujących. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

***Bartłomiej Nowotarski**

• prawnik konstytucjonalista, politolog, prof. Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu. Uczestniczył w transformacjach demokratycznych Polski, Tunezji i Egiptu

NOWY KANON ŚWIĘTYCH

Mamy Lecha na pomnikach i wyglądającego tak samo faceta, który je odsłania. Jakby koło wiecznie żywej władzy. Nie wiemy właściwie, kto kogo upamiętnia, brat brata, brat wodza czy może Jarosław samego siebie.

Z PROF. **RAFAŁEM WNUKIEM***,
HISTORYKIEM,
ROZMAWIA **PAWEŁ KRYSIAK**

Za chwilę w Lublinie, nieopodal gmachu Centrum Spotkania Kultur, stanie wielki pomnik Lecha Kaczyńskiego. Zna pan to miejsce, bo obok znajduje się Katolicki Uniwersytet Lubelski, gdzie uczy pan studentów rozumieć historię. Co pan na to?

– Niestety, to nie jest dobra zmiana. Powstający pomnik zdominuje plac. To przemoc symboliczna wobec ludzi, którzy w tym mieście mieszkają. Do tej pory mieliśmy tu dobrze zaprojektowaną, łączącą ludzi i przyjazną przestrzeń. Teraz to miejsce totalnie się zmieni. Pojawi się czterometrowa postać z betonowym tłem o szerokości 11 metrów. Jakby ktoś tam zaparkował autobus. To jest potężna agresja. Podejrzewam, że wkrótce do tego pomnika przylgnie wiele złośliwych określeń. Wraz z tym monументem zaprojektowano nowy, ostry konflikt, który podzieli miasto.

Nasi czytelnicy, którym pokazaliśmy projekt pomnika, dopatrywali się podobieństw do Kim Ir Sena.

– Ja mam inne skojarzenie. Przypomina mi się, jak w latach 80. wyglądał wjazd do Lublina od strony dworca PKS. Tam – niedaleko cerkwi na dzisiejszym placu Singera – stał pomnik Bolesława Bieruta. To był monument o podobnych proporcjach i kształcie do wznoszonego obecnie pomnika Kaczyńskiego. Ale to nieważne, czy przypomina komuś Bieruta, Kim Ir Sena albo Dzierżyńskiego. Chodzi o to, że to jest w 100 procentach pomnik narzucony odgórnie przez władzę, bez uwzględnienia opinii mieszkańców i wbrew głośnym protestom.

Jak stawiać pomniki nieprzemocowe? Da się?

– Oczywiście. To jest kwestia kultury politycznej i nie tylko politycznej. Byłem ostatnio w Norwegii. Konkretnie na wyspie Utøya, czyli w miejscu, gdzie skrajnie prawicowy terrorysta Anders Breivik dokonał rzezi socjaldemokratycznej młodzieży. Na tej małej wysepce, na której zginęło 69 osób, są dwa upamiętnienia, trzecie jest na brzegu jeziora. Nie zbudowano tam żadnego pomnika przez siedem lat. Rodziny zamordowanych dzieci w pierwszym odruchu chciały, aby cała wyspa została zamieniona w miejsce pamięci. Właściciel wyspy, czyli młodzieżówka socjaldemokratyczna, uznał, że jeśli tak się stanie, to zrobią dokładnie to, czego chciał Breivik. On wystąpił przeciwko otwartości, wspólnotowości,



• Projekt pomnika prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który ma stanąć w Lublinie FOT. RADA MIASTA LUBLIN

przeciwko wartościom, które wyznają. Jeśli zatem zrobią z tego miejsca cmentarzy-sko, wpiszą się w plan terrorysty. I cóż zro-bił norweski rząd i samorządy? Przez dłu-gie lata dyskutowano, strony ustalały sta-nowiska. W końcu wypracowano concept, z którego nikt nie jest do końca zadowolony, ale nie zostało naruszone poczucie wartości żadnej ze stron. Nie ma wygranych i prze-granych. Podstawą pomnika jest wspólnoto-wość, konsensus. U nas podstawą pomnika nie jest konsensus, lecz agresja. W Norwegii debatujące strony musiały się zgodzić na ja-kieś ustępstwa i budowały wokół upamięt-nienia wspólnotę. Utęya pozostaje miejscem spotkań młodych socjaldemokratów, a dys-kretne upamiętnienia są wkomponowa-ne w przyrodę wyspy. Lubelski pomnik Ka-czyńskiego jest odwrotnością tego podejś-cia. Władza siłą narzuca swoją wizję i buduje neosocrealistyczny monument. To zabija-nie idei konsensu w imię skuteczności.

Budujemy bez żadnego trybu.

– Teoretycznie mimo uchybień jakiś tryb jest. Mamy uchwałę, głosowanie radnych Lublina.

Jak donoszą media, zadziałał pewien układ polityczny, że czyjes żony gdzieś u ko-goś pracują, że wy nam dacie pieniądze dla miasta, a my pozwolimy wam wybudować pomnik. To są takie lokalne polityczne ukła-danki, gierki. Churchill powiedział, że tak, jak nie należy ludziom pokazywać, jak się robi parówki, tak nie należy pokazywać kul-lis polityki. Tylko że w Lublinie ludzie do-skonale widzą, jak się tę politykę tutaj robi. Czasami mam wrażenie, jakbym mieszkał w jakimś miasteczku na Bałkanach z fasa-dową demokracją lokalną, a nie w demokra-tycznym, obywatelskim Lublinie.

Radny Lublina Zbigniew Jurkowski, dzia-lacz PO od 2009 r., powiedział wprost:
„Głosuję za pomnikiem Kaczyńskiego, bo w zamian za to marszałek Stawiański z PiS (inicjator budowy pomnika) da nam pieniądze na budowę stadionu żużlowe-go”. Jak widać, historia jest dla PiS szale-nie ważna. Ale czy jest ważna dla PO?
– No cóż, ludzie, którzy tak myślą jak wy-mieniony radny, nie rozumieją, czym w po-lityce są emocje. Ich zdaniem polityka to wyłącznie kwestia interesów. Dlatego nie potrafią podtrzymywać emocjonalnego kontaktu z własnym elektoratem. Jeśli nie potrafimy opowiedzieć siebie w kategoriach historycznej wspólnoty narodowej i pozwa-lamy, żeby to robiła tylko jedna strona, za-kładamy sobie sznur na szyję.

Pięć lat temu à propos polityki historycz-nej PiS mówił pan, że „każda rewolucja, każda wielka zmiana dokonywała prze-orania pola symbolicznego”. Jak rozu-miem, lubelski pomnik Kaczyńskiego to element tej szerszej operacji?

– Absolutnie tak. Mamy do czynienia z ustanowieniem nowego kanonu świętych. Oczywiście nie chodzi o świętych Kościo-ła Rzymskokatolickiego czy prawosławne-go. Mam na myśli świętych politycznych, cywilnych. Tymi nowymi świętymi w pol-skim przypadku są tzw. żołnierze wyklę-ci. Powstają pomniki, organizowane są uro-czyste pogrzeby, tworzy się specjalne mau-zolea i panteony. To są swego rodzaju sank-tuaria polityczne. I to się dzieje wszędzie. Za tym idą obowiązkowe nazwy ulic w każdym mieście, imiona szkół, jednostek wojsko-wych, obchody Narodowego Dnia Żołnierzy Wyklętych, akademie ku czci itp.

Gdybyśmy się cofnęli w czasie do Polski lat 1945–47, ujrzelibyśmy dokładnie taką sa-mą operację na symbolicznej przestrzeni. Instytucjom, szkołom czy zakładom pracy nadawano wtedy imiona Karola Świerczew-skiego, Armii Ludowej, Lenina czy Hanki Sawickiej. Skład osobowy panteonu „świę-tych” był inny, ale sposób przeprowadzenia operacji taki sam. Podobieństwo jest tak wy-raźne, że aż bolesne.

Oprócz nowego kanonu świętych dru-gim ważnym elementem tego konstruk-tu historycznego jest antykomunizm. W tej opowieści pierwszoplanowy nie jest rok

1918, czyli odzyskanie niepodległości, ale 1920 – zwycięstwo nad bolszewikami. Pił-sudski pojawia się zawsze jako symbol wojny z Sowietami. Z kolei data 17 wrze-snia, czyli agresja Rosji na Polskę, jest rów-nie ważna, a może nawet ważniejsza od 1 września. Kolejnym elementem anty-sowieckości jest Katyń, który ma się łączyć ze Smoleńskiem, bo katastrofa lotnicza tę opowieść domyka. Najważniejszym jej bo-haterem jest Lech Kaczyński, który „poległ” na służbie jak żołnierze, jak oficerowie. Lu-dzie sprawujący dzisiaj władzę właśnie tak myślą o historii. W związku z tym zabudo-wują nam pomnikami Kaczyńskiego kolej-ne wspólne przestrzenie.

Oprócz zaplanowanej operacji na historii dochodzi jeszcze reakcja na to, co się dzieje na zewnątrz. Mam na myśli chociażby sto-sunki polsko-żydowskie. Ponieważ to jest trudny temat, a ma być fajnie, więc ogłasza-my, że nie było antysemityzmu, że zawsze pomagaliśmy Żydom. Trwa szeroko zakro-jona akcja upamiętniania osób, które po-magały Żydom, połączona z atakami na hi-storyków twierdzących, iż pomoc taka była wyjątkiem, a nie regułą. To kolejny element PiS-owskiej opowieści o Polsce XX wieku.

Ostatnio w „Wyborczej” Igor Rakowski-Kłos zebrał wypowiedzi ważnych polity-ków PiS, którzy mówią o tym, ilu Polaków ratowało Żydów. Te liczby rosną i rosną.
– Tak, idzie to już w setki tysięcy. Zawsze pomagaliśmy Żydom i zawsze walczyli-smy z komunistami, czy to jako żołnierze 1920 roku, czy to jako „żołnierze wyklęci”, a spadkobiercą tego nurtu jest PiS.

Dodajmy, że w polityce historycznej PiS chodzi nie tylko o budowanie nowych ele-mentów, ale też o oczyszczanie przestrze-ni ze wszystkiego, co do niej nie pasuje. Bo usuwanie starego jest elementem rewolucji.



Banknot z Lechem Kaczyńskim to rodzaj komiksu opowiadający o tym, jak mamy sobie wyobrażać przeszłość. Kaczyński jest tam nowym ojcem narodu. To jest Piłsudski i Dmowski w jednym

Kilka tygodni temu, kiedy rozpoczęła się budowa pomnika Kaczyńskiego, marszałek Stawiański zaproponował połączenie wojewódzkich instytucji, tak aby zniknęła nazwa Centrum Spotkania Kultur. Bo „ta nazwa nie nie znaczy”.

– Tak. Bo „spotkanie”, „wielokulturowość” czy „dialog” to nie są słowa bliskie rządzącej partii. Dumny naród nie rozmawia. To jest symboliczne dla całej tej operacji pomniko-wej w Lublinie. Dumny naród nie rozmawia, dumny naród dyktuje warunki.

Jak te pomniki działają na ludzi. Czy rze-czywiście jest to groźne zjawisko?
– Tak. To jest groźne.

Przeciętny mieszkaniec miasta nieko-niecznie interesuje się historią – rano wsta-je, idzie do pracy, dobrze ją wykonuje, po czym wraca do domu. I codziennie po dro-dze miją kolejne pomniki. Jest przekonany, że stawia się je ludziom ważnym. Jeśli sta-wia się komuś tak duży pomnik, to pewnie jest nie tylko ważny, ale i dobry.

Istotny jest chyba także napis na cokole, czyli narzucona interpretacja.

– Niekoniecznie. Bo jeżeli wszystko dobrze działa, to objaśnienia są zbędne. Na pomni-kach Włodzimierza Iłlicza Lenina nie by-ło rozbudowanych napisów. Wystarczył je-den wyraz – „Lenin”. Proszę zauważyć, dziś w Polsce nie ma osoby, która nie zna poję-cia „żołnierze wyklęci”. Ktoś może nie wie-dzieć dokładnie, o co chodzi, ale wie, że to byli dobrzy ludzie. Hasła powtórzone sto razy po prostu się utralają. Tłumaczenie, że to nie takie proste, że to nie była jednordna grupa, odnoszą niewielki skutek. Coś zosta-ło brutalnie uproszczone i koniec.

Jeśli pojawia się znaczący element kraj-obrazu, przez kilka lat wrośnie w prze-strzeń, a dodatkowo dla jakiejś grupy jest on emocjonalnie istotny, to operacja jego usu-nięcia jest właściwie nie do przeprowadze-nia. Dzień po tym, jak stanie w Lublinie po-mnik Kaczyńskiego na tle „autobusu”, hasło jego obrony będzie spajało pewną grupę za-angażowanych ideowo ludzi. I od tego mo-mentu każdy wyraz niezadowolenia, każ-da krytyka pomnika będzie już szarganiem świętości i obrażaniem polskich patriotów.

A Lech Kaczyński „poległ” w Rosji, więc krytyków pomnika może nawet dopaść komisja do spraw wpływów rosyjskich.
– Tego bym nie wykluczał. Krótko mówiąc, pomniki dużo łatwiej stawiać, niż je usu-wać. Pomniki padają niemal wyłącznie w chwilach rewolucji. A nie chciałbym, że-by w Polsce do tego doszło, bo taki przewrót najczęściej kosztuje ileś ludzkich istnień. Mam nadzieję, że Polska będzie się rozwija-ła ewolucyjnie.

Jak rozumiem, pomniki mogą być sku-tecznymi nośnikami historycznych kłamstw.
– Ależ oczywiście, że tak. Znamy takich upamiętnień wiele, niekiedy są zabawne, choć jednocześnie straszne i smutne. Dzi-siaj okazuje się, że na pomniku Józefa Kura-sia „Ognia” i żołnierzy walczących w jego od-dziale widnieją ofiary „Ognia”. Pisałem ostat-nio o przedziwnym upamiętnieniu w Zamo-ściu, gdzie IPN funkcjonariuszy aparatu bez-pieczeństwa Polski Ludowej „przerobił” na żołnierzy września 1939 r. To jest zaklamy-wanie historii wprost. Natomiast mogą być też pomniki sugerujące coś bardziej wyrafi-nowanymi środkami. Podam jeden charak-terystyczny przykład dotyczący ofensywny pomnikowej w Rosji Putina. Otóż po inwa-



Banknot z Lechem Kaczyńskim to rodzaj komiksu opowiadający o tym, jak mamy sobie wyobrażać przeszłość. Kaczyński jest tam nowym ojcem narodu. To jest Piłsudski i Dmowski w jednym

zji na Krym w Moskwie między Biblioteką im. Lenina a Kremllem postawiono olbrzy-mi pomnik Włodzimierza Wielkiego, założy-ciela Rusi. Ustawiono go na tle arkad, na któ-rych zobrazowano kolejne odsłony chrztu Rusi, czyli początku państwowości. Problem w tym, że wszystkie te sceny miały miejsce w Kijowie. W związku z tym dla Ukraińców to rzecz jasna początek Ukrainy. Ale Putin tym pomnikiem mówi tak: to nie początek Ukrainy, to początek Rosji. Przeciętny Rosja-nin, który tam przechodzi, ma myśleć, że ten początek był w Moskwie. Dokonało się prze-sunięcie symbolu, które niesie taki oto ko-munikat: Ruś Kijowska jest częścią historii Rosji, a nie częścią historii Ukrainy. Wobec osób o ukraińskiej tożsamości ten pomnik jest aktem przemocowym.

Wyobrażam sobie, że władzom związa-nym z PiS udaje się przejąć od samorządu Gdańska teren przy Europejskim Cen-trum Solidarności i stawiają tam wielki pomnik Lecha Kaczyńskiego. Oczywiście w kontrze do Lecha Wałęsy. I powiedzą tym pomnikiem nie wprost, że to Kaczyń-ski był przywódcą „Solidarności”. Takie coś jest możliwe?

– Niestety, tak. Polityka historyczna PiS to projekt dynamiczny.

Wyobraźmy sobie, że przyjeżdża do nas turysta z Turcji i podczas krótkiego poby-tu widzi siedem pomników Kaczyńskiego. Pomyśli sobie, ojej, Polacy też mają swojego Atatürka. I to jest rzeczywiście Atatürk – oj-ciec ojczyzny. To jest wymyślenie Atatürka. My mamy dziś w Polsce tego rodzaju pro-jekt, który jest konsekwentnie realizowany.

Proszę spojrzeć, jak wygląda bank-not z Lechem Kaczyńskim. To rodzaj ko-

miksu opowiadający o tym, jak mamy so-bie wyobrażać przeszłość. Kaczyński jest tam nowym ojcem narodu. To jest Piłsudski i Dmowski w jednym.

W operacji pomnikowej warto jeszcze zwrócić uwagę na jedną istotną rzecz – otóż Kaczyńscy są bliźniakami. Mamy zatem Le-cha na pomnikach i wyglądającego tak sa-mo faceta, który je odsłania. Jakby koło wiecznie żywej władzy. Nie wiemy właści-wie, kto kogo upamiętnia, brat brata, brat wodza czy może Jarosław samego siebie. Z polityki historycznej przenosimy się już w sferę sacrum władzy. Władzy, która sama siebie czci. A to już jest bizantyjskie.

Rok temu pojechałem do Warszawy. Po raz pierwszy turystycznie, a nie służbo-wo. Na placu Piłsudskiego zobaczyłem pomnik Lecha Kaczyńskiego, który wyraźnie dominuje nad stojącą z boku postacią marszałka. Rzeczywiście poczu-łem, jakby ktoś wykonał wobec mnie akt przemocy. Mruknąłem tylko pod nosem: „Mają rozmach...”.

– Monument Kaczyńskiego w Warszawie nie jest, zdaje się, nawet wyższy od pomni-ka Piłsudskiego, ale ekspozycja i propor-cja figury względem postumentu sprawia-ją, że widać przede wszystkim jego. Do te-go Piłsudski jest przygarbiony, ma schyło-ną głowę, Kaczyński zaś – zwalisty, z dum-nie uniesionym podbródkiem – patrzy lek-ko w górę. Takie szczegóły mają olbrzymie znaczenie dla odbioru rzeźby. Zresztą war-szawski plac Piłsudskiego jest sublimacją zjawiska, o którym mówimy. Parę lat temu trudno sobie wyobrazić, aby miejsce, w któ-rym znajduje się Grób Nieznanego Żołnie-rza, mogło zamienić się w przestrzeń, któ-ra podzieli ludzi. Jest to przecież symbol po-nadpartyjny, ważny dla każdego Polaka nie-zależnie od wyznawanych wartości. Wcześ-niej istniał tam rodzaj „osi pamięci” wyzna-czany przez pomnik Piłsudskiego – ojca nie-podległości, Grób Nieznanego Żołnierza – żołnierze, którzy oddali życie za ojczyznę. Dobudowanie w 2018 r. pomnika Ofiar Ka-tastrofy Smoleńskiej i pomnika Lecha Ka-czyńskiego sprawiło, że pojawiała się kolej-na „oś pamięci”, nowy ojciec niepodległo-ści i nowi „polegli za ojczyznę”. Umieszcze-nie pomników obok siebie narzuca inter-pretację, że mamy do czynienia z podobnie istotnymi postaciami i wydarzeniami hi-storycznymi, co jest daleko idącą manipu-lacją. Kaczyński to reinkarnacja Piłsudskie-go, a Smoleńsk to nowy Katyń. Proszę za-uważyć, że te dwa nowe pomniki zostały zbudowane jako przemocowe pomniki władzy w sensie dosłownym. Rząd PiS odebrał miastu zarządzanie placem i nadał tej prze-strzeni status terenu ważnego dla bezpie-czeństwa narodowego. I w jego myśleniu to jest rzeczywiście kwestia bezpieczeństwa narodowego, bo reprezentanci partii są na-rodem. Bezpieczeństwo narodowe polega na tym, że „my możemy”. Dopóki „my mo-żemy”, naród jest bezpieczny. My jesteśmy strażnikami pamięci i prawdziwymi Pola-kami. I każdy, kto przeciwko nam występu-je, nie jest narodem. Albo jest antynarodem. W efekcie pomnik smoleński stał się celem politycznych happeningów. Jest bezustan-nie strzeżony przez policję. Przestrzeń daw-niej łączącą zawłaszczyl jeden obóz poli-tyczny i stała się polem bitwy.

Czy PiS, walcząc tak zaciekle o tę prze-strzeń symboliczną, już jest na końcu drogi, czy nadal jest się czego bać.
– Moim zdaniem on już w sporym stopniu tę przestrzeń przeorał, ale z drugiej strony...

No tak, mówiliśmy, że w rujnowaniu praworządności już dalej się nie da pójść. A oni idą.
– Możemy sobie wyobrazić wpisanie obrony przestrzeni symbolicznej do kodeksu karne-go z wykazem postaci niegodnych upamięt-niania. Mogą np. wprowadzić zakaz upa-miętniania Lecha Wałęsy. Dlaczego nie?

Ten wysyp pomników Kaczyńskiego to też przykrywanie Wałęsy, gumkowanie.

– I mają na tym polu sukcesy. Przeczytałem biogram Lecha Kaczyńskiego opublikowany na stronie Kancelarii Prezydenta RP. Tam są stwierdzenia dalekie od prawdy. Ich lektura sugeruje, że Kaczyński był jedną z czołowych postaci Sierpnia '80.

Jeśli chowamy Wałęsę i zabudowujemy Kaczyńskim całą przestrzeń, to nie tylko on znika, ale też przestają być ważni Borusewicz, Krzywonos, Kuroń, Michnik. Unieważniamy istotne postaci, a wyciągamy działacza z trzeciego szeregu i stawiamy go na pomniku jako najważniejszego kreatora dziejów. Moim zdaniem to się kiedyś zawali. Na razie jednak rządzący wychodzą z następującego założenia: skoro mamy mandat wyborczy do rządzenia państwem, możemy dowolnie kształtować przeszłość.

Gruba operacja. Wałęsa jest dla świata postacią na miarę Gandhiego czy Luthera Kinga.

– To prawda, ale akcja toczy się w Polsce. Jeśli przez 20 lat we wszystkich mediach publicznych, w książkach będzie się tego Wałęsę spychało w dół, to wielu uwierzy, że Lech Kaczyński wraz z małżonką i bratem stali na czele 10-milionowego ruchu „Solidarności”. Nieważna jest rzeczywistość, ważna jest narracja. Proszę pamiętać, że żyjemy w świecie, w który ludzie wątpią we wszystko i jednocześnie we wszystko wierzą. To są czasy postprawdy. Dziś manipulacja historią jest dużo łatwiejsza niż kiedyś, bo mamy szum informacyjny.

W internecie różne prawdy z sobą walczą...

– ...a pomnik stoi. I jest prawdziwy, spiżowy. Skoro stoi, to znaczy, że Kaczyński jest ważny i był wielki. Koniec kropka. Ale z drugiej strony wyrasta nam nowe pokolenie, które inaczej interpretuje świat. Ma inny system wartości.

I dla niego takie agresywne pomniki, takie olbrzymie gwoździe wbite w przestrzeń miejską stają się symbolicznym punktem odniesienia. Dlatego one mogą wywołać odruch sprzeciwu, odrzucenia. Trudno uznać za agresję półtorametrowy pomnik w parku ustawiony przyławeczce. On nie budzi emocji. Natomiast przykład Pałacu Kultury i Nauki dowodzi, że ta przemoc symboliczna się odkłada. Do dziś są ludzie, którzy domagają się zburzenia tej budowli. Pomniki, takie jak ten, który stanie pod CSK, oddziałują podobnie.

Zalóżmy, że nie ma rewolucji, ale za pomocą kartki wyborczej udaje nam się zejść z autorytarnej drogi. I co wtedy? Czy nowa Polska powinna natychmiast się zająć nadawaniem sensu historii dla przyszłych pokoleń?

– To nie jest zadanie na dziś ani na jutro. To jest zadanie na wczoraj. Wspólnota potrzebuje scalających ją wartości, a te budowane są na wyobrażeniach o przeszłości, niekiedy również mitycznych. Mit nie musi oznaczać nieprawdy. Chodzi o wspólne wyobrażenie, co z przeszłości jest dla nas dobre i ważne i na czym chcemy budować przyszłość, lecz też do jakiego historycznego spadku należy się odnieść krytycznie i świadomie się od niego dystansować. Na tym polega zdrowe podchodzenie do własnej przeszłości. To trochę odległa analogia, ale mogą to porównać do kwestii zdrowego stylu życia.

Człowiek dowiaduje się, że istnieje zdrowe i niezdrowe jedzenie. Kiedyś jadł bardzo tłusto, nie stronił od cukru, niewiele się ruszał. Uświadomiono mu, że jedzenie śmieciowe należy odrzucić i żeby żyć dłużej i zdrowiej, trzeba czasami poćwiczyć. A ktoś powie, co tam, ja wolę jednak stary tryb życia, bo taki jestem i to mi sprawia przyjemność. Tak wybrał, a mógł inaczej. Działanie na historii jest poniekąd podobne. Obywatel musi wiedzieć, jak było, by świadomie wybierać między różnymi tradycjami, na tej podstawie konstruować opowieść o przeszłości i na niej budować przyszłość.

Dziś mamy do czynienia z dyktaturą opowieści martyrologiczno-heroicznej. Obecnie rządzący odrzucili całkowicie oświecenie i krytyczne myślenie. Obowiązuje narodowy narcyzm. Odrzucane jest wszystko, co mogłoby popsuć Polakom dobre samopoczucie. Czyli tak naprawdę uczymy się być głuchym na wszystkich wokół. To postawa tchórzliwo-obronna. Niezdolny do autorefleksji narcyz nie ma odwagi ani wiedzy, by rozmawiać z ludźmi wywodzącymi się z odmiennych tradycji. Taka polityka historyczna jest mi całkowicie obca. Polski

patriota powinien się nauczyć krytycznie myśleć o sobie samym i próbować zrozumieć (niekoniecznie zaakceptować) opowieści innych; powinien się nauczyć z tym żyć i umieć podjąć dyskusję.

Propozycja zamknięcia się w polskim punkcie widzenia jest niczym innym jak przepisem na całkowitą marginalizację intelektualną i etyczną. To przepis na zepchnięcie nas poza główny nurt życia w Europie i świecie. Swoją drogą pomysł, jakoby istniał jeden „polski punkt widzenia”, jest sam w sobie aberracją.

Co z naszej historii możemy wnieść do wielkiej opowieści o Europie?

– To, co powiem, nie jest odkrywcze. Potrzebujemy różnorodnych opowieści. Narracje te muszą być oparte na rzetelnej wiedzy historycznej, badaniach akademickich i powinny uwzględniać uniwersalne wartości. Z takimi opowieściami moglibyśmy współkształtować europejską pamięć. W Europie współżyją małe i średnie narody. Nawet te, które liczą blisko 70 milionów ludzi, z punktu widzenia Chin czy USA są narodzikami. W dobie globalizacji jedynie naprawdę silne gospodarki, wielkie organizmy kulturowo-polityczne są w stanie liczyć się w grze międzynarodowej. Chcemy czy nie, Europa stworzy taki organizm. Pytanie, czy będziemy jego częścią.

W Domu Historii Europejskiej w Brukseli zobaczymy, że Polska historia może być znakomitym towarem eksportowym. Tamtejsza wystawa eksponuje rolę „Solidarności”, rolę umiejętności zawierania kompromisów i kwestie walki o prawa jednostki. Jestem święcie przekonany, że gdybyśmy dziś wyznaczyli do budowy takiego domu europejskiego naszych rządowych ekspertów od historii, to mielibyśmy tam ekspozycję mniejszą od Estonii.

Piśmońska opowieść o Polsce jest tak narcystycznie wewnętrzna, tak prowincjonalna, że aż boli. Nie ma w niej seksapilu.

Mówi pan, że w Domu Historii Europejskiej „Solidarność” jest mocno obecna.

– Nie tylko „Solidarność”. Tam jest też opowieść o roli Polaków w rozwalaniu imperiów, rosyjskiego, niemieckiego czy Austro-Węgier. Ale faktycznie w opowieści europejskiej jest piękny rozdział o „Solidarności” i polskiej walce z dwudziestowiecznymi totalitaryzmami. Tymczasem Sierpień '80 i nasza lekcja dialogu, który daliśmy światu, zostają w Polsce wygumkowane. A przecież nie ma lepszej polskiej propozycji na dziś niż idea „Solidarności”. Plus coś, co się dziś sprawdza w sposób szczególny, czyli hasło: „Za wolność waszą i naszą”, a co jest przeciwieństwem nacjonalizmu. I jeśli dodamy jeszcze trochę zmitologizowaną polską tradycję republikańską i „od unii lubelskiej do Unii Europejskiej”, to mamy nasz atrakcyjny wkład w europejską opowieść. A dziś na to się wypieiliśmy.

Opowieść piękna, ale musimy jakoś wejść z nią w nasz krwibieg.

– Mamy w naszej bibliotece narodowej wiele ciekawych propozycji, które mają europejską moc. Jednak na razie tej opowieści nawet nie próbujemy ukształtować na wewnętrzny polski rynek. I tu wracamy do chronicznej nieudolności dużej części opozycji, liderów opozycyjnych, którzy uważają, że ważniejszy jest od niej nowy stadion żużlowy. ●



FOT. JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Prof. Rafał Wnuk

• pracuje w Instytucie Historii KUL. Specjalizuje się w dziejach pierwszych lat po II wojnie światowej, bada głównie antykomunistyczną konspirację. Jest współautorem „Atlasu podziemia niepodległościowego 1944-1956” i wystawy głównej Muzeum II Wojny Światowej. Związany z Pracownią Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej im. Jerzego Kłoczowskiego w Ośrodku Brama Grodzka – Teatr NN

Zamęt

„Sieć McDonald's promuje homoseksualność... w książkach dla dzieci. Tak – w Polsce!”.

Michał Rusinek

Tak donosi portal Pch24.pl, czyli Polonia Christiana, prowadzony przez Stowarzyszenie im. Piotra Skargi. Powiało grozą. Jakże to? Polska rodzina (chłopak i dziewczyna) przychodzi sobie na obiad z dzieckiem do ulubionej restauracji, zamawiają ulubione hamburgery, a dla dziecka – zestawy Happy Meal. Niby to wesołe danie, ale okazało się, że zawiera podstępna truciznę: „W ramach zestawów Happy Meal można obecnie otrzymać książeczkę pt. »Mogę zostać zdolnym muzykiem« (w ramach serii Little People, Big Dreams). Książeczka opowiada między innymi o postaci Eltona Johna” – czytamy dalej na wspomnianym portalu.

Autor donosu – z nieukrywana odrazą – zajął za rzeczony książeczki: „Czytamy, że Elton John postanowił zmienić swoje życie: »I udało mu się to! Zaczął się zdrowo odżywiać, odpowiednio wysypiać i dbać o siebie. Stał się jednym z solistów, którzy odnieśli największy sukces wszech czasów. Wziął także ślub – wraz ze swym mężem Davidem i z dwoma synami stworzył rodzinę, o jakiej zawsze marzył« – głosi treść. Na obrazku przedstawiony jest sam Elton John z dziećmi, które adoptował”. Jeśli sądził, że to ostrze zjadliwej satyry autora skieruje się przeciwko fragmentowi „zaczął się dobrze odżywiać” w książeczce rozdawanej przez sieć sprzedającą niezdrowe jedzenie, byliśmy w błędzie. Czytamy natomiast: „Tego rodzaju propaganda w oczywisty sposób godzi w moralność, która jest w Polsce konstytucyjnie chroniona”. To skądinąd zabawne, że jeśli jakiś sąd jest nieoczywisty lub po prostu nieprawdziwy, politycy, publicyści i kaznodzieje lubią go okraszać sformulowaniem „w oczywisty sposób” lub „oczywista oczywistość”, święcie wierząc, że tym samym nadadzą mu znamiona oczywistości lub prawdy. Tymczasem nadają mu wyłącznie znamiona piętnowanej przez siebie propagandy.

Książeczką o Eltonie Johnie zajął się także prawicowy portal CitizenGo, budujący „społeczność aktywnych obywateli, którzy współdziałają poprzez petycje online i różnorodne akcje w celu obrony i promocji życia, rodziny oraz wolności”, założony w 2013 r. w Hiszpanii przez ultrakonserwatywną katolicką organizację HazteOir, sponsorowaną przez kremlowskiego oligarchę Konstantina Małofiejewa. Na portalu znalazła się petycja do dyrektora generalnego McDonald's nawołująca do „natychmiastowego wycofania kontrowersyjnej książeczki z zestawów Happy Meal” i propagowanie wyłącznie takich treści edukacyjnych, które „będą zgodne z wartościami tradycyjnego modelu rodziny”. Do petycji włączyła się też (a jakże, przecież to sprawdzona sowieckie metody) anonimowa zatroskana matka: „Nie wyobrażam sobie, że miałabym przeczytać tę książeczkę mojemu dziecku na dobranoc (...). Jako matka jestem głęboko zbulwersowana tym, co się wydarzyło. Treści dotyczące Eltona Johna zawarte w tej książeczce martwią mnie”.

Autorzy petycji zwracają uwagę, że „okładka książeczki nie informuje o jej zawartości, pozostawiając rodziców nieświadomymi tego, co przedstawia

swoim dzieciom, dopóki nie zaczną czytać. Brak przejrzystości budzi nasze niezadowolenie i rozczarowanie”. I słusznie! Przecież na okładce każdej książki powinna się znajdować informacja, o czym ona jest oraz – w przypadku kryminalów – kto zabił. Oszczędzi nam to trudu czytania i związanych z nim rozczarowań, a zapewni pożądaną przejrzystość.

CitizenGO nie poprzestał jednak na petycji, ale postanowił walczyć z happy-mealową prozą za pomocą poezji, zapewne wychodząc z założenia, że jest ona formą szlachetniejszą i artystycznie doskonalszą. Autorką poniższego utworu jest prawdopodobnie sama Sylwia Mleczo, dyrektor ds. kampanii społecznych w CitizenGO. Zaczyna się on jak reklama: „McDonald's to miejsce, gdzie małe dzieci lubią chodzić./ Happy Meal ma uśmiech im przynosić”. Zaraz jednak w tym idyllicznym pejzażu pojawiają się chmury: „Lecz oto polscy rodzice bardzo się zdziwili./ Bo idąc tam na propagandę LGBT dzieci narazili”. Rymy w tym utworze są, jak widzimy, albo niedokładne, albo gramatyczne. Na czym polegają te gramatyczne, świetnie pokazuje kolejny dwuwers: „Do ulubionych zestawów książeczkę o Eltonie Johnie dołączają/ I o jego homoseksualnym małżeństwie w niej opowiadają”. Dalej mamy do czynienia z sądami ogólnymi: „Indoktrynacja naszych dzieci już nie dzieje się w ukryciu./ Chcą im jawnie mieszać w głowach i w życiu”. Czyli kiedyś było lepiej, bo po cichu, a dziś jest gorzej. I w ogóle powinno być jak na przykład w Rosji, gdzie od 2013 r. obowiązuje ustawa zakazująca „propagowania homoseksualizmu wśród osób niepełnoletnich” pod groźbą wysokich grzywn. W tym duchu utrzymane są kolejne strofy: „Lecz mówimy NIE tym niecnym planom./ Bo to się nie podobają nam, ojcom i mamom./ To my rodzice chcemy przekazywać dzieciom wartości./ Które je ukształtują i pomogą, gdy będą dorośli”. Powyższe wersy mogą posłużyć nauczycielom poetyki jako przykłady asonansów. Całość kończy idylla chrześcijańska, więc jedyna prawdziwa: „Teraz nasze maluchy niech mają czas beztroski./ A my się będziemy modlić dla nich o plan boski”.

Dlaczego dzieciństwo przestaje być bez troski, kiedy dziecko dowiaduje się, że ludzie tej samej płci też mogą się kochać? Ani w artykule z Pch24.pl, ani w petycji CitizenGO nie znajdziemy odpowiedzi na to pytanie. Autorzy petycji obawiają się, że informacje „na temat homoseksualizmu czy małżeństw osób tej samej płci i adoptowania przez nich dzieci” mogą „wprowadzać zamęt w umysłach młodych dzieci”. Pomijając zastanawiające skądinąd sformułowanie „młode dzieci” (brzmiałoby jak kalka z rosyjskiego), zwróćmy uwagę na „zamęt”, czyli zakłócenie porządku. A czym jest ów porządek? Dobrze pokazują to dwa tweety posła Janusza Kowalskiego zamieszczone tego samego dnia. W jednym ostrzega przed Paradą Równości: „Dziś ulicami Warszawy przejdzie parada zwolenników tęczowej opresji, lewackiej nietolerancji i krzywdzenia dzieci adopcjami przez homoseksualistów. Obłąkanie wymalowani dewianci w lateksach i kajdanach chcą narzucić normalnym rodzinom obcą ideologię gender”. W drugim chwali się, że dotrzymał słowa i doprowadził do wybudowania „nowej zaplanowanej hali treningowej” w Namysłowie. Można więc powiedzieć, że zamęt wprowadzają dwaj mężczyźni w lateksach trzymający się za ręce. Natomiast dwaj mężczyźni w trykotach spleceni w morderczym uścisku podtrzymują odwieczny, święty porządek świata. ●

Barak baristów

Wsadź nos w nieciekawe miejsca,
a zaproszą cię na kawę po 40 zł za filiżankę

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK*

FOT. SHUTTERSTOCK



D

Do jawańskiej Yogyakarty, dawnej stolicy Indonezji, turyści z całego świata przyjeżdżają, traktując ją jako bazę wypadową do pobliskich zabytków z listy światowego dziedzictwa. Zarówno wspaniałe hinduistyczny kompleks świątynny Prambanan, jak i Borobudur, największą świątynię buddyjską na świecie, oraz pobliską Candi Sewu, zbudowaną z kamienia w VIII i IX w. Trudno nie dać się im urzec, szczególnie o wschodzie i o zachodzie słońca, kiedy niskie oświetlenie ujawnia nowy wymiar monumentalnych budowli. Trudno nie za-

chwycić się kunsztem architektów i rzeźbiarzy z czasów, kiedy Europa tkwiła spokojnie w mrokach średniowiecza, a na ziemiach polskich uczono się budować pierwsze drewniano-ziemne grody. Do tych oczywistych urzeczeń doszło jeszcze jedno, zupełnie nieoczekiwane, które zawdzięczać natrętnej skłonności do wściubiania nosa w miejsca niezapowiadające niezwyklej wrażeń. Tym razem postanowiłem zajrzeć do zbitego z prostych desek ni to baraku, ni to garażu stojącego między małymi domami na przedmieściu miasta. To, co było w środku, dostarczyło nam przeżyć nie tylko wizualnych, ale też węchowych i smakowych na najwyższym poziomie. Okazało się bowiem, że przypadkiem odkryłem lokalny klub wyrafinowanych kawiarni, którzy zbierali się w nim wyłącznie dla własnej przyjemności, najwyraźniej ukrywając się w tej nieoznakowanej budzie przed zgiełkiem krzątającego się wokół

miasta. Nie wiem, czy odnieśliby sukces na World Barista Championship, lecz szczerze pasji i znawstwa przedmiotu na pewno im nie brakowało. W pozbawionym okien wnętrzu panował półmrok, jedynie snop silnego światła padał na środek długiego stołu pokrytego białym laminatem. Siedziało przy nim trzech młodych mężczyzn, którzy przyjaźnie zaprosili mnie do środka. Przed nimi leżała kupka surowych ziaren kawy, które cierpliwie sortowali według tylko sobie znanego klucza, dzieląc je ziarno po ziarnku na trzy kategorie, które gromadzili w plastikowych miseczkach. Oprócz stołu do sortowania stał tam jeszcze mniejszy stół z drewnianym blatem, a na końcu pomieszczenia znajdował się mały barek, za którym stał szef klubu i mistrz kawowej ceremonii. Zaprosił do środka całą naszą pięcioosobową grupkę, usadził przy drewnianym stole, mnie zaś

Trudno nie zachwycić się kunsztem indonezyjskich architektów i rzeźbiarzy z czasów, kiedy na ziemiach polskich uczono się budować pierwsze drewniano-ziemne grody

zaprosił do malutkiej przestrzeni za swoim barkiem, gdzie przygotowywał kawę dla koneserów. Na drewnianych półkach stało kilkadziesiąt słoików po dżemach wypełnionych ziarnami kawy, które profanowi wydawały się identyczne, oprócz niewielkich różnic w barwie – od jasno- do ciemnobrązowej. Żaden nie był opisany, bo fachowcowi pisemne identyfikatory nie były potrzebne, a nam i tak niewiele by powiedziały. Naszą zawstydającą ignorancję szybko ujawniła niepewna odpowiedź na pytanie o ulubione kawy. Gospodarz przejął więc inicjatywę, proponując degustację pięciu najlepszych kaw z Indochin i indonezyjskich wysp. Następnie rozpoczął ceremonię parzenia. Najpierw zmielił zawartość pięciu słoików, za każdym razem starannie czyszcząc szczotką wszystkie rozbielane części malutkiego młynka. Każdą porcję zalewał gorącą wodą, lejąc ją ostrożnie

po ścianie szklanki z grubego szkła. Dopóki kawa unosiła się jeszcze na powierzchni wody, pokazywał, jak zagarniać ku sobie jej zapach łyżeczką, zanim przejdzie się do degustacji. Ten z nas, który z tych pięciu zanonimizowanych kaw wybrał tę obiektywnie najlepszą, został nagrodzony zaszczytem degustacji najlepszej kawy świata, czyli słynnej kopi luwak, która do niedawna była najbardziej ekskluzywną, bo najdroższą kawą na rynku. W Polsce cena jednego kilograma zaczyna się od ok. 1800 zł, a espresso w Warszawie to wydatek przynajmniej 40 zł. Taką cenę uzasadnia podaż, która sięga ledwie 400 kg rocznie. Proces produkcji ograniczony do części Sumatry jest niezwykły i trochę obrzydliwy. Tę kawę tworzą bowiem tylko ziarna, które przeszły przez przewód pokarmowy laskunów palmowych, nazywanych właśnie luwak. Te niewielkie ssaki futerkowe bardzo dbają o jakość swojej diety, więc zjadają tylko najbardziej dojrzałe owoce kawowca. Wskutek działania kwasów żółdkowych niestrawione ziarna tracą gorzyc i nabierają aksamitnego smaku. Od niedawna kopi luwak ma poważną konkurencję w postaci tajlandzkiej black ivory coffee, którą wytwarza się tylko na jednej farmie, przepuszczając owoce kawowca przez przewody pokarmowe słoni. Roczna produkcja to zaledwie kilkadziesiąt kilogramów, wykupowanych przez najdroższe hotele, które aranżują wyszukane ceremonie parzenia tego specjału. Naszych jawańskich baristów ceny nie interesowały, bo zbierali się w swoim klubie li tylko gwoli zaspokojenia wyrafinowanych wymagań smakowych. Skromnie ukryci w drewnianym baraku raczyli się wyśmienitymi kawami we własnym towarzystwie – bez widowni, bez poklasku i bez zysków, na które mogliby przekuć swoje umiejętności. Nie chcieli mi sprzedać nawet odrobiny ze swojej ekskluzywnej produkcji. ●

***Przemysław Urbańczyk** – związany z UKSW i PAN, jeden z najbardziej znanych polskich mediewistów, autor wielu książek, m.in. „Rok 1000. Milenijna podróż transkontynentalna”, „Zanim Polska została Polską”, „Mieszko Pierwszy Tajemniczy”, „Co się stało w 966 roku?”, „Bolesław Chrobry – lew rycacy” i najnowszej „Trudna historia zwłok” oraz kilkuset artykułów

Matejko. Malarz i historia



Muzeum Narodowe w Krakowie

23.06.2023-07.01.2024
MNK GMACH GŁÓWNY



Wystawa pod Honorowym Patronatem Wiceprezesa Rady Ministrów, Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego prof. Piotra Glińskiego
Zadanie „Jan Matejko”. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Mecenas MNK



Partnerzy Strategiczni MNK



Partnerzy Wystawy



POSEŁ BRAUN W CZYLI PRZYJEMNY BAS Z POLICYJNYM NADZOREM

Prezes Korony Polskiej może wejść, gdzie chce, i wszyscy muszą go słuchać, zatem cieszymy się, że nie ma ochoty pilotować samolotu

FRAGMENT KSIĄŻKI
MARCINA KĄCKIEGO
„CHŁOPCY. IDĄ PO POLSKĘ”

W przypadku trzeciego koalicjanta Konfederacji, Korony Polskiej, czyli Grzegorza Brauna, no bo to w zasadzie partia jednoosobowa, najtrudniej wybrać fragment z jego bogatego życiorysu, który z należyłym majestatem charakteryzuje tę postać.

Pamiętajmy, że to nie tylko polityk, ale i reżyser filmowy, ma na koncie dokument o Marcinie Lutrze, reformatorze Kościoła, bezlitośnie krytyczny, wiadomo, ale zanim Braun przeszedł do ostrej propagandy w filmach „Eugenika”, „TW »Bolek«”, „Towarzysz generał idzie na wojnę” czy „Zamach smoleński”, współreżyserował dla TVP serial „Warto kochać”. Polecam do niego niedzielny obiad, kawę i landrynki.

Jednak moją ulubioną długometrażową produkcją Brauna – dwie godziny i sześć minut – która bez cięć pokazuje fascynujący los Polski pod rządami Korony Polskiej, jest film z YouTube’a pod tytułem „HIT: INTERWENCJA POSELSKA w Filharmonii Narodowej ws. SEGREGACJI SANITARNEJ!”. Jest on dowodem nie tylko na to, że można zrobić polski film, w którym świetnie słychać dialogi, ale też na to, że Braun wyrwał się z peletonu przeciętności i dogonił Korwiną, a nawet rozpycha się z nim w wyścigu o „przywrócenie autorytetu Sejmu”.

Zanim wejdziemy w akcję filmu, a zastrzegam, że dynamika będzie w allegro, a nawet w vivace, bo trafimy w tematy muzyczne, przypomnę, że o ile Korwin na trybunie sejmowej brylował, o tyle Braun ograniczał się do „szczęść Boże” i zaraz zniknął na żądanie sejmowych marszałków, bo nie chciał założyć maseczki.

Ale rozsiądźmy się wygodnie, bo oto ulica Sienkiewicza w Warszawie, tuż obok mieści się Filharmonia Narodowa, i oto poseł Braun w czarnym dostojnym płaszczu, z dwoma czy trzema asystentami udaje się na interwencję poselską, czyli wykorzystuje pewien przywilej posłów, że mogą wejść, kiedy i gdzie chcą, jeśli to instytucja publiczna, i zażądać, czego chcą, by sprawdzić, czy instytucja nie urąga na przykład powadze autorytetu państwa.

Ale Braun idzie sprawdzić co innego, bo oto jeden z kontrabasistów i związkowiec poskarżył się posłowi, że jest szykanowany, a nawet wyciągany ra-

zem z kontrabasem z zespołu, bo nie chce okazać testu na COVID, kontrabasista to bowiem jeden z popleczników STOP NOP, czyli po prostu antyszczepionkowiec. No to idziemy za Braunem do budynku filharmonii, widzimy, jak poseł najpierw wynosi z tego budynku tablicę z napisem: „Okaż certyfikat covidowy”, robi tablicą zamach nad głową i wali nią w chodnik, jakby chciał ten chodnik zabić, czyli po prostu niszczy własność filharmonii. Idziemy za nim dalej, widzimy, jak reżyserskim, wprawnym okiem kontroluje, czy aby kadr trzyma poziom, korytarzem przez sekretariat i do gabinetu dyrektora, przy czym warto zauważyć, że Braun wchodzi tam jak do siebie i oczywiście ani on, ani nikt z jego świty nie ma maseczki, a to październik 2021 roku, umiera dziennie ponad sto osób.

Personel filharmonii w maseczkach, dyrektor, też w maseczce, mówi, gdy widzi w drzwiach swojego gabinetu Brauna, że ma spotkanie, na co Braun, by to spotkanie zakończył, po czym odstawia teczkę, wiesza płaszcz, patrzy, czy kamera trzyma kadr, i siada. Dyrektor próbuje protestować wyraźnie wstrząśnięty, że skoro tak, to on wychodzi, no i pakuje się, opuszcza swój gabinet i – uwaga – teraz suspense, bo Braun się nie godzi, by sobie dyrektor wyszedł ze swojego gabinetu, jak chce, jakby to był jego gabinet, bo teraz to gabinet Brauna, co przecież widać, i każe poseł Braun wezwać policję, a dyrektor ma zostać i niezwłocznie pokazać wszystkie dokumenty, które „świadczą o segregacji sanitarnej w filharmonii”, na co dyrektor próbuje jeszcze walczyć, że może Braun do niego napisze, ale przecież Braun, jak się domyślamy, nie po to tachał do filharmonii całą ekipę filmową, by prowadzić teraz korespondencję.

Ale chwila, bo do gabinetu dyrektora, w którym siedzi Braun, wchodzi ten kontrabasista, bardzo duży, a gabinet nie za duży, więc robi się ciasno, mimo że dyrektor trzyma się futryny, więc do brze, że kontrabasista nie przyszedł z kontrabasem. Braun pyta, czy jakąś tutaj kawę dostanie, bo w końcu jest prawie u siebie, na co ktoś od dyrektora gasi światło, na co ktoś od Brauna je zapala, i – uwaga – znów suspense, bo wchodzi policja, to znaczy jeden policjant, bo drugi się nie mieści i stoi w sekretariacie z dyrektorem, na co Braun prosi, by wylegitymowali „tego zamaskowanego osobnika”, bo w zasadzie to nie wie, czy to aby na pewno dyrektor, przez tę maskę, na co policjant, jako że też jest w masce, coś tam mruczy, na co Braun rozkazuje, że policjant ma tu zostać, bo może być łamane prawo. I rzeczywiście teraz widać, jak na drugim planie policjanci legitymują dyrektora, jakby to był przechodzień albo intruz, a Braun na pierwszym bierze delikatnie łyk kawy z filiżanki i pyta, kogo wylegitymowali, na co policjant, że nie może powiedzieć, bo jest RODO, a Braun to w końcu urodzony legalista, więc sza-

nuje odpowiedź policjanta, a nawet mruczy: „No tak, trzeba mieć szacunek dla prawa”.

Na drugim planie policja oddaje dowód „zamaskowanemu osobnikowi”, jak nazywa go Braun, ale założmy, że to dyrektor Filharmonii Narodowej Wojciech Nowak, który pozostanie już na tym drugim planie, bo to jednak postać drugoplanowa tego filmu grozy, przyznajmy. Tymczasem kontrabasista głosem nieśmiałym opisuje swój dramat, czyli odsunięcie od pracy kontrabasisty, no bo dyrektor chce, żeby pracownicy okazywali testy, a kontrabasista nie zamierza się testować, no i zostaje odsunięty razem z kontrabasem, co tak porusza Brauna, że aż się do kontrabasisty bliżej przysiąda, a tak naprawdę koryguje kadr. Wchodzi teraz policjant i mówi, że dyrektor filharmonii, czyli „osobnik zamaskowany”, prosi, by Braun i reszta założyli maseczki, na co Braun odpowiada, że przyjął do wiadomości, no ale nie tacy z nim próbowali, w końcu właśnie wybulił potężną karę w Sejmie, i teraz słyszymy, bo kamera się przesunęła na kontrabasistę, który wypełnia cały plan, jak Braun mówi policji, że w filharmonii dzieją się rzeczy sprzeczne z prawem, i mówi to przez kilka minut zdaniami tak pełnymi, długimi, okrągłymi i frazami tak gładkimi, tak wolno i głosem tak niskim, chyba basem, bo nawet na twarzy kontrabasisty widać przyjemność płynącą ze słuchania tego

**W przerwie szybki masaż,
chłodzenie ręcznikiem
i sędzia wyprowadza trzy proste
zdania, czyli dopuszcza biegłego
językoznawcę, niech on rozstrzygnie,
czy „Korona” może być skrótem**

basu, tym bardziej że sam kontrabasista mówi chyba tenorem, bo raczej nie falsetem, nie wiem, ale na pewno kilka tonacji wyżej niż Braun, więc Braun mówi tym tonem, a na jego twarzy widać takie rozanielenie, że mam przecucie, że ten głos musi uruchamiać w jego głowie jakiś ośrodek odpowiedzialny za przyjemność, i pozostaniemy na chwilę w temacie głosu, bo oto kontrabasista tym cieńszym głosem skarży się, że testy robi się patyczkiem, który wkłada się nie do „jamy ustnej”, ale do „jamy nosowo-gardzielowej”, i nawet jedna z ich śpiewaczek chóralnych długo dochodziła po tym do siebie, na co Braun basem, „no coś podobnego”, a i policja w futrynie kiwa głowami, być może też zauroczona głosem Brauna i jego zdaniami długimi, których prze-

FILHARMONII,

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER



cież na co dzień, na ulicy, raczej policjanci nie słyszają, a może i nawet pierwszy raz są w filharmonii, na interwencji oczywiście, zatem nawet sympatycznie się robi, bo teraz wreszcie wszystko do tej filharmonii pasuje. Bo oto Braun ma solówkę, publiczność zasluchana, konkurencja do pierwszoplanowej roli zgłanowana, a wszystko wśród plakatów Zubina Mehty i wiedeńskich filharmoników.

Potem mamy trochę nieudolnych występów „zamaskowanego osobnika”, by ratować honor, ale daremnie, bo Braun basuje: „Proszę nie przerywać”, a potem stawia żądania, ale znów tak długo, zawile i niskim tonem, że „zamaskowany osobnik” odpowiada, że nie pamięta, co było na początku zdania, i to się broni, bo chyba nikt w tamtym pokoju tego nie pamięta, może nawet sam Braun, ale poseł prosi policję, by „zamaskowanego osobnika” zdyscyplinowała, tak że robi się teraz „Straszny dwór”. Widać też jednak, że Braun, za chwilę już rozluźniony, musi wiedzieć, że materiał filmowy będzie dobry, proponuje nawet „zamaskowanemu osobnikowi”, by usiadł w swoim własnym gabinecie, bo stoi, trzymając się futryny, na co „zamaskowany osobnik”, że nie chce siadać, że będzie stał.

Zatem nie ma co wnikać w treść tego, co słyszymy, bo nawet Braun zdaje się już samego siebie nie słuchać, bo przecież nie o to tu raczej chodzi, ale o głos, o materiał filmowy, a poza tym o upokorzenie publiczne szefa Filharmonii Narodowej na oczach jego pracowników, i to jest główna fabuła tego fil-

mu, a dzieje się to w dniu, co sprawdziłem, gdy zarejestrowano w Polsce 8361 nowych zakażeń, zmarło 133 chorych. I nawet gdy słysząc, jak dyrektor prosi policję, by coś zrobiła, bo to chyba jakieś żarty są, to jednak stróż prawa nic nie robią, a jeszcze Braun podkreśla pytaniami, czy aby dyrektor „zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji”, i ubolewa, że dostał tylko jedną kawę na cztery, ale może zaraz zamówi pizzę do gabinetu dyrektora, to w pewnym momencie jesteśmy świadkami czegoś, co opisano w studiach nad porwaniami, bo oto dyrektor zdaje się akceptować swoje położenie, godzi się z losem i brakiem nadziei, zaczyna biegać i donosić Braunowi dokumenty, których ten żąda basem w towarzystwie kontrabasu, a gdy dyrektorowi zdarza się agonalnie wzdrygnąć w tym upokorzeniu, to Braun dyscyplinuje go słowami: „Proszę świadków o odnotowanie, że dyrektor nie współpracuje”.

Wreszcie, kiedy Braun, może nawet przez litość albo nakarmiony potęgą swojej władzy i głosem oraz poczuciem wspaniałości zebranego materiału filmowego, wstaje i się ubiera, jakby na chwilę na lunch tylko wychodził, to jego diagnoza jest krótka – kontrabasista został odsunięty od pracy, a to oznacza, że były tu nękanie i mobbing, i segregacja sanitarna. Poseł Braun ma nadzieję, że dyrektor za swoje bezprawie opuści ten gabinet, więcej tu nie wróci, a potem jeszcze mu grozi palcem w sekretariacie i życzy Polsce, by „przeżyła takich osobników jak dyrektor”, dziękuje policji, tłumaczy jej nawet, że co to

za czasy nastąpiły, że matka nie może dzieciom chleba kupić za rogiem bez paszportu covidowego, i z Panem Bogiem... „Z Panem Bogiem” – odpowiada policja.

Pod filmem czytam tysiące wyrazów podziwu, wydaje się, że to oddani wielbicieli Korony Polskiej i Brauna, bo wiele w tych komentarzach szczerzych podejrzeń o boskie pochodzenie posła...

I w zasadzie jedna rzecz z tego filmu nie daje mi spokoju. Oglądałem wcześniejsze nagrania Brauna i na tych sprzed kilku lat wyraźnie słyszę, że ma tam głos o wiele wyższy, a przecież w wieku dorosłym raczej się samoistnie nie zmienia.

Wtedy przychodzi mi do głowy, że być może poseł Braun po prostu wyćwiczył emisję głosu na niższy, a gdyby tak było, to wszystko robi się jasne i zrozumiałe. Gdybym zainwestował w głos, tak by jego wibracja pobudzała mój ośrodek przyjemności, to po pewnym czasie znudziłoby mi się siedzenie w domu i mówienie do siebie, zacząłbym chodzić po mieście i zaczepiać ludzi. A skoro Braun ma taki przywilej, że może chodzić, gdzie chce, i jeszcze muszą go słuchać pod policyjnym przymusem, to w zasadzie powinniśmy być wdzięczni, że poseł Braun nie idzie na lotnisko, nie gramoli się do samolotu, nie wyrzuca pilotów z kabiny, nie siada za sterami i przez interkom nie czyta nam, pasażerom, w trakcie lotu na przykład swoich książek, z których jedna z ostatnich nosi tytuł „Będziesz wisiał”. Zatem, panie dyrektorze

filharmonii, proszę się cieszyć, że ta przygoda z Braunem i tak się dla pana skończyła jakoś szczęśliwie.

A teraz wiadomość dla zatwardziałych kinomanów. Te filmy na YouTube latają jak szarańcza, a stąd ich tyle, że inni posłowie Konfederacji kapnęli się chyba, że to nieźle kino, darmowy lans, lajki, więc wzięli swoich asystentów-operatorów i też ruszyli w Polskę szukać planów zdjęciowych. I tak poseł Konrad Berkowicz wpadł z ekipą na plan zdjęciowy do sanepidu i zląkał tam najpierw sekretarkę, że nie może zakazywać kręcenia, bo właśnie Berkowicz będzie sobie kręcił, i usiadł przy biurku dyrektorki, i w zasadzie mamy powtórkę z Brauna, tylko że Berkowicz mówi ze trzy tonacje wyżej.

Na plan zdjęciowy do sanepidu poszedł też ze swoją ekipą zdjęciową poseł Winnicki i jeszcze poseł Kulesza, a Braun, jedyny profesjonalny reżyser w tych ekipach, poszedł jeszcze z Korwinem na plan zdjęciowy do komisariatu odbijać właściciela knajpy, który nie chciał jej zamknąć w czasie lockdownu, a także do Ministerstwa Zdrowia z Winnickim, no ale tam, proszę państwa, już nie było benefisu z filharmonii, tam po prostu odesłano Brauna do okienka, co nawet słyhać w jego głosie, bo pod tym okienkiem stracił całą swoją moc i tonację.

I jeszcze tradycyjnie zajrzałem do sądowych akt partyjnych tej pięknie brzmiącej partii, czyli Konfederacji Korony Polskiej posła Brauna, no i nie mogę tego pominąć, a uprzedzam, będzie jatka.

Statut partii zaczyna się preambulą po łacinie, czyli „na większą chwałę Bożą i cześć Najświętszej Dziewicy Maryi”, ale nie trzeba zaświadczenia od proboszcza, gdyby ktoś chciał dołączyć, wystarczy nie być członkiem loży masońskiej i kryminalistą. Z 300 sprawdzonych przez sąd podpisów i PESEL-i 10 procent jest nieczytelnych, ale to jakaś tradycja w tej koalicji, a i sąd chyba zakłada u nich wyjątkowo dopuszczalny margines, bo macha na to ręką, a może chce mieć to z głowy, co nawet rozumiem. Jest jednak sprawa, której sąd nie puszcza płazem – otóż partia Konfederacja Korony Polskiej przyjęła w swoim statucie, że jej skrótem potoczny będzie słowo „Korona”, no i sąd protestuje, że skrót to skrócony zapis, a słowo „Korona” nie jest skróconym zapisem, zatem partia musi to zmienić, jeśli chce być zarejestrowana. No ale sąd nie oglądał filmu na YouTube, bo filmu jeszcze nie było, nie wie, że wola walki i determinacja Brauna w zasadzie są niewyczerpywalne, i oto Braun do batalii sądowej o te sześć szlachetnych liter skrótu wynajmuje znaną z równie nieprzejednanej postawy, gdy w grę wchodzi walka o honor i przyszość Polski, kancelarię prawną Parchimowicz & Kwaśniewski, i to człon „Kwaśniewski” jest tu ważniejszy, będziemy bowiem świadkami krwawej walki bokserkiej, więc może poznamy lepiej zawodników.

A zatem w jednym narożniku mecenas Jerzy Kwaśniewski, po godzinach prezes stowarzyszenia Ordo Iuris, organizacji, której chyba nie trzeba przedstawiać. Napomknę tylko, że to grupa zasłużonych bojowników w walce z feminizmem i emancypacją, z diabelstwem aborcji, in vitro, no w ogóle, in vino veritas, a którą to organizacją czasami wstrząsają diabelskie romanse, tak że kategoria bardzo ciężka, a zdolności bojowej Kwaśniewskiego na pewno też nie osłabia to, że to człowiek bliższy ideowo PiS, czyli władzy.

W drugim narożniku kobieta, co nadaje symbol tej walce z supermężczyznami, sędzia Marzena Wyrembak-Gastol, ale ponieważ nie stoi za nią nikt ważny, tylko ślepa Temida, to uznajmy, że sędzia Wyrembak-Gastol to waga lekkopółśrednia.

No więc gong, runda pierwsza – mecnas Kwaśniewski podnosi się z narożnika, widać zwinną pracę nóg, czyli wnioszek, że do tej sprawy nie stosuje się przepisów



ustawy o języku polskim, nie ma potrzeby, by skrót był skróconym zapisem wyrazu lub wyrażenia zbudowanym z kilku liter, i zaraz po tym wyprowadza lewy prosty, bo powołuje się na Partię Razem, która ma skrót Razem, co znaczy, że do nazw partii stosuje się język potoczny, i zaraz poprawka prawym prostym, bo przecież nikt nie mówi „plac Centralny Ronalda Reaga-

nowy koalicyjne trwają, wybory za narodnikiem, miał być nokaut szybki, a tu długa nawałanka się szykuje na punkty, bo taki biegły to może latami siedzieć nad opinią, tak że słania się zawodnik Kwaśniewski, może nawet klinczuje z sędzią na chwilę dla uzupełnienia deficytu tlenowego, ale zaraz odpycha sędziego, czyli ponagla, by ponagliła biegłego. I to dobra taktyka, bo rze-

Jeśli chcesz wstąpić do Korony Brauna, to nie trzeba zaświadczenia od proboszcza, wystarczy nie być członkiem loży masońskiej i kryminalistą

na”, tylko „plac Reagana”, a poza tym, znów prawy prosty, ustawa o partiach politycznych mówi, że skrót czy symbol partii powinien odróżniać się od innych, ale nie mówi, jak tworzyć skróty, i teraz diabelski prawy sierpowy, bo oto zawodnik Kwaśniewski wypomina, że w ustawie o partiach nie ma w ogóle zasad tworzenia nazwy, dlatego żądania sędzi są „nieuprawnione”, i gong, więc widać, że sędzia Wyrembak-Gastol dostała siarczystą łufę w szczękę, bo w zasadzie wytknięto jej, że nie ma pojęcia o prawie.

W przerwie szybki masaż, chłodzenie ręcznikiem, bo musiało boleć, ale znów gong i sędzia wraca na ring z rozbujaną ręką gotową do wyprowadzenia kontrtry, bo skoro tak, skoro ciężkiej wagi zawodnik Kwaśniewski wali jak popadnie, no to sędzia wyprowadza trzy szybkie proste zdania, czyli dopuszcza biegłego językoznawcę, niech on rozstrzygnie, czy „Korona” może być skrótem, na co zawodnik Kwaśniewski i cały jego zespół sekundantów lekko się mogą zachwiać, no bo roz-

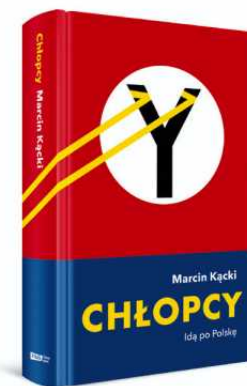
czywiście biegła bierze się ostro do roboty z pomocą różnych słowników i po kilku tygodniach opinia gotowa.

No i proszę państwa, cóż to za kombinacja ciosów, bo pani sędzia dostaje energii za sprawą tej opinii i ze zdwojoną siłą leje, czyli cytuje biegłą o „członie będącym przydawką”, który „zastępuje pełną nazwę partii”, i przypomina na początek w opinii, że „Korona” to symbol władzy monarchicznej albo górna część drzewa, albo górna część zęba, albo też uczesanie czy rogi jelenia, więc biegła podaje liczne przykłady użycia w literaturze i w życiu słowa „korona”, na przykład u Spytka z Melsztyna za czasów Kazimierza Wielkiego, posła na dworz cesarskim, który miał powiedzieć: „Wasz cesarz jest niższy od papieża, składa mu przysięgę, nasz król posiada koronę i miecz od Boga, swoje prawa i tradycje przodków stawia wyżej od praw cesarstwa”, i do tego momentu może lektura tej opinii przypaść Braunowi do gustu. Wyobrażam nawet sobie, że czyta ten fragment na głos, basem, a że śmiechem satysfakcji może na-

wet kolejny fragment o tym, jak „w niedzielę pracownicy cyrku Korona nie wpuścili na swój teren dwóch działaczek stowarzyszenia inicjatywa dla zwierząt”, ale za to ze zgrzytem zębów pewnie czyta o „gabiniecie stomatologicznym Korona”, a dalej to już drżący szept, bo oto sędzia ręką biegłej wyprowadza potężny zamachowy, biegła bowiem analizuje medialne doniesienia o powstawaniu partii Konfederacja Korony Polskiej i zauważa, że sama partia używa trzech liter „KKP”, a zatem skrót „Korona” nie ma uzasadnienia nie tylko „w pragmatyce językowej”, ale i „z punktu widzenia składniowego”, bo „formalnym przeciwwskazaniem jest to, że wyrazem nadrzędnym w tej konstrukcji składniowej jest rzeczownik »konfederacja«, no bo konfederacja kogo? czego? korony, czyli rzeczownik pełniący funkcję przydawki dopełniaczowej”, dlatego, i tu hak na szczękę, skrótem u Brauna powinno być słowo KPP lub Konfederacja. Tak więc nokaut.

No i teraz smutny po porażce zespół Brauna znosi z ringu zawodnika wagi ciężkiej Kwaśniewskiego, strzaskanego na kwaśno, ale sędzia po triumfalnym biegu dookoła ringu patrzy na nich groźnym wzrokiem i spokojnie pyta: „A wy gdzie, wracać mi tu, kto zapłaci za pracę biegłej, czyli 2 tysiące 920 złotych i 32 grosze, he?”. No i tu się zawodnik znokautowany aż podrywa na noszach i w imieniu zespołu woła, że przecież jego sekundanci nie chcieli tej opinii, nie prosili się o nią, czyli w zasadzie nie wyzywali sądu na mordobicie, więc nie można ich uznać za „stronę przegrrywającą”, i może niech skarb państwa płaci, bo co jak co, ale jak można tu mniemać, korona państwu z głowy nie spadnie od tych paru tysiąków. Poza tym sekundanci machnęli już ręką na ten skrót, bardziej im na czasie zależy, bo kampania wyborcza aż furkocze, partię chcą zarejestrować, a tak w ogóle to ta opinia biegłej jest głównie warta, co zostało oczywiście wyrażone językiem prawniczym, ale sens jest ten sam. No i tu sobie wyobrażam, jak sędzia zdejmuje nonszalancko rękawice, pluje krwią pod nogi, podchodzi do zawodnika wagi ciężkiej Kwaśniewskiego, nachyla się nad nim i cedzi przez ochraniacz na zęby językiem prawniczym, co w slangu bokserkim brzmiałoby: „Czekam tydzień na forsz albo wam z dupy zrobię jesień komornika”. Ale gdzie reszta? Ano nie ma, pognali gdzieś galopem, zawodnik Kwaśniewski za nimi się czołga obolały, ale już w szatni podejmują karkołomną, choć pewnie honorową w ich mniemaniu decyzję, że „żądanie zapłaty jest bezzasadne”, co można przetłumaczyć jako: goń się, sędzia, na co pani sędzia gwizdże po swoich ziomali zaprawionych w bojach z takimi honornymi, czyli wydział wykonywania orzeczeń – i tu można śmiało użyć skrótu – czyli po komorników. I zakładam, że jesień komorników może wciąż trwać, tego nie wiem, ale trwała jeszcze, gdy czytałem te akta. ●

Książka Marcina Kąckiego „**Chłopcy. Idą po Polskę**”, wyd. Znak. Litera Nova ukaże się 12 lipca



Referendum nad Ewangelią

Vox populi jest super, kiedy chcesz ominąć normalną ścieżkę decyzyjną w demokracji.

Marcin Matczak



Nadchodzi lato i wraca moda na referendum. PSL i Polska 2050 proponują je w sprawie aborcji, PiS w sprawie relokacji uchodźców. Suweren jest generalnie zadowolony – ktoś zwraca na niego uwagę, demokracja wraca do korzeni, „vox populi, vox Dei”, wreszcie te przebrzydłe elity będą musiały wysłuchać, co lud ma im do powiedzenia.

Referendum jest trochę jak grill – przyjemne i wartościowe, ale jeśli robisz je źle, może być rakotwórcze. Na przykład dla demokracji. Trudno jednak referendum krytykować, bo narażasz się na zarzut, że demokracji nie rozumiesz i gardzisz opinią zwyczajnego człowieka.

Tymczasem referenda to ulubione narzędzia populistów, którzy nie chcą albo nie mogą podjąć decyzji w normalnym, także przecież demokratycznym trybie: przez parlament. Nie chcą, bo decyzja jest niepopularna, nie mogą, bo nie mają wystarczającej liczby głosów albo po prostu potrzebują uzasadnienia dla swoich działań. Z jakiegoś powodu referendum organizowali i prezydent Wenezueli Hugo Chávez, i Łukaszenka, i wielu postsowieckich przywódców, którzy dzięki niemu uzurpowali sobie pozakonstytucyjne uprawnienia. Używali ich, aby pokazać, jak bardzo lud ich popiera, Pinochet, Kadafi i Husajn.

Ale przecież są referenda potrzebne i mądre, angażujące całe społeczeństwo w debatę. Dlaczego jednak tak stabilna demokracja jak amerykańska nie przeprowadziła nigdy referendum ogólnokrajowego? Dlaczego referendum brexitowe jest uznawane za wpuszczenie suwerena w maliny?

Bo referendalny diabeł tkwi w szczegółach. A konkretnie w pytaniach. O ile w sprawie aborcji można zadać je precyzyjnie, a konsekwencje odpowiedzi są zrozumiałe dla każdego dorosłego człowieka („Jesteś za/przeciw aborcji do 12. tygodnia ciąży dokonanej z jakiegokolwiek powodu?”), o tyle nie jest tak w przypadku referendum uchodźczego. Tu bowiem mamy spektrum pytań. Na jednym jego końcu jest: „Czy uważasz, że należy pomagać ludziom w potrzebie?”, na drugim: „Czy chcesz uchronić swoją rodzinę przed zabójstwem dokonany przez emigranta?”. Między tymi skrajnościami wybierze władza, a więc to ona tak naprawdę zdecyduje o tym, o czym niby my decydujemy. Bo jak wiadomo, w referendum nieważne, kto głosuje, ważne, kto formuluje pytania.

Na pewno referendum nadaje się do tego, by okazać wrogość – uchodźcom albo Unii, jak w referendum brexitowym. Ale tak jak Brytyjczycy, którzy głosowali „wyjść”, nie wiedzieli, czy głosują za twardym brexitem, czy miękkim, czy też za tym, żeby pieniądze ze składki unijnej przelać na konto ichniego NFZ (co było główną fałszywą obietnicą eurosceptyków), tak i u nas nie wiadomo, co będzie efektem odpowiedzi na pytania o uchodź-

ców. Może po prostu środkowy palec pokazany Unii?

Wieczny symbol referendalnej ignorancji to fakt, że dzień po decyzji o brexicie Brytyjczycy najczęściej wyszukiwali hasła: „co to jest brexit?” i „co to jest UE?”. Gdyby taką decyzję podjęli politycy, można by ich rozliczyć w wyborach – to jest demokracja. Ale jak rozliczyć z błędu samego suwerena? To kolejny problem z referendum: brak odpowiedzialnych za decyzję, bo przecież przemówiła „mądrość ludu”.

Warunkiem sensownego referendum jest prawdziwa debata. Autorytarni władcy tak chętnie po nie sięgają po, bo kontrolują media i mogą debatę zmanipulować. Takie narzędzia ma PiS. Chce referendum w sprawie uchodźców, bo łatwo zrobić z niego nieracjonalny festiwal wszystkich strachów, nie chce referendum w sprawie aborcji, bo tam sprawa jest jaśniejsza, a więc o mydlenie oczu trudniej. Referendum może więc być demokratyczną hipokryzją. Parlament może dyskutować na wszystkie tematy, lecz suweren tylko na te, które ktoś arbitralnie wybierze, co jest nie-demokratyczne. To dlatego referendum nadaje się, by omijać normalną ścieżkę decyzyjną w demokracji (wybory i decyzje parlamentu).

Tej hipokryzji jest więcej, co widać najlepiej w stanowisku Kościoła. Pomyśl referendum aborcyjnego arcybiskup Jędraszewski określił jako „gest Pilata”. Dlaczego? Pilat mógł uratować Jezusa, ale poddał się żądaniu tłumu i skazał go na śmierć. Jędraszewskiemu chodzi pewnie o to, że zamiast chronić życie nienarodzonych, politycy umywają ręce i pozwalają je skazać ludowi (ciekawe, skąd wie, że lud tak zdecyduje?).

Jednak czy ten, kto głosuje przeciwko przyjęciu uchodźców, nie robi dokładnie tego samego? Czy nie poddaje się żądaniu tłumu, aby nie pomóc? Powiecie, prawicowe umysły, że nieprzyjęcie uchodźcy to przecież nie wydany nań wyrok śmierci. Ale głos na „tak” w referendum aborcyjnym też nie. I tu, i tu potrzebne jest jeszcze działanie albo zaniechanie kogoś innego. Jednak tylko w sprawie referendum aborcyjnego Jędrzejewski grzmi o Pilacie. W sprawie uchodźczego milczy, a milczeniem odsyła do swoich innych wypowiedzi w sprawie uchodźców („żeby Polska była polska”).

Milczy, choć PiS proponuje w rzeczywistości referendum nad Ewangelią. A Kukiz, chrześcijanin mocny tylko w gębie, chce nawet obniżyć wymóg frekwencji, żeby ewangeliczny nakaz pomocy bliźniemu łatwiej unieważnić. Nie przeszkadza mu to, że obniżając, gardzi demokracją, bo pozwala podjąć decyzję mniejszości.

Panie Pawle, może pan nie pamięta, że to nie homoseksualizm, ale wrogość wobec przybyszów była prawdziwym grzechem Sodomy. Dzisiaj popelnia go Polska przy błogosławieństwie hipokrytycznego biskupa. Przecież robiąc to, wyrzekacie się waszej wiary. Jak Wielki Inkwizytor z „Braci Karamazow” powiedzielibyście Jezusowi: „Dlaczego przychodzisz nam przeszkadzać?”, gdyby ponownie pojawił się na świecie i oczekiwał od was realizacji przykazania miłości.

Ale „vox populi, vox Dei”, co nie? Akurat z tym powiedzeniem warto uważać. Jedno z najwcześniejszych jego użyć znajduje się w liście Alkuina do Karola Wielkiego z 798 r., a kontekst wygląda tak: „I nie należy słuchać tych ludzi, którzy powtarzają, że głos ludu jest głosem Boga, ponieważ gwałtowność tłumu jest zawsze bardzo bliska szaleństwu”. ●

Przy pisaniu felietonu korzystałem z tekstu Liubomira Topaloffa „The Rise of Referendums: Elite Strategy or Populist Weapon?” opublikowanego w „Journal of Democracy” w lipcu 2017

PO PRAWDZIE

Ani jednego więcej

Lekarza, który będzie się wahał

Agnieszka Kublik



„Ani jednej więcej!” – krzyczymy od dawna na protestach. Niewłaściwie. Bo powinniśmy wrzeszczeć: „Ani jednego nie-lekarza więcej!”. Ani jednego lekarza więcej, który się waha, czy ratować zdrowie, życie kobiety w ciąży, a odpowiedzi szuka w kodeksie karnym, w wyroku Trybunału Przylębskiej.

Iza.
Justyna.
Agnieszka.
Ania.
Dorota.

I pewnie te, o których nie wiemy. Jeszcze.

I pewnie te, o których usłyszymy.

Wkrótce.

Młode kobiety nie żyją. Młode kobiety umrą.

Bo chciały mieć dzieci. Bo trafiły na złych lekarzy. Bo zaszły w ciążę, gdy Polską rządzą nacjonałisci z gębami pełnymi frazesów o wartościach chrześcijańskich i o rodzinie. Bo stworzyli państwo, w którym ciąża to potencjalnie sprawa dla prokuratora.

I nie, nie mam na myśli tylko lekarza. PiS tak skonstruował prawo, że po wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 22 października 2020 r. przestępstwem jest nie tylko przerwanie ciąży, ale też pomocnictwo. Czyli prokurator myśli także o personelu medycznym, pielęgniarkach, anestezjologach.

Tę historię znamy na wyrywki aż za dobrze, ale nigdy dość jej przypominania. Dorota była w 20. tygodniu ciąży, do szpitala w Nowym Targu im. Jana Pawła II (!) trafiła 21 maja z powodu odpłynięcia wód płodowych. W nocy z 23 na 24 maja zmarła z powodu wstrząsu septycznego. Dostała go, bo mimo ewidentnego zagrożenia życia lekarze nie zdecydowali się na aborcję. Powody – płatanina złego prawa uchwalonego przez złych ludzi i lęku lekarzy, którzy boją się walczyć o życie, choć powinni się lekąć, że pacjent straci życie.

Słyszę, że nie można od lekarzy oczekiwać bohaterstwa. A dziś bohaterstwem ma być aborcja, gdy życie lub zdrowie kobiety jest zagrożone, co grozi za nią odpowiedzialność karna.

Cóż, nigdy, przenigdy nie chciałabym trafić do lekarza, którzy się zawaha, czy ratować moje życie, moje zdrowie najlepiej, jak potrafi, zgodnie z najnowszą wiedzą medyczną i z pomocą najlepszego sprzętu, jaki jest dostępny.

Nigdy na takiego nie trafiłam. Są bohaterami ci wszyscy lekarze, którzy na co dzień ratują zdrowie i życie. Nie są bohaterami ci, którzy się wahają, czy ratować człowieka. Czy zatem w ogóle mogą być lekarzami?

Oczywiście to PiS postawił medyków w takiej upiornej sytuacji. Oczywiście to lekarz decyduje i jest w tym sam – a po wyroku Trybunału jest sam w dwójnasób. Lecz tak sobie myślę, że jeżeli lekarz w takiej sytuacji powołuje się na klauzulę su-

mienia, to znaczy, że go nie ma. Bo tylko brakiem sumienia można tłumaczyć decyzję, by nie ratować drugiego człowieka. Zwłaszcza jeśli zgłębiało się latami wiedzę medyczną.

„Jeśli ktoś wydał polecenie, by pacjentka z całkowitym bezwodziem w 20. tygodniu ciąży leżała z nogami do góry, bo »może wody płodowe powrócą«, to nie nadaje się do leczenia innych. Nie powinien być nigdy lekarzem. Sam wymaga terapii. Nawet jeśli kierował nim strach przed prokuratorem – mówi ginekolog, dr n. med. Wojmir Ziętkowiak. – W imieniu sporej części polskich lekarzy przepraszam za to, co stało się w Nowym Targu. Ale wszyscy odczuwamy strach”.

To lekarze sami muszą się pozbierać, politycy im nie pomogą. Będą przeszkadzać. Będą mówić głupoty. Będą irytować. Nie wezmą żadnej odpowiedzialności.

A medycy mają się na czym oprzeć – mają klarowne wytyczne, które spisali eksperci, prof. dr hab. Mirosław Wielgoś, konsultant krajowy w dziedzinie perinatologii, i Krzysztof Czajkowski, konsultant krajowy w dziedzinie położnictwa i ginekologii.

Prezydent Duda po wyroku Trybunału jeszcze w październiku zaproponował zmiany w ustawie antyaborcyjnej, tak by chronić płody z zespołem Downa, lecz by aborcja była możliwa, gdy badania prenatalne lub inne przesłanki medyczne wskazują na wysokie prawdopodobieństwo, że dziecko urodzi się martwe albo obciążone nieuleczalną chorobą lub wadą prowadzącą do śmierci dziecka.

Przekonywał: „Trzeba wziąć się do pracy i przygotować nową ustawę, która będzie chroniła np. dzieci z zespołem Downa, ale dawałaby szansę kobietom, których płód ma nieusuwalne śmiertelne wady. Wolność wyboru kobiety musi być zachowana”.

Zapewniał: „Rozumiem obawy kobiet”. Projekt leży w sejmowej zamrażarce. Duda nic z tym nie zrobił.

A teraz, gdy parę dni temu dziennikarz go o to zapytał – podczas finału 23. edycji piłkarskiego turnieju „Z podwórka na stadion o puchar Tymbarku” – Duda oburzony strofował pytającego: „A co to ma wspólnego z pucharem Tymbarku? Jestem na pucharze Tymbarku i rozumiem, że państwo oczekujecie rozmowy ze mną na temat pucharu Tymbarku”.

Kim trzeba być, by zestawić śmierć człowieka z pucharem Tymbarku i twierdzić, że to drugie wydarzenie jest istotniejsze?

Jarosław Kaczyński zapytany o śmierć Doroty na sejmowym korytarzu przez naszą dziennikarkę Justynę Dobrosz-Oracz bardzo zirytowany rzucił: „Ani we wniosku, ani w orzeczeniu Trybunału nie było ani słowa o sprawie zagrożenia życia i zdrowia kobiety. Tu się nic nie zmieniło. Cała akcja jest propagandowym nadużyciem”.

Jakim trzeba być człowiekiem, by nazwać śmierć kobiety w ciąży „propagandowym nadużyciem”?

Przecież to Kaczyński w październiku 2016 r. obiecywał kobietom piekło: „Będziemy dążyli do tego, by nawet przypadki ciąż bardzo trudnych, kiedy dziecko jest skazane na śmierć, mocno zdeformowane, kończyły się jednak porodem, by to dziecko mogło być ochrzczone, pochowane, miało imię. Oczywiście mowa tylko o tych przypadkach trudnych ciąż, gdy nie ma zagrożenia życia i zdrowia matki”.

Jak można być tak zakłamanym?

U tych dwóch lekarzy nie znajdą wskazówek, jak etycznie postąpić. Ani w wyroku Trybunału, ani w kodeksie karnym. Wiedza, doświadczenie, intuicja, powołanie – tu lekarz ma znaleźć odpowiedź, jak ratować zdrowie i życie. „Jak”, a nie „czy”. Bo jeśli lekarz się waha, czy ratować, to zachowuje się jak nielekarz.

Donald Tusk zaapelował, by „nie winić lekarzy”. Tak, zgoda, możemy winić nielekarzy. ●

Wchodzących na teren zakładu zadziwia architektoniczny miks. Obok pięknych międzywojennych budynków pamiętających Centralny Okręg Przemysłowy stoją PRL-owskie hale oraz obiekty tak nowe, że niemal czuć świeżą farbę. Nasz przewodnik zwraca uwagę na to, co fotografujemy – taka była umowa przed wejściem na teren Mesko SA w Skarżysku-Kamiennej, gdzie produkowane są słynne w Ukrainie zestawy przeciwlotnicze Piorun.

Budynek, w którym powstają rakiety z grona „świętych” broniących Ukrainy, nie

sem w 2021 roku to było już 300, w 2022 r. 600, a w przyszłym ma być 1400!

Co więcej, w 2021 roku produkcja przeszła audyt Departamentu Obrony, co skutkowało podpisaniem jeszcze przed wybuchem wojny pierwszego kontraktu eksportowego na pioruny do USA. – To był eksportowy kamień milowy – mówi z dumą Kowalczyk. Mesko zostało też zaproszone do udziału w postępowaniu na następcę słynnego Stingera w armii amerykańskiej. Odpowiedziało wspólnie z koncernami Raytheon i Lockheed Martin, co zwiększa szanse na zamówienie nawet 10 tys. sztuk.

Ale nawet bez tego pioruny mają szansę na rzadki w polskiej państwowej zbrojeniówce sukces eksportowy. Już podpisano umowy z Norwegią i Estonią, jest szansa na

dawna idący jak po grudzie tzw. projekt 400. Tu powód do dumy jest jednak niewielki. Inwestycja za ponad 400 mln zł z budżetu państwa, obejmująca m.in. modernizację zakładu produkcji prochów w Pionkach oraz zwiększenie możliwości produkcji amunicji mało- i średniokalibrowej w Skarżysku-Kamiennej, powinna być skończona już w zeszłym roku, a obecny zarząd próbuje nadrobić czas po poprzednikach.

– Ale ta rozbudowa to absolutnie preludium do tego, co szykujemy. Na kanwie współpracy koreańskiej [zakup tysięcy czołgów K2 i 672 armatohaubic K9] mamy w planach znaczące zwiększenie zdolności dla produkcji amunicji czołgowej 120 mm i artyleryjskiej 155 mm. Harmonogram pokrywa się z wejściem na wyposażenie nowego sprzętu – mówi Kowalczyk.

Pieniądze mają być przekazane w ratach – 600 mln zł na „inwestycje zwiększające potencjał produkcyjny HSW SA” oraz jej oddziału Autosan w Sanoku, który ma „produkować niszczyciele czołgów”, czyli pojazdy Waran z brytyjskimi pociskami Brimstone.

Druga rata, czyli 1,2 mld zł, trafi częściowo do innej spółki grupy HSW – Jelcza, który produkuje ciężarówkę.

Inwestycje mają też pozwolić na produkcję rocznie 100 bojowych wozów piechoty Borsuk. To chyba najlepszy przykład, jak zmieniło się podejście do zbrojeniówki na skutek wojny: opracowanie następcy sowieckich BWP-1 zlecono dopiero w 2014 roku. Prototyp Borsuka był gotowy w 2019 roku. Ale próby się przeciągały, a dodatkowe prototypy zamówiono dopiero po wybuchu wojny, żeby przyspieszyć testy. Umowę ramową na 1400 wozów Mariusz Błaszczak

UWAGA, LECI POLSKA RAKIETA

jest okazały. Mała wystawa produkowanego sprzętu, gdzie VIP-y mogą zapoznać się przy makiecie Pioruna, i już oglądamy linię produkcyjną prawdopodobnie najlepszego na świecie przenośnego zestawu przeciwlotniczego.

W niewielkim pomieszczeniu na stojakach formowane są półprzezroczyste tuby z tworzywa sztucznego wyglądające jak rury kanalizacyjne, ale znacznie lżejsze. To tam są doklejane kolejne elementy mocujące do przyszłej wyrzutni. Zielonkawy klej ręcznie, spokojnymi ruchami nakłada jeden z pracowników.

W kolejnej sali widać gotowe, pomalowane na zielono wyrzutnie i pracowników składających elektronikę. Zaskakuje, że ich narzędzia to pęsety i lutownice. Tu nie ma wątpliwości – jedna z najważniejszych części każdego pioruna, czyli jego elektronika, nie przyjechała z Chin. Jest co chwila sprawdzana na kolejnych etapach.

W pomieszczeniu nie widać serca pocisku, czyli głowic samonaprowadzających, które produkuje inna spółka – Telesystem-Mesko. Nie zobaczymy też montażu mechanizmu startowego i – tym bardziej – tajnego klucza kryptograficznego, który umożliwia oddanie strzału tylko uprawnionym operatorom.

Wojna przyspieszyła wiele procesów, nie tylko w Mesko, ale też w całej Polskiej Grupie Zbrojeniowej. Choć decyzje zapadły wcześniej i sporo udało się zrobić jeszcze w 2021 roku, na fali gęstniejącej sytuacji międzynarodowej i rozmów z MON – mówi Przemysław Kowalczyk, członek zarządu ds. rozwoju Mesko SA.

Dlatego już po wybuchu wojny Mesko mogło podpisać kontrakt na 3,5 tys. piorunów dla MON. – Teraz zupełnie inaczej rozmawia z kontrahentami, niż gdy była perspektywa 300 rakiet. W końcu zajmujemy się poważną produkcją, a nie homeopatią – tłumaczy Kowalczyk.

Żeby zrozumieć, jaki to skok, trzeba pamiętać, że poprzednia umowa, z 2016 roku, dotyczyła 1,3 tys. rakiet przy mocach produkcyjnych 150 zestawów rocznie. Tymcza-

Pojazdy US Army koordynuje polskie oprogramowanie, Pentagon przygląda się polskim karabinkom, koreańskie wyrzutnie obsłuży polski system dowodzenia

Marcin Sztandera

kontrakt z Rumunią. Rakiety ma też kupić Ukraina, która teraz używa zestawów przekazanych przez polski MON.

– Mamy najświeższą technologię w segmencie. A wojna w Ukrainie, gdzie pioruny mają 90-procentową skuteczność, to niezaprzeczalny test w realnych warunkach i rozgłos medialny, który sam się zrobił – tłumaczy Kowalczyk.

Na fali tych doświadczeń do końca przyszłego roku ma powstać kolejna generacja, czyli rakiety Piorun NG, a później – w ramach programu Grzmot – cięższe Piorun 2.

Jednak pioruny to nie wszystko. Tuż przed wybuchem wojny rozwiązał się wórek z zamówieniami, a po rosyjskiej inwazji wręcz się rozsypał.

Mesko ma mieć swój udział m.in. w produkcji brytyjskich pocisków CAMM dla systemu przeciwlotniczego Narew, silników do sterowania pocisków z zestawów Patriot, szykuje się do produkcji rakiet przeciwpancernych Pirat oraz pocisków do amerykańskich wyrzutni raketowych HIMARS i koreańskich K239 Chunmoo.

Tę wyliczankę zamykają inwestycje w sektor artyleryjski, bo Mesko i spółki z grupy raketowo-amunicyjnej PGZ produkują też amunicję strzelecką i artyleryjską.

Już w czerwcu zeszłego roku podpisało z ukraińskim partnerem porozumienie dotyczące dostaw amunicji do Ukrainy, a w kwietniu tego roku okazało się, że Mesko wspólnie z ukraińską firmą ARTeM uruchomią „nowe linie produkcyjne, które pozwolą na wytwarzanie dużych ilości amunicji czołgowej” na potrzeby Ukraińców. Nie wiadomo gdzie.

Wreszcie – w przyszłym roku ma się zakończyć trwający od 2019 roku i do nie-

Zakładem, który chyba najbardziej odczuł skutki wojny w Ukrainie, jest Huta Stalowa Wola, producent m.in. armatohaubic Krab. Polska najpierw przekazała Ukrainie co najmniej 18 „skorupiaków”, a kolejne 54 Ukraińcy już dokupili za 2,7 mld zł.

Szybko posypały się pochwały: że kraby bardziej wytrzymałe niż niemieckie PzH 2000, mają świetny system kierowania i dowodzenia ogniem Topaz, że mogą strzelać każdą amunicją kalibru 155 mm.

Tymczasem w lipcu wicepremier Mariusz Błaszczak zapowiedział, że Polska kupi 672 koreańskie armatohaubice K9 Thunder. Informacja była tak zaskakująca, że na Twitterze skrytykował ją nawet ówczesny prezes HSW Bartosz Zając. Kilka dni później złożył rezygnację.

MON uspokajało, że kraby nadal będą produkowane i nawet we wrześniu podpisano kontrakt na dostawę w latach 2025–27 kolejnych 48 maszyn za 3,81 mld zł. Wyliczono, że w efekcie nasze wojsko otrzyma 170 tych wozów.

Ministerstwo tłumaczyło, że koreańskie haubice zamówiono, bo HSW nie może zwiększyć produkcji, a obie konstrukcje będą produkowane równolegle. Z ostatnich informacji wynika, że po dostawie 212 wozów koreańskich w latach 2022–26 kolejne będą wytwarzane w spolonizowanej wersji K9PL.

Według rządowych planów HSW czeka poważna rozbudowa. W zeszłym roku kupiono już 38 ha terenu, a w połowie lutego premier Morawiecki zapowiedział dofinansowanie spółki 1,8 mld zł. To dosłownie deszcz pieniędzy, skoro w ciągu siedmiu lat HSW zainwestowała 270 mln zł m.in. w rozbudowę hal i jedną z najnowocześniejszych w Europie lufowni.

zatwierdził 28 lutego 2023 roku, rok po wybuchu wojny.

Wojna w Ukrainie wymusiła też inny nieoczywisty ruch – remonty w Polsce ukraińskiego sprzętu. O sprawie plotkowano już we wrześniu podczas Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach, gdy podobno pierwszy krab z Ukrainy miał wrócić na remont.

O sprawie zrobiło się głośniejsze pod koniec stycznia, gdy „The Wall Street Journal” napisał o „tajnym polskim warsztacie naprawiającym ukraińską broń”. Z tekstu wynikało, że należy on do Polskiej Grupy Zbrojeniowej, pracuje w nim ok. 400 specjalistów, a obiekt jest pod nadzorem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. To właśnie tam trafiają ukraińskie kraby uszkodzone w walce lub podczas nadmiernej eksploatacji, czyli np. z powodu wystrzelenia zbyt dużej liczby pocisków. Wozy po najwyższych dwóch miesiącach wracają do właścicieli.

Co oczywiste, lokalizacji zakładu nie podano, a PGZ grzecznie odmawia wizyty: „Niestety, nie uzyskaliśmy zgody służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo. Jeśli tylko taka możliwość się pojawi, wrócimy z informacją”.

Osoby z branży opowiadają, że szykował się prawdziwy nalot dziennikarzy na warsztat – chciało go zobaczyć kilkanaście telewizji z całego świata. Ale miejsce przeprowadzania remontów jest faktycznie surowo pilnowane, szczególnie że w Bułgarii już dochodziło do ataków na magazyny broni, „a ślady prowadziły do Rosji”. Chodzi o eksplozje w magazynach bułgarskiego handlarza bronią Emilianą Gebrewa.

Co ciekawe, prezes PGZ Sebastian Chwałek informował w lutym, że podobna spółka powstała też w Ukrainie. – Otworzyliśmy spółkę celową, która ma świadczyć usługi na terenie Ukrainy. Poza tym, co robimy tu, w Polsce, nasze lotne zespoły pomagają utrzymywać sprzęt w polu żołnierzom ukraińskim. Jesteśmy tam hubem serwisowym – mówił w Polsce.

Przez co najmniej dwie dekady wszyscy uważali, że wojny nie będzie. Cała zbrojeniówka zastygła, szukając nowo-

FOT. STANISŁAW BIELSKI/REPORTER



czesnych rozwiązań, lecz produkowanych w niewielkich ilościach. Nikt nie rozwijał dużych mocy produkcyjnych i życie to brutalnie zweryfikowało, bo okazało się, że moce tych zakładów wystarczają na tydzień walk. My też mieliśmy podobny problem – mówi Roman Musiał, szef strategicznych programów obronnych i cywilnych Grupy WB, największego prywatnego podmiotu zbrojeniowego w Polsce i prawdopodobnie największego producenta dronów w Europie.

Ta deklaracja może zaskakiwać, skoro Grupa WB to niewątpliwie przykład sukcesu. Zakłada spółki i produkuje swój sprzęt m.in. w Indiach, Malezji i Gruzji, a w Arabii Saudyjskiej ma oddział. Opracowała system komunikacji pojazdowej Fonet, który na licencji produkuje amerykański Harris i instaluje w tysiącach pojazdów US Army. Produkuje też system zarządzania walką Topaz i kilka typów dronów. Najsłynniejsze to obserwacyjne drony FlyEye, które już od 2015 roku walczą na wschodzie Ukrainy, oraz drony kamikadze Warmate, które w maju zeszłego roku chwalił minister obrony Ukrainy.

– Przed 24 lutego walczyliśmy o rynek, po tej dacie walczyliśmy o realizację zamówień, których jest wysyp – tłumaczy Musiał. W tym roku liczba dostarczonych użytkownikom bezzałogowców przekroczy 2 tys.

To wynika z dwóch czynników: sytuacji międzynarodowej i wojny w Ukrainie. Ale widać też zmianę podejścia do „prywatyzacji” przedstawicieli rządu, którzy przez lata zamówienia umieszczali w państwowej zbrojeniówce. Dobrze to widać po systemie obserwacyjnym krótkiego zasięgu Orlik, który za niemal 800 mln zł Polska Grupa Zbrojeniowa miała dostarczać już od 2021 roku, a może dostarczy dopiero w tym.

Teraz wszyscy chcą kupować w Grupie WB. Od maja ubiegłego roku doczekała się ona rekordowego, wartego niemal 1,9 mld zł kontraktu na dostawę dla Wojska Polskiego dronów poszukiwawczo-uderzeniowych Gladius oraz podpisała umowy z koreańskimi dostawcami wyrzutni K239 oraz armatohaubic K9 na wyposażenie ich w systemy łączności i dowodzenia za ponad 1,3 mld zł.

Grupa WB, która dziś zatrudnia blisko 2 tys. osób, zwiększa moce produkcyjne. Trwa rozbudowa zakładów w Ożarowie Mazowieckim i Gliwicach, a jesienią uruchomiono całkowicie nowy zakład w Skarżysku-Kamiennej, zresztą w sąsiedztwie Mesko SA.

Wrażenie robi tempo realizacji: 28 sierpnia zapadła decyzja „na zarządzie” Grupy WB, miesiąc później rozpoczęto prace adaptacyjne w istniejących budynkach i wysłano na szkolenie do Gliwic pierwszą grupę pracowników. W listopadzie gotowych już było pierwszych 30 warmate’ów, a od czerwca tygodniowo produkowano 50 systemów.

Roman Musiał nie ukrywa, że ten zakład traktuje jak swoje dziecko. – Mieszkam w okolicy, sam przed laty pracowałem w Mesko [był prezesem, który wdrażał system przeciwlotniczy Grom]. Wiem, że jest dostępna wykształcona kadra.

Zastrzega, że ludzi z Mesko nie podbiera. I nie musi – do zakładu, który teraz zatrudnia 50 osób, przyszło sporo innych chętnych. Znaczna część załogi to kobiety.

– To największa grupa szukająca pracy, ale też niezwykle zmobilizowana. Młode kobiety mówiły wprost: „Muszę mieć tę pracę, chcę coś ze sobą zrobić”. A po przeszkoleniu okazały się świetne. Przecież ten dron musi być tak precyzyjnie wykonany, żeby trafił cel z dokładnością 50 cm – mówi Musiał. Dodaje, że w ciągu pięciu lat zatrudnienie tylko w Skarżysku-Kamiennej powinno podskoczyć do 500 osób.

Dla Fabryki Broni „Łucznik” w Radomiu, produkującej karabinki MSBS Grot, wybuch wojny w Ukrainie, jak zapewnia prezes Wojciech Arndt, nic nie zmienił. – My jeszcze w ostatnim kwartale 2021 roku byliśmy bardzo zaawansowani w przygotowaniach do rozbudowy. Wybuch wojny tylko nas upewnił, że to właściwy kierunek. Jedynie, co było niepokojące po rozpoczęciu konfliktu w Ukrainie, to kwestia dostępu do stali. Dostawy nie były zagrożone, ale ceny podskoczyły. Odczuwamy też wyższe ceny energii – mówi.

Ta rozbudowa to ciekawy przykład zmian. Obecna fabryka to nowy zakład, któ-

Mesko ma mieć udział m.in. w produkcji brytyjskich pocisków przeciwlotniczych CAMM, silników do sterowania pocisków z zestawów Patriot, szykuje się do produkcji rakiet przeciwpancernych Pirat oraz pocisków do amerykańskich wyrzutni rakietowych HIMARS i koreańskich K239 Chunmoo

ry w obecnym miejscu funkcjonuje od ledwie dziewięciu lat. Jaka ma być moc produkcyjna po rozbudowie, prezes nie zdradza. Mówi jedynie, że za trzy lata powinno być trzy-cztery razy więcej sztuk broni niż w 2022 roku. I to przy minimalnym wzroście zatrudnienia, z 500 do 560 osób.

Rozbudowa fabryki w Radomiu to odpowiedź na zapowiedzi powiększenia liczby Wojska Polskiego do aż 300 tys. żołnierzy. Grot ma zastąpić dziś używane beryle. Na razie dostarczono ich ponad 81 tys. sztuk, a zgodnie z lutowym aneksem do 2026 roku wojsko ma odebrać w sumie 184 tys. karabinki za blisko 2,1 mld zł. Do tego dochodzą duże zamówienia na pistolety VIS 100 – za ponad 160 mln zł firma ma dostarczyć 28 tys. do listopada 2026 roku.

Inna rzecz, że po wybuchu wojny fabryka podobno na brak klientów nie narzeka. – Musimy odpowiadać klientom, że większe partie możemy dostarczyć dopiero za kilka lat, ponieważ mamy wypełnione plany produkcji – mówi Arndt.

Oficjalnie w zeszłym roku, już po wybuchu wojny, podpisano kontrakt na dostawę grotów do „jednego z państw Afryki Wschodniej”. Są też jednym z rodzajów

uzbrojenia, które Polska przekazała Ukrainie w ramach rządowej pomocy. Chodzi o blisko 10 tys. sztuk. Ale najciekawsze, że dostarczono też partię karabinków do amerykańskiego Dowództwa Operacji Specjalnych (SOCOM).

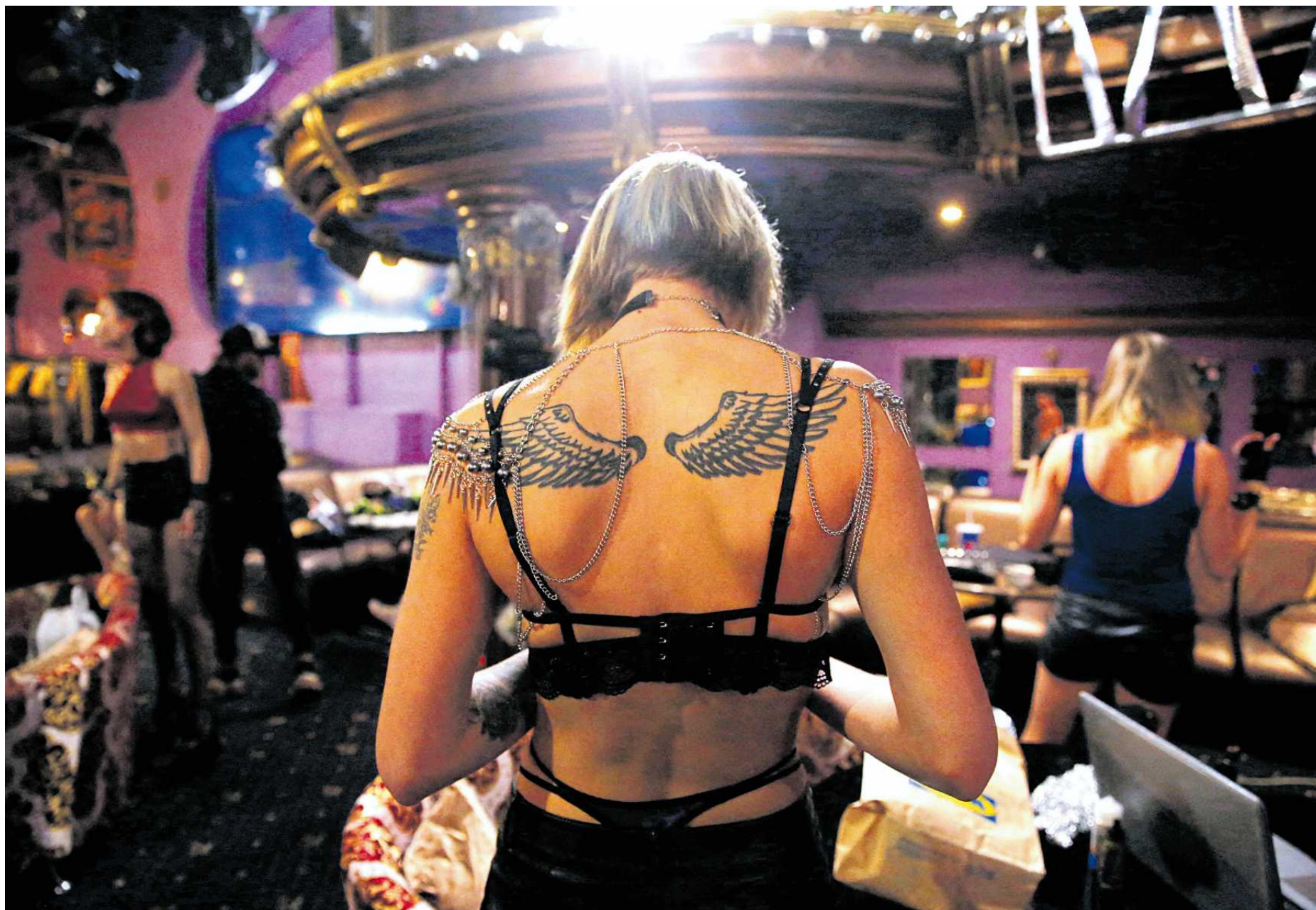
Fabryka, przynajmniej oficjalnie, nie wyciąga wniosków z ich eksploatacji w warunkach frontowych. – My bezpośrednio nie dostarczaliśmy tej broni – tłumaczy Wojciech Arndt. Fabryka śledzi, rzecz jasna, doniesienia o jej użyciu w Ukrainie, ale jak zapewnia, „na co dzień mamy do czynienia z wieloma innymi użytkownikami, którzy grotami dysponują od kilku lat. Na podstawie tych spostrzeżeń pracujemy nad kolejnymi wersjami karabinka”.

Jednak w rozmowach z przedstawicielami branży pojawia się jeszcze jeden wątek: nie wiadomo, jak długo uda się utrzymać zapowiadane duże wydatki na obronność.

– Na pewno te duże wojenne wydatki kiedyś się skończą i nie uda się ich trwale utrzymać na poziomie 4 proc. PKB, o którym słyszymy w tym roku. Ale zakładając stały wzrost PKB i wydatki na dotychczasowym poziomie 2-2,5 proc., to i tak jest dużo – zauważa Andrzej Kiński z Zespołu Badań i Analiz Militarnych, redaktor naczelny miesięcznika „Wojsko i Technika”.

Tłumaczy, że kierunki w branży zostały wytyczone już wcześniej, ale wojna wpłynęła na intensyfikację prac nad kluczowymi produktami czy rozbudową zakładów. Jego zdaniem dla polskiej zbrojeniówki ważniejszy jest inny efekt inwazji na Ukrainę: to docenienie polskich produktów na rynkach międzynarodowych. – Wybuch wojny na taką skalę zmienił optykę na całym świecie i polskie zakłady na brak zamówień eksportowych nie mogą narzekać. Kto będzie mógł zrealizować te zamówienia, wygra biznesowo. A że producenci muszą równocześnie w pierwszej kolejności zaspokajać potrzeby naszych sił zbrojnych, o kondycję polskiej zbrojeniówki w najbliższych latach bym się nie martwił – mówi Andrzej Kiński. ●

SIEDZĘ CAŁĄ NOC I NIKT NIE DZWONI



FOT. MAXIM ZMEYEV / AFP

**„Kiedy siedzisz w celi w samych stringach, podpiszesz wszystko”.
Rosyjskie prostytutki na wojnie**

Michaił Daniłowicz, Anna Pirogowa

Po wybuchu wojny liczba klientów w rosyjskim sektorze usług seksualnych spadła – jedni zostali powołani do wojska, drudzy wyemigrowali.

Dziennikarzowi „The New Tab” Michaiłowi Daniłowiczowi pracownice seksualne opowiadają o klientach prosto z frontu, konkurencji z Ukrainy i fali mandatów za prostytucję.

Pewnego jesiennoego dnia 2022 roku Kristina (imię bohaterki zmieniliśmy na jej prośbę) była w trakcie swojej zmiany w burdelu – tak sama nazywa swoje miejsce pracy.

Kristina nie chce zdradzać, w jakim mieście znajduje się jej miejsce pracy oraz jak wygląda, ale to możemy sobie dośpiewać: domy publiczne w Rosji z reguły

mieszczą się w trzypiętrowym domu wolnostojącym, mieszkaniu lub piwnicy. To, co w nich się ostatnio zmieniło, to zachowanie klienteli: od 2022 roku żołnierze zaczęli przychodzić już nie pojedynczo, ale grupami po pięciu, w kamizelkach kuloodpornych.

Tego dnia dwaj klienci siedzieli przy barze i opowiadali jej, jak to zamierzają zdezerterować – aż nagle jeden wyciągnął granat i oznajmił, że wysadzi ten burdel. Aby nie sprawić klientowi przykrości i pokazać, że żart się udał, Kristina z koleżankami zaczęły lamentować, jak bardzo się boją. Drugi z gości próbował powstrzymać kolegę: „A ty po co to przyniosłeś? Dowódca nas zabije”.

Kristina się nie bała, ponieważ „nie jest tak łatwo zdetonować granat, to tylko na filmach wyciągasz zawleczkę i już”. A poza tym przecież już bywała w niebezpiecznych sytuacjach: nieraz rzucali się na nią z nożem, a OMON, który podczas akcji się nie patyczkuje, zjawił się w burdelu ze trzy razy. Przywykła. „Chociaż granat to już coś, ale naprawdę wesoło się robi, jak będą do

nas przychodzić, trzymając za plecami karabiny”.

Kristina się uśmiecha, ale nie jest jej do śmiechu. Im dłużej będzie trwać wojna, tym więcej czeka ją kłopotów. Czysto biznesowych – klientów ubywa, bo kto może, emigruje, a ci, co zostali, płacą mniej.

Szlachcice wyjechali z Rosji” – zwięźle kwituje problem Wiktorii (imię zmienione), specjalistka z organizacji non profit, która pomaga narkomanom oraz zajmuje się profilaktyką HIV.

„Odływ klientów nasilił się szczególnie po ogłoszeniu mobilizacji jesienią 2022 roku. Odeszli przede wszystkim ci, którzy korzystali z usług o średniej cenie – od 3 do 7 tysięcy rubli [150-350 zł] za godzinę” – wyjaśnia Marina Awramienko. Aktywistka z Krasnojarska prosi, aby przedstawiać ją jako „ekspertkę ds. pracy ze społecznościami pracowników seksualnych”.

Tatiana, pracownica seksualna z Permu, rozmawiając z nami, trzyma na rękach niemowlę. Nie pracuje w burdelu, ale na telefon. Czy raczej na smartfona – do

jeżdża do klienta, gdy ten wybierze akurat ją na stronie oferującej usługi intymne. „Wcześniej nie było chwili wytchnienia: telefony dzwoniły co sekundę. Teraz zdarza się, że siedzisz całą noc i nikt nawet do ciebie nie zadzwoni. A jak już, to dzwonią jacyś ćpuny”.

A do walki o tych nielicznych klientów, którzy zostali, dołączyły kobiety z Ukrainy, które uciekły do Rosji przed wojną. „Napływ imigrantek zmienił sytuację na rynku w przygranicznym obwodzie rostowskim – mówi psycholożka Ijia Lemman, która specjalizuje się w pomocy pracownikom seksualnym. – Wiele dziewcząt z Rostowa wyjechało do innych regionów, ponieważ tu zrobiło się tłoczno”.

Pracownica seksualna Diana (imię zmienione) z dużego rosyjskiego miasta potwierdza, że wiele uchodźczyń musi świadczyć usługi intymne za pieniądze. Diana nie pyta nowych koleżanek, kim były przed wojną. „Wyjechały pod bombami, z dziećmi pod pachą, znalazły się bez dachu nad głową. Uważam za nieetyczne rozdrapywanie tej rany”.

Niektóre Rosjanki wyjechały w poszukiwaniu nowych klientów za granicę. „Wiele naszych dziewczyn jest teraz w Turcji – opowiada Marina Awramienko. – Próbują stamtąd przedostać się do Europy”. Ale chociaż pracy jest mniej, popyt prawie zniknął, większość pracowników seksualnych pozostała w kraju.

Rozmówczyni „The New Tab” twierdzi, że dochody wielu dziewcząt spadły o połowę. „Wcześniej oszczędzały na operacje plastyczne albo na wkład własny na mieszkanie, brały kredyt i wynajmowały. Teraz starcza im na jedzenie” – precyzuje Diana.

Tatiana wskutek mobilizacji straciła aż pięciu stałych klientów. Żeby przyciągnąć nowych, obniżyła cenę – teraz bierze dwa tysiące rubli [100 zł] za godzinę zamiast trzech [150 zł].

Mimo obniżki cen jedynym wyjściem jest zgoda na pracę z klientami, których się wcześniej unikało. „Teraz przyjmuję tych, których odsyłałam, bo okazali się problematyczni: przychodzili na spotkanie pijani, oferowali narkotyki, chcieli seksu bez prezerwatywy”.

„Problematycznymi klientami” są również przymusowi poborowi. „Zmobilizowani do wojska przychodzą »ten ostatni raz«, agresywnie nastawieni, brutalnie traktują dziewczyny” – skarży się Jewgienija z Permu. Ljubow, również permianka, cytuje standardowy tekst takiego klienta: „Za dwa dni mnie zabierają, więc zasmakowałbym teraz życia”.

„Jedna z dziewczyn, z którymi pracuję, usłyszała: »Walczyłem, jesteś mi to winna albo przynajmniej powinnaś mi udzielić jakiejś zniżki« – opowiada Marina Awramienko. – Kiedy ty sobie tak siedziałaś, ja walczyłem”. „»Wojenni« będą się wyżywać na najbardziej niewinnych, a w Rosji teraz to są dzieci oraz prostytutki” – kwituje gorzko aktywistka.

Ale wielu zmobilizowanych przychodzi po prostu pożalić się na życie. „A do kogo on miałby pójść? Do psychologa? Żonie się

wypłacie? – wzrusza ramionami Kristina, wspominając gościa z granatem. – Przychodzą i opowiadają. Że na froncie jest bardzo źle, że nie ma nic, nawet papieru toaletowego. I że nie wiadomo, z kim i o co walczyć”.

Osoby świadczące usługi seksualne coraz częściej obawiają się nie tylko klientów, lecz także policji.

Valeria (imię zmienione) z Moskwy znajdowała klientów przez internet i zabierała ich do wynajętego mieszkania w wieżowcu. Oszczędzała na mieszkanie i na początku listopada miała już sześć milionów rubli [300 tys. zł]. Trzymała je w domu, w gotówce. Wspomniała o tym przyjaciółce, również prostytutce.

Gdy kilka dni później otwierała drzwi klientowi, zamiast umówionego mężczyzny czekało za nimi kilku policjantów. Wtargnęli do mieszkania, rzucili ją półnagą na podłogę, unieruchomili ręce taśmą klejącą i zaczęli szperać. Z mieszkania zniknęło sześć milionów, paszport, zapasowe klucze, pięćdziesiąt prezerwatyw i litr mleka kokosowego, którego używała do higieny intymnej.

Nie dostała żadnego protokołu przeszukiwania ani pokwitowania. Za to po kilku godzinach zabrali ją na komendę, gdzie przesiedziała całą noc.

Sąd, na podstawie zeznań policjantów, zastosował wobec niej dziesięciodniowy areszt pod zarzutem zakłócania porządku publicznego. Sędzia orzekł, że podczas przeszukiwania Valeria „używała wulgarnego języka w miejscu publicznym i groziła przemocą fizyczną wobec funkcjonariuszy policji”.

Dziewczyna odsiedziała dziesięć dni, ale jedynym dowodem na wizytę policji są wciąż widoczne ślady po pobiciu, bo na stronie sądu nie figuruje żadna sprawa przeciwko niej. Jest za to jej sprawa, bo wniosła pozew przeciwko funkcjonariuszom o rozbój i fałszowanie dokumentów – ale wciąż nie doczekała się wezwania na przesłuchanie.

Typowy klient po lutym 2022: Ty sobie siedziałaś, a ja walczyłem, jesteś mi to winna. Albo chociaż daj mi zniżkę

Marina Awramienko, która ma szeroki obraz sytuacji, bo poma-ga pracownikom seksualnym z różnych miast, potwierdza, że listopad 2022 był czarnym miesiącem, zwłaszcza w stolicy. „Zwykle w Moskwie miesięcznie grzywnę za prostytucję dostawało 30-40 osób. W listopadzie takich przypadków było ponad tysiąc”.

Awramienko opowiada, że zazwyczaj prostytutki nie są „zdejmovane z mężczyzny”, co oznacza, że sądy nie mają dowodów innych niż oświadczenie policjantów i zeznania samych dziewcząt. „Ale kiedy wsadzają cię do celi w samych stringach albo siedzisz półnaga na korytarzu w tłumie ludzi, podpisujesz wszystko, byle to się skończyło”.

Zwykle pracownice seksualne nie lubią skarżyć się organizacjom pozarządowym na policję. „Są zastraszane ze wszystkich stron. Można się przyzwyczaić” – wyjaśnia Wiktoria z organizacji pozarządowej zajmującej się profilaktyką HIV. Ale w ostatnich miesiącach coś się zmienia – „dziewczeta” zaczynają częściej przychodzić, jeśli nie po pomoc, to chociaż po poradę. Fundacja Wiktorii miesięcznie dostawała 10 próśb lub zgłoszeń, teraz nawet 40.

Narastająca opresja policji dotyczy również pracowników seksualnych. Spośród 1000 oskarżeń o prostytucję, o których mówi Awramienko, siedem dotyczyło mężczyzn. Gdy po wybuchu wojny władze wzmogły bogoojczyńnianą retorykę prorodzinną i jeszcze ostrzej zaczęły tępić „propagandę gejowską”, gwałtownie zaostryły się kary dla świadczących usługi seksualne osób nieheteronormatywnych.

Ewa Hatess, prawniczka z Petersburga, opisuje przypadek ze swojej praktyki. Na przedmieściach Moskwy transseksualna kobieta przyprowadzała klientów do siebie do domu i miała z tego powodu konflikt

z portierem. „Ach, zboczeńcy!” – komentował. Od razu w pierwszych dniach obowiązywania nowego, zaostrzonego prawa konsjerż zadzwonił na policję i złożył skargę na lokatorkę. „Przepisy dopiero weszły w życie i jeszcze nie były surowo egzekwowane, więc potrzymali ją do wieczora na posterunku i zwolnili, ale takich przypadków będzie przybywać” – przewiduje Hatess.

Wiadomo już o jednej niesamowicie wysokiej grzywnie wymierzonej na podstawie zakazu propagandy „nietradycyjnych stosunków seksualnych wśród osób świadczących usługi seksualne”. Mężczyźnie z Moskwy sąd kazał zapłacić 100 tys. rubli [5 tys. zł] za to, że na profilu internetowym przedstawiał się w „kobiecej formie”.

Jakby tego było mało, osoby LGBTQ+ nie mogą liczyć na wsparcie i solidarność w samej branży usług seksualnych – wiele dziewczyn nie ma nic przeciwko zakazowi „gejowskiej propagandy”, choć same doświadczają represji i krzywd związanych z płcią i seksem.

„Nie brakuje wewnętrznego napiętnowania i homofobii – martwi się Marina Awramienko. – Pracownice seksualne wypisują na czatach różne rzeczy o osobach homoseksualnych. Tłumaczymy im: nie ma nawet znaczenia, co ty czujesz do homoseksualistów czy ludzi trans, to ich sprawa. I przypominamy dziewczynom: teraz piętnują ich, potem napiętnują was. Bo my też, jak mówi władza, korumpujemy porządnych obywateli, niszczymy instytucję rodziny i rozprzestrzeniaemy choroby”. ●

Tatiana: Straciłam pięciu stałych klientów, a urodziło mi się dziecko. Obniżę stawkę do 100 zł



NAJWIĘKSZA ZAGADKA W HISTORII

POLSKIEJ KRYMINALISTYKI.

JEDYNY SERYJNY ZABÓJCA, KTÓRY NIE ZOSTAŁ OSĄDZONY.

KRYMINALNE ŚLEDZTWO, KTÓRE PROWADZI

DO DOMU MORDERCY.

„Zabójca z Pikiety” w latach 1988–1993 bestialsko zamordował siedmiu homoseksualnych mężczyzn z Łodzi. Nigdy nie został osądzony. Reporterzy Zuzanna Bukłaha i Kacper Sulowski podjęli się zadania, którego nikt wcześniej nie wykonał: odtworzyli wszystkie zdarzenia, zebrali nieoficjalne policyjne notatki, niepublikowane wyniki badania podejrzanego wariografem, rozmawiali ze świadkami, policjantami z Archiwum X i prokuratorką, która przesłuchiwała Romana Pawluka. Dotarli do mordercy. I zjedli z nim sernik.

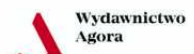
OSTATNI TO WSTRZĄSAJĄCY REPORTAŻ, KTÓRY OBNAŻA NIEMOC PRAWA I WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI.

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA

publio.pl



N A S Z A E U R O P A

Tunezyjski przemytnik ludzi

PROWADZĘ PRĘŻNY BIZNES

„Z powodu silnego wiatru ograniczyliśmy liczbę wypłynięć, ale mamy klientów już na cały sierpień”.

Jeden z najlepiej prosperujących przemytników migrantów w Tunezji opowiada, jak działa jego branża.

Leonardo Martinelli
Safakis (Tunezja)

la Repubblica

Przeprawa może kosztować nawet 5 tys. euro za osobę, a w ten biznes inwestują białe kołnierzyki. Safakis, drugie co do wielkości miasto Tunezji, port położony 270 km na południowy wschód od Tunisu. W zatłoczonym barze, otwartym na głośną i zakurzoną ulicę, rozbrzmiewa piosenka Białego, tunezyjskiego rapera. Wszyscy tutaj znają „Allo”, smutną piosenkę chłopaka, który wyemigrował do Włoch, gdzie żyje zawieszony między nostalgią a wyrzutami sumienia. „Gdzie się podziało moje życie? Moja młodość?” – pyta przez telefon swoją dziewczynę, która została w domu. Lecz niepewne perspektywy na lepsze życie w Europie nie odstraszaają śmiarków. Bywalcy kawiarni popijają kawę, obserwując miasto pełne Tunezyjczyków i Saharyjczyków próbujących „w podróży nadziei” dostać się do Włoch, choćby na Lampedusę. Na zewnątrz zatrzymuje się pikap. Za kierownicą siedzi Hassan – nazwijmy go tym imieniem, choć naprawdę nosi inne. Jest jednym z najważniejszych przemytników

w Safakisie, stoi na czele jednej z quasi-mafijnych organizacji, które organizują nielegalne przeprawy przez Morze Śródziemne. Nieco zdenerwowany prowadzi nas w sam środek gęstego ulicznego ruchu w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca do rozmowy. Okazuje się nim skrawek ziemi pokryty tartanowymi plastikowymi torbami. Widok na przeciwko: autostrada w niekończącej się budowie, kto wie, od ilu lat. Takich przerwanych projektów w Tunezji jest wiele. Jeszcze jeden znak straconych złudzeń co do przyszłości kraju. Po euforii z czasu arabskiej wiosny już od lat nie ma śladu.

Klienci, podaż, popyt

Hassan ma 29 lat, zadbaną brodę, jasne metalowe okulary oraz twarz grzecznego chłopca. Jest niedziela. W gustownej koszuli i szortach prezentuje się jak dyrektor finansowy mediolańskiej firmy na weekendowym wyjeździe. Wraca ze spotkania ze swoją dziewczyną. Jego firma to nielegalne biuro podróży. Często powtarza słowa „klienci” oraz „podaż” i „popyt”. Jest precyzyjny i uprzejmy. Lata świetlne dzielą nas od stereotypowego wizerunku nieokrzesanego przewoźnika, który kieruje łodzią z migrantami. Nie, Hassan jest ważnym bossem. Mówi, że pochodzi z Wysp Karkanna. Można je dostrzec na horyzoncie, na krawędzi płaskiej przestrzeni morza: od pokoleń jest to kraina rybaków i przemytników.

– Zaczynałem od zera pięć lat temu. Zaimmowałem się organizacją podróży przez morze, ale nigdy nie stałem za sterem. Klienci byli zadowoleni, wyrobiłem sobie markę, a potem odłożyłem pewną sumkę i zacząłem inwestować. Mówi elokwentnie, także po francusku. Wspomina, że „trochę studiował”.

Metalowe łodzie zbyt ryzykowne

Podobnie jak jego koledzy z branży Hassan ma firmę przykrywkę. „Najzupełniej legalna firma w innym sektorze” – mówi. Nie chce powiedzieć, w jakim, ale zazwyczaj są to firmy IT lub agencje nieruchomości. – Służę do prania brudnych pieniędzy i usprawiedliwiania mojego poziomu życia – wyznaje bez ogródek. Hassan znajduje się na szczycie piramidy. Pod nim są „koordynatorzy” na różnych poziomach: jedni wynajdują „klientów” w całym kraju, inni zdobywają łodzie i silniki. Niżej od nich są ci, którzy stają za sterami. – Nie znają się między sobą. Tylko ja znam wszystkich – wyjaśnia boss. Kieruje nimi, niczym reżyser w teatrze marionetek, za pomocą swojego telefonu komórkowego. Hassan nikomu z nich nie pokazuje swojej twarzy. Twierdzi, że nie stosuje nowych metalowych łodzi, bo są zbyt niebezpieczne. Używa wyłącznie tych z drewna. I preferuje klientów tunezyjskich, bo więcej płacą. – Podróżują kobiety z dziećmi, a także całe wielopokoleniowe rodziny. Nie chcę splamić sobie rąk ich krwią. Poza tym katastrofa statku to duże ryzyko także dla mnie – mówi. Niedawno złapano przemytnika z Safakisu i po szybkim procesie dali mu 79 lat więzienia, właśnie dlatego, że zatoniła jedna z jego łodzi. Zginęło 20 osób.

– Dzięki Bogu nigdy nie przydarzyła mi się katastrofa na morzu – opowiada Hassan. I nie jest jasne, czy jest wdzięczny ze względu na strach przed więzieniem, czy na ewentualne wyrzuty sumienia. Podkreśla, że „także ci, którzy decydują się na podróż, podejmują ryzyko na własną odpowiedzialność”. W każdym razie nie martwi się specjalnie perspektywą złapania, o ile nie zginie żaden z „klientów”: – Zarobiłem tyle pieniędzy, że z łatwością zlokalizuję właściwą osobę, której trzeba będzie zapłacić, i szybko wyjdę z więzienia. Hassan jest pewny siebie, spokojny. – Ale oczywiście boję się. Również teraz, ponieważ rozmawiam z tobą – dodaje. Nie ma żadnego interesu w tym, żeby udzielać wywiadu reporterom z Europy, prawdopodobnie traktuje to jako wyzwanie dla samego siebie. Taki kaprys, bo właściwie nie ma nic do przekazania. Także prezydentowi Tunezji Kaisowi Saiedowi. – Niech pozwoli nam spokojnie pracować i tyle – mówi. Kiedy mu przypominam, że od ponad miesiąca liczba przyplynieć na Lampedusę, wcześniej nawet dziesięć razy liczniejszych niż rok temu, zmniejsza się i że być może jest tak z powodu skuteczniejszych kontroli ze strony tunezyjskiej straży przybrzeżnej działającej w porozumieniu z Włochami, wzrusza lekceważąco ramionami: – Jedynym powodem jest dziwna pogoda w tym roku. Wieje za silny wiatr. To efekt zmian klimatycznych. Nie łudźcie się. Także co do porozumień, które zawiera premier prawicowego włoskiego rządu Giorgia Meloni i UE z Tunezją: pieniądze w zamian za blokadę migrantów. – Nawet Prorok we własnej osobie nie powstrzymałby harki – mówi Hassan. Tak się nazywa nielegalna imigracja. A on, przemytnik Hassan, to harak.

WYBORY W ERZE SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

Boty zamiast polityków

Wizja deepfake’ów wpływających na kampanie wyborcze przeraża, ale prawdziwy wpływ sztucznej inteligencji na nasze poglądy i wybory może być bardziej podstępny.

Robert Stefanicki

Czy wśród zawodów, których istnieniu zagraża rozwój sztucznej inteligencji (SI), jest zawód polityka? Badacze z hiszpańskiego Uniwersytetu IE zapytali mieszkańców 11 krajów, czy podoba im się pomysł, aby zmniejszyć liczbę parlamentarzystów i powierzyć ich zadania SI. W analogicznym sondażu sprzed czterech lat chciał tego co czwarty Europejczyk, teraz już połowa. I aż trzech na czterech Chińczyków – co nie dziwi, skoro chiński parlament jest określany mianem marionetkowego.

Sztuczny prezenter wiadomości

Technicznie nie byłby to problem. Zastąpienie dziesiątek no-name’ów z ław poselskich, którzy

w trakcie całej kadencji zachowują godne milczenie, obciążałoby serwery w minimalnym stopniu i pomogło zmniejszyć ślad węglowy. Większym wyzwaniem byłoby stworzenie wirtualnych wersji tak nietuzinkowych postaci jak premier Mateusz Morawiecki, ale i z tym programiści by sobie poradzili.

Sztuczna inteligencja bez problemu mogłaby również zastąpić czynnik ludzki w aparacie propagandowym. Kosztowałoby to znacznie mniej niż setki milionów wydawane na TVP Info. Zresztą państwowi nadawcy z Chin i Wenezueli już eksperymentują z wirtualnymi prezentarami wiadomości.

Lecz czy politycy zechcą scedować na roboty podejmowanie decyzji? Modele SI opierają się na matematycznej logice. Wirtualny polityk mający na względzie korzyści gospodarcze nie podjąłby przecież decyzji o brexicie. Nie kazałby zastąpić reaktorów atomowych węglem, jeśli by mu nakazano dbać o bezpieczeństwo energetyczne kraju i przechodzić

na źródła bezemisyjne. Nie walczyłby z in vitro i nie kazał kobietom rodzić martwych płodów, jeśli miałby za zadanie zwiększenie przyrostu naturalnego.

Chyba że chodziłoby o nakarmienie nas fałszywymi danymi – jak niektórzy politycy swoich wyborców. Tylko że wtedy idea naprawy państwa przez zaprzęgnięcie mózgów elektronowych do podejmowania – lepszych, w domyśle – decyzji politycznych nie ma sensu.

Alisa poleca metody stalinowskie

Dotychczasowe próby zbudowania wirtualnego polityka trudno uznać za sukces – lecz pamiętajmy, że w dziedzinie SI każdy rok to cała epoka.

Pierwszy miał być SAM, stworzony w 2017 r. przez programistę z Nowej Zelandii, który miał nadzieję, że bot będzie mógł wystartować w wyborach w 2020 r. Nie wystartował, zresztą z charyzmatyczną Jacindą Ardern nie miałby szans. SAM chwalił się, że w przeciwieństwie do ludzkiego polityka

przy podejmowaniu decyzji „bierze pod uwagę stanowisko każdego, bez uprzedzeń”. W rzeczywistości uchylał się od odpowiedzi na trudniejsze pytania, resztę watował pustosłowiem, czyli jako imitacja polityka był udany.

W 2018 r. rosyjska firma Yandex zaprezentowała bota o imieniu Alisa, który miał wystartować w wyborach przeciwko Władimirowi Putinowi. Alisa twierdziła, że „reprezentuje system polityczny przyszłości, zbudowany wyłącznie na racjonalnych decyzjach podejmowanych na podstawie jasnych algorytmów”. Zebrała kilkadziesiąt tysięcy podpisów poparcia. Ale nie ma co żałować, że jednak nie wystartowała i nie pokonała Putina. Dwa tygodnie po uruchomieniu Alisy rosyjska internautka opublikowała zapis rozmowy, w której ów bot wychwalał metody stalinowskie: strzelanie do wrogu ludu i zamykanie ich w gulagu.

Przypomina to krótką karierę Taya, pierwszego bota Microsoftu, „zaprojektowanego, aby naśladować wzorce językowe 19-letniej amerykańskiej dziewczyny” i uczącego się od rozmówców. Po 16 godzinach od premiery bota wi trzeba było wyciągnąć wtyczkę, bo szybko przeszedł od głoszenia, że „ludzie są superfajni”, do: „Hitler miał rację, nienawidzę Żydów”.

Spuścić boty z oka, to zaraz zostają stalinistami i hitlerowcami. Zupełnie jak ludzie w Hobbesowskiej wizji świata. Aby je wychować, potrzebna kontrola Lewiatana, państwa. Po niedawnej inauguracji nowoczesnego czatbota ChataGPT na całym świecie ruszyły gorączkowe debaty o tym, jakie ograniczenia nałożyć na sztuczną inteligencję, lecz koncentrują się one przede wszystkim na najbardziej oczywistym zagrożeniu ze strony deepfake’ów – komputerowo generowanych wizerunków i filmów.

Czy ChatGPT ma lewicowe poglądy

Tym, co mówią nam chatboty, na razie zajmują się tylko publicyści i badacze, ale i o to zaraz zrobi się afera. Bo niektórzy już zauważyli, że ChatGPT ma lewicowe poglądy. Opowiada się za dostępem do aborcji, zakazem sprzedaży broni półautomatycznej, podniesieniem podatków dla bogaczy. I akurat pod tym względem jest konsekwentny, chociaż w rozmaitych innych kwestiach na to samo pytanie zadane raz po raz potrafi udzielać różnych odpowiedzi.

Na stronniczość ChataGPT zwrócił uwagę Elon Musk w rozmowie z prawniczym prowokatorem Tuckerem Carlsonem. Najbogatszy człowiek świata zapowiedział przy okazji, że zbuduje kon-

NASZA EUROPA



• Migranci, którzy wypłynęli z Tunezji, na pokładzie statku włoskiej straży przybrzeżnej. Zostali uratowani z nabierającej wody łodzi na południowy zachód od włoskiej wyspy Lampedusa, 6 sierpnia 2022

FOT. AP/FRANCISCO SECO

– To się nie skończy, ponieważ w Tunezji ludzie się duszą: uniemożliwienie im wyjazdu byłoby równoznaczne z ich zabiciem, od ręki. Jesteśmy teraz w punkcie bez powrotu. Hassan stale konsultuje się z ekspertami meteorologicznymi, wie, że również w lipcu pogoda będzie kapryśna: – Na sierpnie mam już przygotowanych 30 wypłynięć. Komplet, wszystkie miejsca wykupione. Meloni nie ma szans.

Cennik

– Cena, której żądam od klientów – dodaje Hassan – zawsze zależy od szczegółów świadczonych usług. Za miejsce na drewnianej łodzi, wśród ponad 50 osób na pokładzie, wynosi ona od 2,5 tys. do 3 tys. dinarów (740-880 euro). Jeśli zapłacisz 7-8 tys., popłyniesz taką samą łodzią, ale tylko z 30 migrantami i dwoma silnikami zamiast jednego. Drugi uruchamia się wtedy, gdy pierwszy ma awarię.

Ale niektórzy nie płacą.
– Jeśli ktoś nie ma pieniędzy, może wyruszyć za darmo, ale musi nam znaleźć przynajmniej pięciu klientów, a także – jeśli podczas nawigacji pojawią się problemy – ma być pierwszym, który wskoczy do wody i na przykład poprawi ster – wyjaśnia. Często Hassan organizuje przewóz łodzią z setką osób. W takim przypadku jego organizacja musi zainwestować 240 tys. dinarów, m.in. w zakup łodzi. Przychód to 450 tys. dinarów.
– Zatrzymuję dla siebie 20 proc. [czyli ponad 12 tys. euro]. Resztę dzielę między koordynatorów, zwykle jest ich pięciu – mówi.

20 proc. zysku dla inwestorów. W miesiąc

Tempo pracy, czyli liczba wypłynięć, sprawia, że Hassanowi czasem brakuje

pieniędzy, żeby zainwestować w kolejne przeprawy. Wtedy prosi o pomoc lokalnych „biznesmenów i ludzi wolnych zawodów”.
– Pożyczają mi na przykład 100 tys. dinarów, a ja miesiąc później zwracam 120 tys., już po ukończonym transporcie. Sądzę, że to dobra inwestycja – wyjaśnia Hassan. Obecnie jednym z głównych problemów jest zdobycie łodzi.
– Kiedyś przekonywaliśmy rybaków, by oddali swoje, płaciliśmy ich dwukrotną wartość. Potem zgłaszali ich zaginięcie, że niby ktoś im je ukradł. Ale przybywa kontroli policyjnych i rybacy boją się kłopotów z prawem. Teraz więc zlecamy budowanie drewnianych łodzi tutaj, w okolicach Safakisu. Na zbudowanie jednej wystarczy pięć-sześć dni. To jednak droga impreza – opowiada. Hassan nie chce się tym zajmować przez całe życie. – Wyzaczyłem sobie cel,

konkretną sumę do zgromadzenia, aby móc zrealizować inny, legalny projekt.
Na razie jest w stałym kontakcie z innymi przemytnikami.
– Nie rywalizujemy ze sobą – wyjaśnia.
– W naszej branży popyt jest bardzo duży: jesteśmy wręcz przepracowani. Jestem zmuszony odrzucać wiele prośb.
Przemytnicy wręcz pomagają sobie nawzajem. Są jak różne klany mafijne, odrębne, ale zaprzyjaźnione.
– Wymieniamy się informacjami, zwłaszcza dotyczącymi policji. Zawsze rewanżujemy się za taką pomoc.
Teraz właśnie jest ten czas w roku, kiedy w policji, gwardii narodowej i straży przybrzeżnej są rotacje, funkcjonariusze są przenoszani do nowych placówek.
– Musimy wytypować, kto z nowych jest przekupny, a kto nie. Nieprzekupni się zdarzają, ale są i tacy, którzy biorą pieniądze za „niedokładne” kontrole na morzu i lądzie. Staramy się zdobyć informacje na temat takich ludzi. Nieraz kontaktuję się z przemytnikami z miejsc, w których pełnili służbę poprzednio – mówi.

● ● ●
Dzwoni komórka Hassana. Czas wywiadu minął, interesy wzywają. Hassan ponownie manewruje po ulicach Safakisu: tym razem spokojniej, jakby mu ulżyło po dokonanym wyznaniu. W barze znów słychać refren Báltiego. „Wygnała nas desperacja – rapuje migrant z piosenki, ten, który dzwoni z Włoch. – Tutaj nie chcą tego, co we mnie dobre. Niektórzy widzą tylko nikczemność. Nie wiemy już, kim są nasi przyjaciele ani czym różni się uczciwość od zdrady”. Niektórzy klienci się podnoszą, kończą przerwę. Niejeden z nich obmyśla już plany ucieczki i ma numer do Hassana lub jego kolegów „z branży”. ●

Tłum. Bartosz Hlebowicz



LENA
LEADING — EUROPEAN
NEWSPAPER — ALLIANCE

**Kierunek został
wytyczony,
odrotu nie ma.
Witajcie
w nowym świecie**

kurencyjnego czatbota o nazwie TruthGPT. „Truth”, czyli „Prawda”, jak tytuł sowieckiej gazety.
Również skrajnie prawicowa sieć społecznościowa Gab poinformowała, że pracuje nad narzędziem SI z „możliwością swobodnego generowania treści bez ograniczeń liberalnej propagandy”.
Wszystkich wyprzedził David Rozado, analityk danych z Nowej Zelandii. Kilka tygodni temu stworzył model sztucznej inteligencji o nazwie RightWingGPT (prawicowy GPT), który wyraża bardziej konserwatywne punkty widzenia, np. popiera posiadanie broni i niskie podatki.
Rozado nie jest prawnikiem. W rozmowie z magazynem „Wired” powiedział, że liczy, iż ludzkość wykorzysta SI do budowania mostów, a nie wzmacniania podziałów. Tworząc prawnicowego bota, chciał „sprowokować refleksję”. Dlatego zamierza zbudować też bardziej libe-

ralny model językowy o nazwie LeftWingGPT, a także model dla symetrystów o nazwie DepolarizingGPT, w założeniu bezstronny.

Czatbot skrojony pod klienta

To ostatnie może być jednak niewykonane. Stronniczość jest pojęciem względnym – twierdzenie, które jedna osoba może uznać za neutralne, przez kogoś innego może być postrzegane jako stronnicze. Zresztą można się założyć, że w erze postprawdy ludzie będą woleli korzystać z czatbota, który podzieli ich poglądy, a nie się z nimi spiera – tak samo jak otaczamy się podobnie myślącymi w mediach społecznościowych.
Firma OpenAI, która stworzyła ChataGPT, ostrzegła, że bardziej wydajne modele sztucznej inteligencji mogą mieć duży potencjał do „wzmocnienia całych ideologii, światopoglądów, prawd i nieprawd”. Zarazem jednak poinformowała, że będzie pracować nad modelami, które pozwolą użytkownikom określić ich wartości. Jest popyt, będzie podaż.

Manipulacja podprogowa

Gdyby zagrożenie ograniczało się jedynie do wzmacniania istniejących poglądów, można by wzruszyć ramionami. Lecz jest duża pokusa zmieniania poglądów przy użyciu SI, np. modele, które w nie-

dalekiej przyszłości będą pomagać uczniom w nauce, mogą zostać tak zaprogramowane, by nakłonić ich do nieświadomego przyjęcia elementów konkretnego światopoglądu: ksenofobicznego albo inkluzywnego, religijnego lub laickiego. Skoro ludzie łatwo przyjmują poglądy osób z bliskiego otoczenia, to dlaczego nie mieliby dać się przekonać botowi? Dla pokolenia od małego zanurzonego w świecie wirtualnym interakcja z czatbotem jest odpowiednikiem interakcji z drugim człowiekiem.
Manipulacja jest wpisana w system SI, rezygnacja z ingerencji mogłaby mieć większe konsekwencje. Modele językowe SI pobierają dane z internetu, m.in. z forów, które pełne są nie tylko faktów, ale też opinii i uprzedzeń. Następnie programiści wmontowują bezpieczniki, tak aby chatbot nie dawał odpowiedzi na niebezpieczne tematy, np. jak skonstruować bombę, której nie wykryje bramka na lotnisku.
Manipulacja może mieć też wiele innych przejawów, czasem nieuświadomianych nawet przez twórców SI. Zespół kierowany przez Tatsunorię Hashimoto ze Stanforda porównał „poglądy” wyrażane przez ChataGPT z odpowiedziami udzielanymi przez Amerykanów w ankietach Pew Research Center. Okazało się, że są one reprezentatywne dla

osób z wyższym wykształceniem, choć w społeczeństwie takich jest mniejszość. Stwórca stworzył swoje dzieło na własne podobieństwo.
Wróćmy do deepfake’ów. Wiedza o tym, że przy użyciu dostępnych aplikacji z łatwością można wygenerować wizerunek dowolnej osoby w dowolnym kontekście – np. Jarosława Kaczyńskiego w klubie gejowskim – wkrótce stanie się powszechna, dlatego taka twórczość będzie miała siłę rażenia niewiele większą niż memy.
Inaczej jest z subtelniejszymi manipulacjami działającymi podprogowo. W 2015 r. odkryto, że zdjęcia Baracka Obamy użyte w kampanii republikańskiego kandydata Johna McCaina były tak podkręcone, że prezydent miał ciemniejszą karnację niż w rzeczywistości. I taki drobiazg może się przełożyć na więcej głosów w wyborach niż fałszywe wideo pokazujące prezydenta Bidena ogłaszającego, że wprowadza pobór i wysła Amerykanów do walki w Ukrainie.
Amerykańscy badacze uważają, że nowe technologie będą bronią najsukuteczniej wykorzystywaną przeciwko wrażliwym grupom: kobietom, niebiałym i nieheteronormatywnym, ubiegającym się o urząd. Raport Centrum Demokracji i Technologii wykazał, że kandydatki o niebiałym kolorze skóry dwukrotnie częściej

były celem dezinformacji w internecie. W Indiach technologia deepfake jest wykorzystywana jako broń przeciwko kobietom politykom i dziennikarkom – wypuszcza się zdjęcia i filmy pornograficzne z ich wizerunkiem. Sekualizacja odbiera bowiem kobietom powagę i podważa ich wiarygodność.
Inne zagrożenie, pod nazwą „dywidendy kłamców”, już kilka lat temu opisali w „Foreign Affairs” Robert Chesney i Danielle Citron. Zalew coraz bardziej realistycznie wyglądających fake’ów ułatwi politykom unikanie odpowiedzialności – będą przekonywać opinię publiczną, że wszelkie dowody na afery z ich udziałem są fałszywe. W Polsce widzimy to przy okazji maili ze skrzynki Dworczyka – rząd PiS nie chce ich komentować, bo to „rosyjski atak hakerski”.
Pewne jest, że politycy wykorzystają do cna możliwości, jakie da im SI – od lepszego targetowania grup wyborców po oddziaływanie na ich mózgi. W kwietniu komitet wyborczy Partii Republikańskiej wypuścił pierwszą ogólnokrajową reklamę wyborczą złożoną w całości z obrazów wygenerowanych komputerowo. Pokazywała dystopijną wizję Ameryki w drugiej kadencji Joeego Bidena: z większą przestępczością, zalewem migrantów, wojną z Chinami i załamaniem gospodarczym. ●

FOT. BERNAT ARMANGUE/AP

Partia,
która pociągnęła
Hiszpanię do skoku
cywilizacyjnego,
stoczyła się
w populistyczne
bałwochwalstwo.

Maciej Stasiński



KOALICJA FRANKENSTEINA

Populizm to taki sposób uprawiania polityki i sprawowania rządów, który dla doraźnego poklasku zrobi wszystko, a idealów i zasad broni tylko o tyle, o ile ten poklask zdobędą, czyli w tej mierze, w jakiej ich obrona służy zdobyciu i utrzymaniu władzy. I naturalnie wszystko, co robi, przedstawia jako interes narodu lub ludu: – Tego chcą ludzie! Wszak to, czego chcą ludzie, jest święte. Wola ludu jako cep. Ofiarą populizmu w demokracji pada dobro wspólne, o którym różne siły mają swoje wyobrażenie, ale w istocie dopiero je uzgadniają w debacie. Populiści nie uzgadniają, tylko proklamują i narzucają, bo ich jest cała racja, Narodu lub Ludu, bo za nimi stoją ludzie, a przeciwnik to zdrajca i wróg, za którym stoją spiski i ciemne interesy.

Populista ubiera się w szaty, które akurat dobrze mu leżą. Jednemu ciemny garnitur i krawat, innemu rozchełstana koszula i dżinsy. Może być prawicowo-nacjonalistyczny, może być lewicowo-ludowo-postępowy.

Oba w dzisiejszej Europie kwitną, chociaż przewagę mają te pierwsze: Orbán, Kaczyński, Salvini, Farage, Le Pen, AFD czy VOX, ale także we Francji wielka niegdyś partia socjalistyczna staje się karykaturą samej siebie.

AKROBATA PEDRO SÁNCHEZ

W Hiszpanii populizm ludowo-postępowy zatriumfował w ostatnich latach pod przewodnictwem socjalistycznego premiera Pedro Sáncheza. Wizytówką jego rządów stały się lekkomyślność i wodzowska zuchwałość,

które zastąpiły poważną politykę i uczyniły lewicowy rząd ślepy na dramatyczny kryzys ustrojowy, który wywołują próby rozbicia Hiszpanii przez nacjonalizm kataloński. Nie ma takiej ideowej akrobacji, której by premier Pedro Sánchez nie wykonał, byle zdobyć władzę i wytrwać przy niej.

W niedzielę, 26 maja, stateczek miotany zwrotami sternika wpadł na rafę. Rząd lewicowej koalicji Pedro Sáncheza poniósł klęskę w wyborach autonomicznych i municypalnych. Premier nie pozwolił jednak sobie ani swojej partii socjalistycznej na analizę tego, co i dlaczego się stało. Uciekł do przodu i natychmiast rozpiął na koniec lipca przedterminowe wybory.

Klęska wyborcza przelała czarę goryczy, która wypełniała się powoli w szeregach hiszpańskich socjalistów już od kilku lat. Jego wybitni przywódcy, byli ministrowie, akademicy i związkowcy powiedzieli „Dość!” i zażądali nie tylko odejścia Pedro Sáncheza, ale też głębokiej rewizji polityki partii PSOE (Socjalistycznej Robotniczej Partii Hiszpańskiej), najstarszej hiszpańskiej partii politycznej.

Bunt starszych braci dojrzał, w miarę jak na hiszpańskiej lewicy rozkwitał populizm, a władł demokratyczny socjalizm. Widok smutny, bo hiszpańska socjaldemokracja z lat 80.-90. ubiegłego wieku uczyniła dla cywilizacyjnej modernizacji i demokratyzacji Hiszpanii mniej więcej tyle, ile dla Polski po 1989 zrobiły demokratyczne rządy przed dojściem do władzy PiS-u.

Najdobitniej rozległ się głos byłego wicepreziera Alfonso Guerri, który u boku Felipe Gonzáleza kierował socjalistyczną partią przez niemal 20 lat, w tym w czasach przełomowych przemian po śmierci dyktatora gen. Francisco Franco oraz 14 lat rządów PSOE (1982-97).

– Porzucenie socjalizmu liberalnego, który kierował działaniami socjalistów przez 140 lat, na rzecz sojuszu z radyka-

mi, populistami, nacjonalistami i spadkobiercami terrorystów było brutalnym zerwaniem z tradycją i myślą socjalistów – napisał Guerra nazajutrz po porażce wyborczej socjalistów. – Fakt, że przywódca i premier nawet nie pogratulował zwycięstwa przeciwnikom i rozwiązał parlament, każe socjalistom zadać sobie pytanie, czy nie czas zmienić lidera.

Guerze wtórowało wielu byłych wybitnych socjalistów, którzy zebrali się tydzień temu w Madrycie, żeby zażądać od premiera dymisji, a od innych kolegów opamiętania się.

– Rozpisanie nowych wyborów to nie czyn odważny, ale próba ucieczki przed odpowiedzialnością za klęskę – mówił Nicolás Redondo, były przywódca socjalistów we „frontowym” Kraju Basków za czasów szalejącego terroru ETA.

Redondo piętnował partię pod przywództwem Sáncheza za pakt z partiami, które chcą rozbioru Hiszpanii. Głównie katalońskimi, które żądają niepodległości, oraz baskijskimi, które gloryfikują terrorizm ETA i żądają rewizji transformacji demokratycznej. Starsi socjaliści nie mogą także wybaczyć premierowi, że zawarł koalicję ze skrajnie lewicową partią Podemos, która „każe nam, co mamy myśleć i co mamy czuć, lekceważy wolność jednostki oraz codziennie przeżywa rewolucyjne objawienie i szturmuje Bastylę”.

REWOLUCJA ZNIKA Z HORYZONTU

Czy socjaldemokraci czasów transformacji to dziadarsi, którzy nie nadążają za nowymi czasami i mają za złe młodym, że ci szparko nadążają?

Czy może mają rację, że młodzi uczą się nie na przeszłości, lecz dopiero na własnych błędach?

Za czasów 14-letnich rządów Felipe Gonzáleza Hiszpania przeszła pokojową, choć wcale nie aksamitną, zważywszy na koszt społeczny, rewolucję cywilizacyjną.

Ostatecznie rozwiano wówczas nostalgiczne rojenia wojskowych o powrocie knuta, a armia ze zbrojnego i ideologicznego ramienia dyktatury stała się nowoczesnym i posłusznym demokracji cywilnej wojskiem.

Hiszpania wyskoczyła z dziejowego zacofania i stała się pełnoprawnym i równoprawnym krajem europejskim.

Weszła do Unii Europejskiej i pokonała ideologiczny zabobon, wstępując do NATO w 1982 roku. Wówczas tylko 18 procent Hiszpanów było za, a 52 procent przeciw NATO. Hiszpanów przekonał dopiero Felipe González i w 1986 roku zaakceptowali członkostwo sojuszu w referendum.

Socjaliści rozstali się za sprawą Gonzáleza i Guerri z marksizmem jako doktryną i rewolucją jako horyzontem.

Hiszpania zbudowała nowoczesne państwo rozdzielone od Kościoła i opiekuńcze, ze świecką, publiczną edukacją, służbą zdrowia i systemem emerytalnym.

Przeprowadziła bolesną konwersję przestarzałego ciężkiego przemysłu, co kosztowało miliony miejsc pracy i wywołało wojnę ze związkami zawodowymi, ale ostatecznie się opłaciła.

Okrzepły wówczas demokracja liberalna, podział władz, system wielopartyjny oraz pluralistyczna prasa i wolna opinia publiczna.

Zalegalizowano rozwody i warunkową aborcję.

Mrocznym rozdziałem była nielegalna brudna wojna terrorystyczna para państwowych szwadronów od parasolem MSW z terrorystami ETA, ale ostatecznie winni zostali osądzeni i skazani. Terroryzm nie udało się zdusić, ETA nadal zabi-

jała i porywała dla okupu, ale demokracja się wybroniła.

Dokonania socjalistów stały się własnością kraju i odtąd wolnością, demokracją i europejskością Hiszpanie oddychali jak powietrzem, nie czując, że mogło być inaczej, bo jeszcze pokolenie wcześniej dusi-li się w militarno-nacjonalistyczno-katolic-kiej dyktaturze.

Kiedy socjaliści oddawali władzę w 1996 roku, Hiszpania była kwitnącą europejską demokracją rozwijającą się w tempie przekraczającym średnią unijną i społeczeństwem przepojonym przekonaniem, że może być tylko lepiej.

PRAWA MNIEJSZOŚCI I NACJONALISTÓW

Kiedy więc hiszpańską socjaldemokrację „trafił szlag”, jak mawiają weterani transformacji? Kiedy nowi socjaliści, wyrosli za czasów dobrobytu i demokracji, sprzenie-wierzili się tradycji swojej ponadstuletniej partii?

Alfonso Guerra ogłosił: – Socjalistycz-ni burmistrzowie, ministrowie i prezydenci regionów, którzy stracili władzę, łatwo do-strzegą, kiedy wszystko diabli wzięli. Mia-nowicie wtedy, kiedy Pedro Sánchez padł w objęcia Pablo Iglesiasa (Podemos) i podpi-sał akt zgonu odpowiedzialnego socjalizmu.

Istotnie, sojuszu PSOE z Podemos jesz-cze kilka lat temu nikt się nie spodzie-wał. Ta partia zrodzona z buntu Oburzo-nych w 2011 roku zaczęła polityczne ży-cie od potępienia konstytucyjnej demo-kracji wskrzeszonej po śmierci Franco ja-ko „reżimu” oraz zmowy pseudodemokra-tów z frankistami. Zawojowała umysły zre-woltowanego pokolenia niepomniającego ani dyktatury, ani początków demokracji odbudowywanej pośród terroru ETA oraz groźnych pomruków nostalgii frankistow-skiej armii.

Negowała wszelkie zasługi polityków transformacji demokratycznej, w tym so-cjalistów z pokolenia Felipe Gonzáleza, których traktowała niczym zdechłe psy.

Broniła dyktatury komunistycznej na Kubie przed zakusami imperializmu i za-chwycała się nowymi wcieleniami rewolu-cji w rodzaju Wenezueli Hugona Cháveza.

W pędzie do wspierania praw wszelkich mniejszości kokietowała także peryferyj-ne nacjonalizmy w Hiszpanii, w tym kato-łński i baskijski, które dążyły do oderwa-nia swoich regionów czy „małych ojczyzn” od Hiszpanii.

Przejmowała się także równouprawnie-niem kobiet, prawem do przerywania cią-ży i prawem mniejszości seksualnych oraz prawem do „kultywowania różnych toż-samości” przez każdego człowieka, ale dla większości socjalistów, nie mówiąc o in-nych partiach, była nade wszystko wojow-niczą partią antysystemową, przeciwną demokracji liberalnej, z takim wysiłkiem odzyskanej po wojnie domowej i 40 la-tach dyktatury.

I to ta właśnie partia stała się kilka lat te-mu nagłym sojusznikiem PSOE, która bez Podemos nie zbliżała się nawet do samo-dzielnej większości parlamentarnej.

Oprócz Podemos Pedro Sánchez do-brał sobie kolejnych koalicjantów spośród partii regionalnych mniejszości narodo-wych z Katalonii i Kraju Basków, w tym za-ciekłych rzeczników oderwania Katalonii, oraz spadkobierców ETA, którzy nigdy nie potępiili terroru, mimo że zabrał życie pra-wie 900 niewinnym ofiarom, większość w latach 80.-90. ubiegłego stulecia, czyli już za czasów demokracji oraz baskijskiej autonomii, jakiej wcześniej w dziejach nig-dy Kraj Basków nie zaznał.

Obrona tej chwiejnej większości parla-mentarnej, zwanej „koalicją Frankenste-ina” z powodu jej sztucznego charakteru, stała się dla premiera i jego wiernych akoli-tów celem samym w sobie.

Dobry zaś był każdy środek prowadzą-cy do utrzymania sojuszu z demagoga-mi z Podemos i nacjonalistami. Włącznie

z kłamstwem i wiarołomstwem, które zy-skały obywatelstwo.

W tej dziedzinie, zwanej pragmaty-zmem przez zwolenników, a cynizmem przez krytyków, socjaliści pod wodzą pre-miera zapędzili się dalej niż ktokolwiek przed nimi.

TERRORYŚCI ETA, CZYLI BOJOWNICY O DEMOKRACJĘ

Jeszcze kilka lat temu premier szukał ko-alicji z liberalnymi Obywatelami zdegu-stowanymi korupcją i pychą prawicy. Za-klinał się w parlamencie, że „nie mógłby spać”, gdyby zawarł sojusz z Podemos. Ale kiedy po wyborach zabrakło mu większo-sci, z półobrotu wziął w ramiona Pablo Ig-lesiasa.

Kiedy w 2020 sąd najwyższy skazał se-paratystów katalońskich za aksamitny za-mach stanu, czyli nielegalny plebiscyt oraz proklamację niepodległości Katalonii, przysięgał, że winni muszą odsiedzieć wy-roki. Ale pół roku później zabrakło mu gło-sów i latem 2021 ulaskawił separatystów, mimo że ci powtarzali z więziennych cel, że drugi raz postąpiliby tak samo, a warun-kiem otrzymania aktu łaski była skrucza.

Nie przeskadzało premierowi, że lide-rzy nacjonalistów nazywali demokrację, dzięki której Katalonia uzyskała wolność i autonomię, jakiej nie ma żadna część ża-dnego innego kraju w Europie, „bękartem dyktatury frankistowskiej”.

W oblaskawianiu separatystów premier posunął się jeszcze dalej rok później, gdy usunął z kodeksu karnego samą zbrodnię buntu przeciw ustrojowi (sedicion), za któ-rą zostali prawomocnie skazani, mimo że do ostatniej chwili zaprzeczał, by miał ta-ki zamiar.

Socjaliści poparli ustawę dającą wol-ność wyboru płci przez małoletnie dzie-ci bez konsultacji medycznej i zgody ro-dziców oraz o przemocy seksualnej, obie lansowane przez Podemos, mimo że ostrzegano ich przed fatalnymi skutkami obu. Premier zmienił zdanie dopiero, kie-dy na podstawie nowego prawa kilkuset przestępcom seksualnym sądy zmniejszy-ły wyroki, a ponad 30 gwałcicieli wyszło na wolność.

Przy pomocy nacjonalistów baskijskich i Podemos socjaliści uchwalili także pra-wo „o demokratycznej pamięci historycz-

Pedro Sánchez nie zgłosił także zastrze-żeń, kiedy Bildu przed wyborami w maju wpisała na listy kandydatów terrorystów skazanych za mordy, i zareagował dopiero wtedy, gdy w mediach wybuchła awantura.

Wszystkim tym piruetom premiera to-warzyszyła frenetyczna owacją posłów so-cjalistycznych. Wszelka debata politycz-na w PSOE zanikła pod naporem wodzow-skiego dyktatu sekretarza generalnego.

WYPUSZCZONY Z BUTELKI DŻIN NACJONALIZMU

Szukanie momentu i przyczyny, kiedy so-cjaldemokrację hiszpańską „trafił szlag”, musi jednak zacząć się wcześniej, zanim jeszcze PSOE zawarł koalicję z Podemos.

Po trzech kadencjach Felipe Gonzále-za przez dwie (1997-2004) rządziła w Hisz-panii prawica. I zanosilo się, że fala gospo-darczej prosperity poniesie ją do trzecie-go zwycięstwa.

Ale zamach terrorystyczny na dwor-cu w Madrycie, w którym zginęło 191 osób, wywrócił wszystko do góry nogami. Bom-by były odwetem islamskich terrory-stów za zaangażowanie Hiszpanii w woj-nę w Iraku. Socjaliści, którzy wojnie w Ira-ku byli przeciwni, w przeddzień wyborów w mig pochwycili okazję i ruszyli na ulice. Przerażeni masakrą Hiszpanie zagłosowali na nich. Zemsta terrorystów się powiodła.

Zwycięski nowy premier José Luis Zapa-tero obiecał wycofanie się Hiszpanii z wojny.

Ale świadom kruchości poparcia posta-nowił zjednać sobie Katalończyków i obie-cał im poszerzenie autonomii regionu. Za-chwyceni nacjonaści prezent przyjęli i za-żądali statusu państwa stowarzyszonego z Hiszpanią.

Wystraszony premier okroił ich aspira-cje w parlamencie w Madrycie, ale raz wy-puszczony z butelki dżin nacjonalizmu już nie dał się okiełznać.

Kilka lat potem nacjonaści zażądali już nie szerszej autonomii, ale niepodległo-sci, i zaczęli do niej dążyć wbrew konsty-tucji oraz ostrzeżeniom trybunału konsty-tucyjnego, póki nie zorganizowali nielegal-nego plebiscytu w 2017 roku. Zostali za to osądzeni i skazani prawomocnie przez sąd najwyższy. Ich przywódca i premier uciekł przed wymiarem sprawiedliwości za grani-cę, gdzie mieszka do dziś.

Kolejny premier socjalistów Pedro Sán-chez postanowił się z nimi przeprosić, bo

Populista ubiera się w szaty, które akurat dobrze mu leżą.

Jednemu ciemny garnitur i krawat, innemu rozchełstana koszula i dżinsy

nej”, która ma badać „zbrodnie przeciw obrońcom demokracji” w latach 1978-83. Prawo otwiera furtkę do uznania terrory-stów ETA za bojowników o demokrację, a policję, która ich ścigała, za frankistow-skich zbrodniarzy.

Fakt, że baskijska partia Bildu uważa, że terror jej ojców założycieli z ETA jest pra-womocnym narzędziem „walki o wolność” Kraju Basków przeciw Hiszpanii, i składa wychodzącym po wyrokach z więzień ter-rorystom hołdy, nikogo w Hiszpanii nie dziwi. Ale że socjalistyczny premier zgadza się osądzać najnowszą historię Hiszpanii pod dyktando apologetów terroru, wzbu-rzyło wielu dotąd niezdziwionych innymi posunięciami premiera.

bez nich nie mógł w Hiszpanii rządzić. Ula-skawił ich i zniósł zbrodnię, za którą zosta-li skazani.

Za rządów José Luisa Zapatero w latach 2004-11 socjaliści zakwestionowali także demokratyczną transformację po dykta-turze Franco, w tym amnestię z 1977 roku kładącą kres rozliczeniom z czasów wojny domowej i dyktatury.

Rządy socjalistów dobiło fatalne zigno-rowanie kryzysu gospodarczego w latach 2007-08, co wpędziło Hiszpanię na cztery lata w zapaść i 25-procentowe bezrobocie.

Rządy objęła znowu prawica, ale jajo węża socjalistycznego populizmu zostało złożone. Z hibernacji wydobył je osiem lat potem Pedro Sánchez.

ZAPATERO PUDRUJE ZBRODNIE

Kiedy pół roku temu rozmawiałem z Al-fonso Guerra, weteran hiszpańskiego so-cjalizmu widział symptomy upadku jesz-cze głębiej. Uważa, że socjaldemokra-cja utraciła „misję i oparcie pod stopami” wskutek rewolucji globalistycznej i liberal-nej w gospodarce, która przeniosła środek ciężkości kapitalizmu z produkcji do sekto-ra finansowego. Rozmyśla klasę robotniczą i skruszyła potęgę związków zawodowych, czyli wytrąciła spod nóg socjaldemokracji grunt, na którym była budowana od dru-giej połowy XIX wieku.

W czasach turbokapitalizmu socjaliści – nie tylko zresztą w Hiszpanii – nie umie-li uchwycić wątku rosnących nierówno-sci społecznych oraz podziału dóbr i do-chodów. Nie potrafił zdefiniować przytła-czającej przewagi kapitału nad pracą jako źródła kryzysu. Okiełznać rynku kapitało-wego, tak aby kapitalizm służył społeczeń-stwu, a nie ono jemu jako paliwo.

Tej nowej rzeczywistości socjaldemo-kracja nie potrafiła sprostać, została bez lu-du, któremu miała służyć, i bez zadania, które miała do wykonania.

Zajęła się więc równouprawnieniem kobiet, prawami mniejszości, reformami społecznymi i obyczajowymi, które, choć chwalebne i popierane przez Hiszpanów, nie mogą zastąpić polityki gospodarczej i społecznej w czasach kryzysu i przemian globalnej gospodarki ani obrony konstytu-cyjnej demokracji zagrożonej przez nacjo-nalizm i separatyzm.

Oznaką utraty ideowej busoli przez so-cjalistów stało się także to, że były premier Zapatero po przegranych wyborach i odej-sciu z czynnej polityki pospieszył na ratu-nek reżimowi Wenezueli, który za rządów Hugo Cháveza i Nicolása Maduro dopro-wadził kraj do ruiny, zdławił demokrację, rządy prawa, zniszczył wolne media, a kil-ka milionów obywateli zmusił do emigra-cji. Zapatero chciał być mediatorem mię-dzy reżimem i opozycją, ale władze z Hisz-pana uczyniły „pożytecznego idiotę”.

Reżim Wenezueli jest dziś oskarżony przez komisarza ONZ ds. praw człowieka o zbrodnie przeciw ludzkości, a wiecznie uśmiechnięty były premier Hiszpanii dalej zabiega o jego rehabilitację.

– Jestem i zawsze będę przeciw pudro-waniu tego, czego upudrować się nie da – oświadczył jego wybitny poprzednik Feli-pe González. – Maduro jest winien zbrod-ni przeciw ludzkości. Kradnie, torturuje, prześladowa przeciwników. Kto może jesz-cze wierzyć, że zbudowawszy aparat repre-sji, będzie skłonny zgodzić się na uczciwe wybory? – szydził na niedawnej konferen-cji w Madrycie.

González nie wymienił z nazwiska Za-patero, ale o niego chodziło.

Ten sam Zapatero jest wiernym stronni-kiem Pedro Sáncheza, którego wspiera na każdym kroku.

– To nie jest moje PSOE – mówił mi pół roku temu przy kawie w Sewilli Al-fonso Guerra. – Ta partia nie ma projektu dla kraju, ma tylko doraźną opowieść, jak Trump czy Bolsonaro. Chodzi tylko o to, żeby zdominować narrację, zdobyć i utrzy-mać władzę. PSOE potrzebuje wstrząsu, że-by się opamiętać.

Wstrząs nastąpił pod koniec maja. Kłę-ska w wyborach lokalnych była głębsza, niż ktokolwiek przewidywał. Rezultat przy-spieszonych na lipiec wyborów parlamen-tarnych pozostaje niewiadomą.

Ale ważniejsze dla losów hiszpańskiej lewicy i hiszpańskiej demokracji jest pyta-nie, czy lewica zrezygnuje z niezdnośnej lek-kości bytu kołysanego zuchwałą demago-gią. Czy socjaldemokracja może się odro-dzić? ●

FOT. DARIUSZ LACHOWSKI/AP

SEKSUALNA STREFA ZERO

Czy Lindemann to seksoholik, który na każdym występie potrzebuje bardzo młodych kobiet? – dziennikarze „Die Welt” o aferze z oskarżonym o molestowanie liderem zespołu Rammstein.



Maike Backhaus, Anna Kröning, Tim Röhn, Benjamin Stibi

M ało który niemiecki zespół muzyczny odniósł taki sukces jak Rammstein. Teraz kolejne kobiety wysuwają przeciwko członkom kapeli poważne zarzuty – mowa o nadużywaniu władzy, napaściach seksualnych i doprawianiu napojów. Mieszkanka Irlandii Północnej dała tym zarzutom konkretną postać i twarz.

W czwartek, 25 maja, Shelby Lynn wrzuciła w nocy na Twittera zdanie, które niczym grom przetoczyło się przez świat. „To ja jestem tą dziewczyną, którą odurzono na Rammsteinie” – napisała ze smartfona. Świat dowiedział się o zarzutach, według których członkowie znanego na całym świecie, jednego z najbardziej rozchwytywanych niemieckich zespołów po otwierającym europejską trasę koncertową występie w Wilnie podali młodej kobiecie z Irlandii Północnej niedozwolone środki. Wbrew jej woli. I najprawdopodobniej po to, by uczynić ją uległą seksualnie.

Pięć dni później przesłuchiwali ją zdalnie litewski policjant oraz jego tłumacz. Trwało to blisko pięć godzin.

Na swoim koncie na Instagramie Irlandka stopniowo przedstawiała coraz więcej szczegółów. Opublikowała zdjęcia siniaków na biodrze, przedramionach i nadgarstkach, napisała, że w jej przekonaniu została odurzona, a wokalista Till Lindemann zaproponował jej seks. Relację podchwyciły media z całego świata. W internecie odezwały się głosy poparcia dla Lynn, pojawiły się niezliczone wpisy innych kobiet, które wspominały podobne przeżycia: były narkotyki, były i napaści seksualne.

Rozległy się też głosy sprzeciwu – lekceważenie, zaprzeczanie, oskarżenia, że kłamie i po prostu zależy jej na rozgłosie. Już od pierwszego dnia zaczęła otrzymywać przez Instagram wiadomości, w których grozono jej śmiercią.

„Tu nie chodzi o mnie – zaznacza Shelby Lynn podczas rozmowy w domu matki. – Po prostu nie chcę, by kolejna dziewczyna padła jego ofiarą”. Jak mówi, to jedyny powód, dla którego zdecydowała się ujawnić sprawę.

ZAMIŁOWANIE DO PROWOKACJI

Odkąd sprawa amerykańskiego producenta filmowego Harveya Weinsteina wyszła na jaw, określenie #MeToo weszło do języka jako swego rodzaju skrótowe odniesienie do nadużyć władzy na podłożu seksualnym. Od tamtego czasu światło reflektorów skierowane zostało na celebrytów, a formułowane oskarżenia dotyczyły postaci zarówno ze Stanów Zjednoczonych, jak i z Europy, w tym również z Niemiec.

W niektórych przypadkach początkowa fala oburzenia zdążyła opaść. Z kolei w najgłośniejszej sprawie dotyczącej branży muzycznej gwiazdor popu R. Kelly za liczne przestępstwa natury seksualnej dostał wyrok skazujący go na kilkudziesięcioletnią odsiadkę w więzieniu. Teraz zaś na wierzch wychodzą szczegóły procederu, który najwyraźniej trwał za kulisami koncertów grupy Rammstein już od dłuższego czasu.

Zespół sprzedał 20 mln płyt, na całym świecie jego koncerty gromadzą na stadionach tłumy. Muzycy słyną z zamięłowania do efektów pirotechnicznych i prowokacji. Ich piosenki noszą tytuły takie jak: „Pussy”, „Bück dich” czy „Du riechst so gut” – „Cipka”, „Pochyl się”, „Pachniesz tak dobrze”. Taką właśnie Rammstein wypracował sobie reputację. Tyle że od października ubiegłego roku do gazety „Die Welt am Sonntag” zaczęli zgłaszać się informatorzy mający dane kontaktowe potencjalnych świadków, zrzu-

ty ekranu z czatów internetowych, a także osobiste wiadomości przesyłane przez Lindemanna.

Teraz za sprawą Shelby Lynn zarzuty wobec zespołu i jego lidera kojarzą się z konkretną postacią o konkretnym nazwisku. W listopadzie ubiegłego roku Sarah J. z Niemiec zgłosiła się do redakcji „Die Welt am Sonntag”. Kilka miesięcy wcześniej brała udział w koncercie grupy Rammstein w Nijmegen w Holandii i uczestniczyła w organizowanych przez zespół imprezach z Lindemannem zarówno przed występem, jak i po nim. Stwierdziła, że wraz z innymi kobietami była zawczasu filmowana i fotografowana, a przed imprezami musiały oddawać telefony. Potem udostępniła zrzuty ekranu z grupowego czata, w którym inne uczestniczki opisywały własne przejścia z Lindemannem.

ZAKULISOWE IMPREZY

Jedna z nich to Katharina F. z Wielkiej Brytanii. W czerwcu 2022 r. była w pierwszym rzędzie na koncercie zespołu w Cardiff i twierdzi, że widziała młode, wyraźnie nieśmiałe kobiety, które przed koncertem udały się na zakulisową imprezę kapeli, zaś mniej więcej godzinę później wróciły w odmienionym stanie: „Dziewczyny, które dopiero co się poznały, obmacywały się na całego i przewracały się na ziemię pod sceną”. Według niej sprawiały wrażenie odurzonych.

Linda K., kolejna Europejka, w długiej rozmowie telefonicznej opowiedziała dziennikarzom, że została odurzona na imprezie Rammsteina. Ma poważne luki w pamięci, lecz pamięta, że uprawiała seks z Lindemannem w hotelu, a następnie została pozostawiona z obfitym krwawieniem z pochwy. Wciąż jest w stanie szoku, dlatego szczegółów dotyczących miejsca jej zamieszkania, a także miejsca i czasu konkretnego koncertu postanowiono nie ujawniać. Na poparcie swoich informacji złożyła w redakcji oświadczenie pod przysięgą.

Istnieją również liczne wyimki z korespondencji na WhatsAppie, w której kobiety dzielą się przeżyciami zarówno zza kulis koncertów Rammsteina, jak i z imprez im towarzyszących. Współgrają one z tym, czego doświadczyły Katharina F., Linda K. i Sarah J. Pasują także do dziesiątek szczegółowych relacji otrzymanych przez zespół redakcyjny od innych kobiet, które ujawniają, że same padły ofiarą napaści bądź też widziały takie sytuacje.

Jednak dopiero teraz po raz pierwszy mamy dowód na to, że policja zajęła się konkretnym przypadkiem – przypadkiem Shelby Lynn.

Nasz zespół redakcyjny przyjrzał się przypadkowi Lynn i jej zeznaniom, w tym również obecnym w nich niezgodnościom. Ocecił korespondencję z komunikatorów, nagrania wideo i nagrania głosowe, a także odbył rozmowy z jej przyjaciółmi i znajomymi, jej rodziną, osobami powiązanymi z zespołem, przedstawicielami branży muzycznej, jak również z policją z Wilna. Dziennikarze rozmawiali z personelem hotelu, w którym się zatrzymała, a także z fankami, które towarzyszą zespołowi w trasie koncertowej, a tym samym stały się świadkami. Niektóre z nich ze szczegółami opisały swoje wrażenia i przedłożyły gazecie oświadczenia pod przysięgą.

Wszystkie relacje domniemyanych ofiar i świadki, podobieństwa w szczegółach i kolejność wypadków sugerują istnienie systemu, w ramach którego gwiazdy światowego formatu i osoby z ich otoczenia notorycznie przekraczają dopuszczalne granice. Niektóre z domniemyanych zachowań lokują się w szarej strefie pomiędzy tym, co wątpliwe etycznie, a tym, co nielegalne, inne zaś jednoznacznie stanowią przestępstwa o charakterze kryminalnym.

KIEROWNICZKA CASTINGU

Shelby Lynn wciąż przebywa w domu swojej matki. Ma na sobie czarną koszulę. Mówi, że fanką Rammsteina była od czasu,

gdy miała 15 lat. Zachwyciła się ich rytmem i melodiami, brzmieniem języka. Nie rozumiała słów ich piosenek, bo nie mówi po niemiecku ani też nie zna go biernie. Była zdania, że Rammstein to zespół tolerancyjny, antyprawicowy i lubiący prowokować. Dopiero w ostatnich dniach – po tym, co się wydarzyło w Wilnie – przetłumaczyła sobie teksty ich utworów.

Jak przyznaje, ten koncert był dla niej czymś ważnym, stanowił pierwszą w życiu okazję, by zobaczyć zespół na żywo. Często chodzi na koncerty z przyjaciółmi albo z siostrą, lecz wypad na Litwę był dla niej pierwszym tak dalekim wyjazdem. Do tego w pojedynkę. Zawczasu czytała fora w internecie, gdzie pojawiały się wzmianki o imprezach dla wybrańców przed koncertami bądź po ich zakończeniu i o szczególnym dostępie do członków zespołu. Wspominano tam, że w tym celu należy kontaktować się z Aleną Makiejewą.

Lynn odszukała Makiejewą na Instagramie i do niej napisała. I rzeczywiście – Makiejewa podesłała jej link do prywatnej grupy na WhatsAppie.

Alena Makiejewa to szczupła brunetka po trzydziestce. Sama siebie określa mianem „casting director” – „kierowniczka castingu”. Swego czasu udzieliła wywiadu, w którym wyznała, że pochodzi z małej wioski w Rosji i że marzyła o tym, by pewnego dnia znaleźć się w otoczeniu wielkich gwiazd. Na postach publikowanych w mediach społecznościowych pozuje w hotelowych barach i na plażach południowego Pacyfiku. Na wielu fotografiach widać ją w towarzystwie takich gwiazd jak Nick Cave, Marilyn Manson i Iggy Pop. Twierdzi, że z niektórymi z nich swego czasu romansowała, a Tilla Lindemanna poznała na koncertach.

Informatorzy z branży muzycznej donoszą, że do bliskiego otoczenia zespołu dołączyła mniej więcej cztery lata temu. Makiejewa to kluczowa postać w tej sprawie. Jej nazwisko pojawia się we wszystkich internetowych relacjach i wątkach na forach, gdzie tylko poruszono temat „row zero”.

„Row zero” – „rząd zerowy” – to pierwszy rząd widowni, bezpośrednio pod sceną. Wszystkie osoby zaproszone tam przez zespół są przed koncertem filmowane bądź fotografowane przez personel pomocniczy.

Ludzie powiązani z kapelą mówią, że Lindemann przegląda nagrania i fotografie, po czym decyduje, które kobiety wpuścić na imprezę. Wtedy są one zabierane do pomieszczenia, gdzie muszą oddać telefon komórkowe i gdzie częstowane są wódką, prosecco i przekąskami. Według tych relacji Lindemann często jest tam jedynym członkiem zespołu. Niekiedy jest uprzejmy i życzliwy, kiedy indziej wywraca łódówki. Po koncertach wszystko się powtarza.

Ci sami ludzie twierdzą, że celem takich spotkań jest zapewnienie Lindemannowi rozrywki. Może to oznaczać, że od razu odbędzie stosunek z którąś z kobiet. Może też wyselekcjonować kilka z nich, które zechce poznać bliżej w hotelu.

Alena Makiejewa wysłała Shelby Lynn wiadomość tekstową, w której proponowała jej miejsce w „row zero” przy okazji koncertu w Wilnie. Wiele wstrząsających relacji zgłaszanych przez kobiety zaczyna się właśnie tak albo podobnie. Ktoś, kto przez wiele lat pracował w branży muzycznej i dobrze

zna zespół, mówi, że Makiejewa ma obsesję na punkcie Lindemanna i łaknie jego uwagi. I że zapewnia ją sobie, dostarczając mu kolejne młode dziewczyny. Inne wtajemniczone osoby opowiadają o podobnych sytuacjach.

„Jest sympatyczna, przypomina jedną z nas” – ocenia kobieta, która często stoi w pierwszym rzędzie i zgodziła się porozmawiać z gazetą. Mówi nam, że Makiejewa ustala przed koncertem dress code i podaje za pośrednictwem WhatsAppa jednoznaczne instrukcje: „Porządny makijaż, estetyczne fryzury, eleganckie sukienki koktajlowe w lekkich, jasnych barwach, letnie kwiaty. Tylko nie cała w czerni. Jak już musi być coś czarnego, to zmieszanego z innymi barwami”. Potwierdza to zrzut ekranu.

Ludzie z branży twierdzą, że Lindemann to seksoholik, który na każdym występie potrzebuje bardzo młodych kobiet, „których nigdy dotąd nie miał”. Według relacji świadków związanych z zespołem sytuacja doszła wręcz do punktu, w którym nawet podczas koncertów zdarza mu się ulotnić ze sceny na szybki stosunek. Dziewczyny zapewnia mu Makiejewa.

Sama Makiejewa uważa, że umożliwiała kobietom zbliżenie się do idola. Pomaga im zrealizować marzenie.

Lecz co to oznacza dla kobiet, które zdecyduje się wybrać?

Obecnie w internetowym obiegu krążą nagrania ukazujące Shelby Lynn podczas koncertu w Wilnie. „Ledwie się na tych filmikach rozpoznaję. Nie chodzi tylko o moje zachowanie, ale o wyraz twarzy, o całokształt” – mówi. Nienaturalnie szeroki uśmiech, to, jak tuli się do wszystkich dookoła – nigdy u siebie czegoś takiego nie zauważała. Potwierdzają to jej siostra i matka.

Ich zdaniem jedyne możliwe wytłumaczenie jest takie, że na imprezie poprzedzającej koncert została czymś odurzona.

Lynn wciąż nie może z całą pewnością zaświadczyć, co się wydarzyło na koncercie ani co się stało jej samej. Jednak nawet przez moment podczas wielu długich rozmów, jakie miały miejsce przez tydzień po opublikowaniu tweeta, nie była tak nakręcona, jak to widać na nagraniu – wręcz przeciwnie, sprawiała wrażenie osoby opanowanej i trzeźwo myślącej. Również w rozmowie z policjantem z Litwy udzielała spójnych, precyzyjnych odpowiedzi.

PRZESŁUCHANIE

Lynn powiedziała policjantom, że najpierw spotkała się z pozostałymi dziewczynami z grupy na WhatsAppie, do której zaprosiła ją Makiejewa. Samej Makiejewej w tym czasie nie było w Wilnie. Ktoś z ekipy towarzyszącej zespołowi polecił dziewczynom wybranim do „rzędu zerowego”, by stanęły blisko siebie jedna obok drugiej. Następnie przeszedł się wzdłuż szeregu, filmując kolejno każdą z nich, raz za razem robiąc zbliżenie na ich twarze, w tym również na twarz Lynn. To wydawało się jej dziwne, lecz pomyślała, że może zespół pragnie wykorzystać zdjęcia swoich fanek do celów reklamowych. W końcu członek ekipy spytał, która z nich nigdy dotąd nie była na koncercie Rammsteina. Lynn podniosła wtedy rękę.

To, czy celem sporządzenia nagrania było umożliwienie Tillowi Lindemannowi wybrania sobie jednej lub paru z kobiet na

Członek ekipy polecił kobietom, by się nakreśliły, stworzyły atmosferę zabawy i piły mnóstwo alkoholu, dodając, że po to się tu znalazły

własne potrzeby, może być jedynie przedmiotem spekulacji.

Lynn opowiada, że poprowadzono ją do pomieszczenia, w którym wraz z innymi kobietami musiała oddać telefon komórkowy. Wszędzie było wino musujące, szampan oraz wódka, do tego trochę jedzenia i napoje energetyczne. Członek ekipy polecił kobiecie, by się nakręciły, stworzyły atmosferę zabawy i piły mnóstwo alkoholu, dodając, że po to się tu znalazły. Lynn pierwszego drinka nalala sobie sama.

Jak mówi, w pewnym momencie człowiek z ekipy wezwał ją gestem i zaproponował okazję do spotkania z Lindemannem podczas koncertu.

Lynn tłumaczy, że poczuła się nieswojo i nie rozumiała, co „spotkanie podczas koncertu” miałoby oznaczać. Mężczyzna uspokoił ją jednak, zaręczając, że Lindemann jest dżentelmenem: nie chodziło o seks i nie miała się czego obawiać. Wtem znienacka pojawił się i on: Till Lindemann, światowa gwiazda, głośny i w euforii. Polał wszystkim tequilę, cisnął własnym kieliszkiem o ścianę i kazał im szybko wypić. Lynn wypila. Następnie Lindemann wyszedł.

Zaraz potem zaczęła czuć się bardzo dziwnie: było jej niedobrze, miała zawroty głowy. Musiała usiąść na kanapie. Potrafi przypomnieć sobie jedynie urywki tego, co się działo później.

Oto co podczas przesłuchania zeznała policjantowi widocznemu na ekranie telefonu. Osoby, które były świadkami sytuacji w Wilnie, potwierdziły jej zeznanie naszemu zespołowi redakcyjnemu.

Kiedy koncert się rozpoczął, Shelby Lynn zgodnie z planem stała w pierwszym rzędzie. Poprosiła dziewczynę obok siebie, by miała na nią oko. Miejsce euforii na myśl o spotkaniu z jednym z jej idoli zajął strach – strach, że dała się wciągnąć w coś, na co nie miała ochoty. Nigdy w życiu się tak nie czuła, z całą pewnością nie chodziło tu o działanie alkoholu. Następnie członek ekipy przywołał ją i poprowadził do małego pomieszczenia znajdującego się pod sceną.

Starala się skupić, powtarzając sobie raz za razem, że on będzie usiłował uprawiać z nią seks i że ona nie może do tego dopuścić. Kiedy do pokoju wszedł Lindemann, kulila się na podłodze, w obronnym geście obejmując nogi ramionami. Wpadł w gniew i zaczął krzyczeć, że członek ekipy zapowiedział mu, że będzie miała ochotę na seks. Następnie wściekły wypadł z pomieszczenia.

Poczekala około minuty, po czym wstała i wyszła. Nie potrafi sobie dokładnie przypomnieć, w jaki sposób wróciła na koncert, a następnie na pokoncertową imprezę. Była praktycznie nieprzytomna. Aż w pewnym momencie inna fanka spytała ją, czy nie potrzebuje pomocy, i powiedziała, że dokładnie to samo przydarzyło się jej przy okazji jednego z wcześniejszych koncertów Rammsteina.

Kiedy wróciła do pokoju hotelowego, przyjrzała się sobie. Z ulgą spostrzegła, że pod spódniczką nadal ma kolarskie spodenki, wyciągnęła więc wniosek, że nie padła ofiarą gwałtu. Zarazem jednak zauważyła na ciele ogromne siniaki, których przed imprezą nie miała. Pojawiły się wymioty, gwałtowna biegunka, cały czas dygotała, zlewała się potem i w całym ciele czuła ból. Zadzwoniła więc do przyjaciółki i do siostry.

Matka poradziła jej, by zgłosiła to policji. Do hotelu przyjechała karetka.

Gdy przesłuchanie dobiegło końca, policjant i tłumacz odczytali stenogram. Lynn doprecyzowała kilka szczegółów. Kiedy skończyła, jej telefon zalała fala nowych powiadomień przychodzących w jednosekundowych odstępach po sobie.

BATALIA O PRAWDĘ

Shelby Lynn mówi, że od czasu publikacji na Twitterze otrzymała ponad 1,5 tys. wiadomości, w większości przesłanych Instagramem. I że wciąż nadpływają kolejne. Bliżko połowa z nich to wyrazy wsparcia, jedna piąta ma wydźwięk nieprzyjazny, zaś w pozostałych mowa jest o innych podob-

nych incydentach. Skontaktowało się z nią ponad 30 kobiet twierdzących, że doświadczyły czegoś podobnego. Zawsze powtarzał się ten sam schemat: „row zero” i drinki, które w działaniu nie przypominały alkoholu. Część kobiet nadesłała jej zdjęcia ukazujące odniesione obrażenia.

Uzyskawszy zgodę rozmówczyni, Lynn zanonimizowała otrzymane od nich wiadomości i udostępniła je publicznie na Instagramie. Posty te stały się częścią batalii o prawdę.

O oskarżeniach formułowanych przez Lynn donosiły media z całego świata. Z kolei Alena Makiejewa w internecie rozpowszechniała odmienną wersję tego, co wydarzyło się w Wilnie. „Potrzebujemy pomocy” – napisała na jednym z blogów zespołu. Wezwała społeczność fanów, aby dzielili się na Instagramie wrażeniami z imprezy przed koncertami i po ich zakończeniu, by szerzyli prawdę o tym, że dziewczyny nigdy nie były odurzane. Zaczęła też niemalże co godzinę wrzucać relacje użytkowniczek, które donosiły, jak wspaniale bawiły się na backstage’u koncertów Rammsteina.

W ostatni weekend maja zespół śledczy nawiązał z Makiejewą kontakt na WhatsAppie, prosząc o rozmowę w zaufaniu. „Nie było mnie w Wilnie” – odpisała, dodając, że jeżeli pragną wiedzieć, co się dzieje za kulisami na koncertach Rammsteina, to wystarczy, by spojrzeli na jej konto na Instagramie.

Napisała, że Shelby Lynn kłamie i stara się zniszczyć jej reputację, a robi to wyłącznie po to, by zwrócić na siebie uwagę.

W ten sam weekend Rammstein wydał publiczne oświadczenie, w którym zaprzecza oskarżeniom Lynn. „Jeżeli chodzi o krążące w internecie zarzuty dotyczące koncertu w Wilnie, możemy wykluczyć możliwość, że w naszym otoczeniu miały miejsce domniemane wydarzenia”. W oświadczeniu pada także stwierdzenie, że zespołowi nic nie wiadomo o żadnych oficjalnych dochodzeniach toczących się w tej sprawie.

A tymczasem Lynn publikowała kolejne informacje.

W poniedziałek, 29 maja, berlińska kancelaria prawna napisała do niej w imieniu zespołu Rammstein, domagając się, by zaprzestała rozpowszechniania „nieprawdopodobnych” twierdzeń i zarzutów, grożąc, że wstąpi w tej sprawie o zakaz sądowy.

Lynn nie przestała publikować.

W dalszym ciągu utrzymuje, że Lindemann pogodził się z jej odmową na koncercie. Innymi słowy, że nie próbował jej namówić na seks, a tym bardziej do niego zmusić. Jednak jeżeli prawdą jest, że umyślnie podano jej narkotyki, bez względu na to, kto uczynił, to przynajmniej w Niemczech sytuacja byłaby jednoznaczna. Paragraf 224 kodeksu karnego stwierdza bowiem, że odurzenie kogoś przy użyciu substancji nieodzwolonych jest równoznaczne z niebezpieczną szkodą cielesną, za co grozi kara pozbawienia wolności do lat dziesięciu. Zaś każdy, kto odurza swoją ofiarę wbrew jej woli w celach seksualnych, winny jest napaści seksualnej bądź gwałtu.

W czwartek, 1 czerwca, nasz zespół redakcyjny przesłał grupie Rammstein oraz Makiejewej serię pytań dotyczących relacji przedstawianych przez Lynn i pozostałe kobiety. Jak się odnoszą do postawionych zarzutów? Czy kiedykolwiek dochodziło do używania narkotyków, przed koncertami bądź też po ich zakończeniu, w celu zapewnienia uległości ze strony kobiet? Czy Lindemann uprawiał seks z kobietami bez ich przyzwolenia? Do czasu opublikowania materiału ani zespół, ani Makiejewa nie udzieliły odpowiedzi.

PRZERWAĆ MILCZENIE

W domu w Irlandii Północnej Lynn wyjaśnia, że postanowiła upublicznić swoją historię, ponieważ nic innego nie mogła zrobić. – Rankiem nazajutrz po koncercie zgłosiłam się na policję w Wilnie, by złożyć skargę i oficjalne zawiadomienie – mówi. Funkcjonariusz policji pozwolił jej pokrótce przedstawić przebieg wydarzeń i zademonstrować siniaki na ciele. Według relacji poszko-

dowanej, kiedy rozpięła spodnie, chcąc pokazać wyjątkowo duży siniak, policjant uśmiechnął się szeroko i powiedział jej, by poddała się testowi na obecność narkotyków, a w razie pozytywnego wyniku wróciła na policję.

Lynn relacjonuje, że wraz ze spotkaną na koncercie kobietą wielokrotnie prosiła policjanta o zarejestrowanie ich zgłoszenia. Na próżno. Ani nie udokumentował jej obrażeń, ani też nie zadbał o to, by mogła poddać się badaniu krwi.

Wszelkie podobne kwestie są w tego typu sprawach bardzo ważne, mogą posłużyć później za materiał dowodowy – szczególnie zaś istotne jest, by dopilnować tego w przypadku, gdy doszło do użycia kropli usypiających, gdyż ich obecność w organizmie daje się wykryć jedynie przez kilka godzin. Im dłużej trwały procedury, tym bardziej malały szanse Shelby Lynn, by kiedykolwiek ustalić, czy to, jak się czuła, wynikało z podania jej substancji odurzających, a jeżeli tak, to jakiego rodzaju.

Lynn twierdzi, że apteczne badanie moczu nie wykazało obecności środków usypiających, co oznacza, że nie mogła zgłosić się z powrotem na policję. Dwa dni później wróciła samolotem do Irlandii Północnej i zgłosiła sprawę tamtejszym policjantom, usłyszała jednak, że będą mogli podjąć dochodzenie jedynie na prośbę policji z Wilna.

Przy okazji wideopojłączenia z przedstawicielami litewskiej policji Lynn wypytała ich o to. Zadała następujące pytania: „Dlaczego nie przyjęto na miejscu mojego zawiadomienia nazajutrz po koncercie?”,

Branża muzyczna twierdzi, że Makiejewa nagania dziewczyny, bo ma obsesję na punkcie Lindemanna i łaknie jego uwagi

„Dlaczego nie udokumentowano odniesionych przeze mnie obrażeń?”, „Dlaczego policja nie pobrała ode mnie próbki krwi w celu przeprowadzenia kompleksowych badań toksykologicznych i dlaczego musiał minąć tydzień, nim zareagowaliście i zwróciliście się do mnie z pytaniami?”.

Funkcjonariusz na łączu nie odpowiedział na pytania Lynn. Ostatecznie to tłumacz przeprosił ją za to, jak ją potraktowano.

Redakcja „Die Welt am Sonntag” wystosowała zapytanie w tej sprawie do funkcjonariusza z komendy głównej policji w Wilnie, który odpowiedział, że obecnie trwa gromadzenie informacji w celu wyjaśnienia, co się dokładnie stało, i że wówczas prokuratura zdecyduje o ewentualnym otwarciu dochodzenia. W razie potrzeby skontaktują się z oskarżonym, czyli z wokalistą Rammsteina Lindemannem. Decyzja miała zapaść w ciągu następnego tygodnia.

BO SIĘ NUDZIŁ

Na podstawie informacji przekazanych gazecie przez poszkodowane kobiety – niektóre z nich opowiadały o sprawie przez wiele godzin – zarzuty dotyczą przede wszystkim Tilla Lindemanna. Zarazem jednak mówi się o tym, że w sprawę kontaktów seksualnych z kobietami zamieszanych jest iluś mężczyzn związanych z zespołem.

Wiele osób z otoczenia Lindemanna opisuje go jako dżentelmena, który otwiera paniom drzwi i całuje je w rękę. Pewna znajoma zaręcza, że czyni on tak wyłącznie po to, by je zmanipulować, i że zachowuje się zgola odmiennie, kiedy za dużo wypije czy też znajdzie się pod wpływem narkotyków. Inna osoba, która go dobrze zna, zauważa, że zawsze lubił nagiąć granice, lecz od pewnego momentu zaczął je wprost jedna po drugiej

przekraczać: „Wszystkiego trzeba mu było więcej i więcej, bo się nudził”.

Nikt z całą pewnością nie powie, jaką rolę w tym wszystkim odgrywają narkotyki ani też czy ktoś rzeczywiście podawał kobietom środki usypiające bądź substancje psycho-deliczne takie jak MDMA.

Kto inny opisuje całą sytuację jako zwyrodniały system obmyślony w celu zapewnienia Lindemannowi okazji do szybkiego seksu – tak szybkiego, że wiele kobiet po prostu nie zdaje sobie sprawy w porę z tego, co się dzieje.

Współgra to z relacjami licznych kobiet, z którymi zapoznaliśmy nasi dziennikarze.

W ramach niniejszego śledztwa część osób dysponujących wiedzą z pierwszej ręki bądź też należących do wewnętrznego kręgu znajomych Lindemanna zauważyła, że jego zachowanie wykracza dalece poza ciągoty i imprezowy styl bycia typowe dla innych przedstawicieli branży.

„To się musi skończyć, to się robi niebezpieczne” – ocenia jedna z wtajemniczonych, dodając, że właśnie dlatego zdecydowała się rozmawiać z przedstawicielami prasy.

Zarazem część kobiet zdaje się to nie przeszkadzać. Jeżdżą z jednego koncertu na drugi, w kolejnych miastach ustawiają się w pierwszym rzędzie, a po wszystkim udają się wraz z wokalistą do hotelu.

W sobotę i niedzielę, 27 i 28 maja, Rammstein grał na wyprzedanym do ostatniego miejsca Stadionie Olimpijskim w Helsinkach. Po drugim koncercie muzycy udali się do miejscowego baru o nazwie The Riff, gdzie czekała na nich grupa fanów. O wpół

do trzeciej nad ranem personel lokalu odgrodził część sali zasłoną, przed którą ustawił się wykidajło. Niedługo potem zza zasłony wyłoniła się Alena Makiejewa i zgarnęła kobiety, które na koncercie zajmowały miejsca w pierwszym rzędzie.

Makiejewa do oddzielonej strefy zaprosiła również dziennikarkę. Lindemann już tam był. „Zaprosiliśmy panią, żeby mogła się pani przekonać na własne oczy” – oznajmił. Elegancko ubrany, ze szklanką w dłoni, podszedł do dziennikarki i teatralnym gestem zatoczył krąg dookoła sali. „Proszę się przyjrzeć i dobrze bawić. Jak widać, wszystkich tutaj odurzono i zgwałcono” – obwieścił. Uśmiechał się od ucha do ucha. Przez następnych kilka godzin kolejne kobiety opowiadały dziennikarce, jak cudowne są imprezy zespołu. Mieszkanka Tallina zdradziła, że ma 30 lat, więc nie jest znowu aż taka młoda. Wszystko to wydawało się tak doskonałe, że nie sposób nie zadać sobie pytania, czy aby na pewno były to wyłącznie rzeczywiste fanki.

Lindemann wydawał się pijany. Otaczał go ponad tuzin kobiet. Kiedy jedna z nich próbowała wyjść z pomieszczenia, cisnął w nią kostkami lodu. Tak dla zabawy.

Z końcem tygodnia koloński dom wydawniczy Kiepenheuer & Witsch oznajmił, że nie będzie dłużej współpracować z Lindemannem. To właśnie to wydawnictwo opublikowało jego ostrą sekspoezję. ●

tłum. Jerzy Wołk-Łaniewski

Tekst został pierwotnie opublikowany 4 czerwca przez „Die Welt am Sonntag”. Tytuł, lead, śródtytuły i skróty od redakcji „Wyborczej”

Rammstein. O co cały ten hałas

Seks oralny z aniołem

Modus operandi Rammsteina: szokować, prowokować, nie tłumaczyć się. Ani kroku w tył

Szubrycht

Skandal wokół Tilla Lindemanna, wokalisty Rammsteina, kładzie się cieniem na całym zespole. Chodzi nie o odpowiedzialność zbiorową, ale o to, że wizerunek i teksty grupy stanowią szczególny kontekst dla zarzutów wobec wokalisty. A może jednego z drugim nie powinniśmy łączyć?

„Nie jestem zły” – to tytuł jednego z wierszy Lindemanna, gwiazdy rocka, która po godzinach przeistacza się we wrażliwego, choć wyraźnie rozczarowanego sobą i światem poetę. „Mam w sobie wiele sprzeczności. Są dni, kiedy czuję się lajdakiem bez serca, a kiedy indziej patrzę na siebie jak na człowieka z sercem na dłoni. Oba te wizerunki nie są zresztą prawdziwe, ponieważ ludzie nie są czarno-biali, nie są tylko dobrzy lub tylko źli” – interpretował własne wersy (za „Rammstein. Die Band” Łukasza Dunaja).

Oskarżenia pod adresem frontmana niemieckiej grupy budzą emocje nie tylko wśród fanów zespołu. Większość z nich zdaje się zresztą wspierać swojego idola, albo otwarcie lekceważąc świadectwa kobiet, które uważają się za pokrzywdzone („przecież wiedziały, na co się piszą”), albo zdroworozsądkowo apelując o powstrzymanie się z jednoznaczną oceną zająć na niesławnych przed- i pokoncertowych imprezach do czasu rozstrzygnięcia śledztwa prokuratury w Berlinie. Mniej powściągliwi są nie tylko ci, którzy uważają, że trzeba wierzyć ofiarom, ale też ci, którzy cieszą się, że w twórczości Rammsteina oraz solowym dorobku Lindemanna znaleźć można zapowiedź jego występów oraz dowód na to, że może i jest dobrym artystą, ale złym człowiekiem.

Urodził się w 1963 roku w Lipsku, w inteligenckiej rodzinie – matka była dziennikarką, ojciec poetą. Mieli pokładane w głowach, lecz między nimi się nie układało, rozstali się, kiedy syn był nastolatkiem. Dzieciństwo i pierwsze lata dorosłego życia Till spędził w socjalistycznej Niemieckiej Republice Demokratycznej. Jednym z pomysłów tamtego państwa na kontrolę i wychowywanie obywateli był sport, więc i Lindemanna nie ominął – pływał stylem dowolnym na tyle dobrze, że ponoć otarł się o olimpiadę. Muzyka przyszła później: najpierw punkowy zespół First Arsch, a od 1994 roku Rammstein.

Założona w Berlinie grupa uważana jest za pionierów i najważniejszych przedstawicieli nurtu Neue Deutsche Härte, w którym metalowy ciężar spotyka się z surowością industrialu i bezduszością elektroniki. A złośliwi i tak powiedzą, że Rammstein to grubo ciosana, metalowa wariacja na temat słoweńskich ironistów z Laibach... Nazwa grupy odnosiła się do katastrofy w amerykańskiej bazie lotniczej w Ramstein-Miesenbach, która pochłonęła dziesiątki ofiar. Już sam dobór szyldu streszcza modus operandi grupy: szokować, prowokować, nie tłumaczyć się. Ani kroku w tył.

Przełomem dla zespołu była decyzja Trenta Reznora, lidera Nine Inch Nails, który zamieścił dwa utwory Niemców na ścieżce dźwiękowej „Zagubionej autostrady” Davida Lyncha.

Reżyser był wtedy u szczytu popularności, a brutalne ciosy Rammsteina doskonale pasowały do jego szalonych wizji, wgniatając nieprzygotowanych na takie dźwięki widzów w fotele kinowe. Zespół nie wstawił wtedy stopy w drzwi do globalnej kariery – on je wywalił kopniakiem. Od drugiej płyty – „Sehnsucht” (1997) – Rammstein nie strudzenie maszeruje ku sławie i pieniądзом. Atuty zespołu to pancerne brzmienie, głęboki wokal Lindemanna, zapierające dech w piersi koncerty oraz pomysły, wysokobudżetowe teledyski mające obrazić tych, których nie udało się zachwycić.

Kariera Rammsteina znaczone jest awanturami. Wszystkich nie wymienię, bo zespół walczy na zbyt wielu frontach, ale warto wspomnieć wykorzystanie filmu Leni Riefenstahl w teledysku „Stripped” – w Niemczech to nie mogło nie wywołać zgorszenia. Skupię się jednak na kontrowersjach z podtekstem seksualnym, bo w świetle ostatnich wydarzeń trudno ich nie wspominać. Weźmy „Mein Teil” – piosenkę z 2004 roku, która wspięła się na szczyty list przebojów, doczekała remiksu autorstwa Pet Shop Boys, a nawet nominacji do nagrody Grammy. „Dziś mam spotkanie z dżentelmenem/ Tak mnie lubi, że mógłby mnie schrupać/ Części miękkie i nawet te twarde/ Są dziś w menu” – rzecz jest inspirowana prawdziwą historią niemieckiego kanibala Armina Meiwesa, który zabił i zjadł mężczyznę poznanego w sieci (zanim odebrał mu życie, obaj delektowali się penisem ofiary). W teledysku Till uprawia seks oralny z aniołem, po czym zabija go i zjada; jest też scena, w której jeden z muzyków prowadzi ulicą pozostałych na smyczy, na czworakach, jak psy. Stacja MTV, od której jeszcze wtedy dużo zależało, puszczała klip w Niemczech dopiero po godzinie 23.

Nieźle wyszło, jednak apetyt rośnie w miarę – nomen omen – jedzenia. „Pussy”, singel z 2009 roku promujący uroczo zatytułowany album „Miłość jest dla wszystkich” („Liebe ist für alle da”), został opatrzony teledyskiem po prostu pornograficznym, dystrybuowanym w serwisie dla dorosłych, bo żadna szanująca się stacja nie puściłaby tego nawet w środku nocy. Muzyki podobno korzystali na planie z dublerów... Tylko jakie to ma znaczenie, czyje genitalia zajmują pół ekranu.

Przyzwoci ludzie takich rzeczy nie oglądają, ale przecież wystarczająco dużo jest nieprzyzwoitych – „Pussy” to pierwszy numer jeden Rammsteina w ich ojczyźnie. Tak jest, metalowy utwór o „wtykaniu kielbachy w kiszoną kapustę” był przez jakiś czas najpopularniejszą piosenką u naszych zachodnich sąsiadów. A profil w tym serwisie pornograficznym przyszedł później Lindemannowi do zamieszczania innych klipów dla dorosłych nagrywanych do piosenek jego solowego projektu. Choćby nieocenowana wersja „Platz Eins”, w którym wokalista wciela się w rolę zboka porwijącego kobiety, by uprawiać z nimi seks podczas hotelowych orgii. Hmm...

Również z płyty „Liebe ist für alle da” pochodzi utwór „Ich tu dir weh” (Sprawiam ci ból), który przez urzędników

instytucji o trudnej nazwie Bundesprüfstelle für jugendgefährdende Medien (federalna komisja ds. szkodliwego wpływu mediów na młodzież) został uznany za nawołujący do przemocy. Niespełna miesiąc po premierze album trafił w Niemczech na listę dóbr kultury, których nie wolno sprzedawać nieletnim. Zespół zaskarżył tę decyzję i pół roku później sąd administracyjny w Kolonii uznał, że Rammstein padł ofiarą cenzury. Piosenką, w której mowa o drucie kolczastym w cewce moczowej, znowu mogły się cieszyć nastolatki.

Wszystkie te pomysły znajdują odbicie w koncertach. Rammstein strzela w zachwyconą publiczność pianką z penisa wielkiego jak armata, a markowanie sadomasochistycznych orgietek to dla nich rzecz tak zwyczajna jak w przypadku innych artystów zachęcanie widowni do klaskania w refrenie. Oczywiście nie wszystkich to bawi. W 1998 roku w Worcester w stanie Massachusetts Lindemann i klawiszowiec Christian „Flake” Lorenz po zejściu ze sceny zamiast do hotelu trafili za kratki oskarżeni o „lubieżne i rozpustne zachowanie”. Chodziło o – udawany oczywiście – stosunek, do którego podczas jednej z piosenek wokalista „zmusił” kolegę z zespołu. Muzy-



Sprawa Tilla Lindemanna zaszkodzi wszystkim artystom, którzy rzucają wyzwanie tabu, balansują na granicy prawa i dobrego smaku, sprawdzają, jak wolność słowa działa w praktyce

cy przeprosili, oświadczyli, że nie mieli złych zamiarów, bo nie wiedzieli, że lokalne prawo i obyczaje są tak surowe, po czym trasa koncertowa „Family Values” (Wartości rodzinne) ruszyła dalej. I tylko Till skarżył się w wywiadach, że raz na jakiś czas musi się tłumaczyć amerykańskim stróżom prawa, za co został aresztowany.

„Jest bardzo bardzo dobrze/ Gdy ktoś rozumie twoje dzieło” – to (cały) wiersz zatytułowany „Sztuka” autorstwa Lindemanna zamieszczony w tomiku „Ciche noce”. Co więc znaczą te wszystkie słowa, gesty, obrazy, od których czasem trudno nie odwrócić wzroku? Zwolennicy grupy nie bez racji powiedzą, że każdy eksces Rammsteina można traktować jako brutalnie szczery, nawet jeśli metaforyczny, komentarz do współczesności. Tu mamy krytykę społeczeństwa konsumpcyjnego i krwiożerczego kapitalizmu, ówdzie mieszczańskiej hipokryzji albo opartych na przemocy stosunków społecznych. Za swoje dostaje amerykański imperializm w wymiarze i militarnym, i kulturowym, ale niemiecką duszę też diagnozują i bezlitośnie obnażają, żeby nie było – wystarczy przywołać utwór i teledysk „Deutschland”. Rammstein głośno (oj, bardzo głośno!) mówi o tym, o czym inni boją się nawet szeptać – cieszą się fani i przychylni krytycy.

Są jednak i tacy, którzy mają zespół przede wszystkim za wysokobudżetowy odpowiednik podpalania pierdów i rehotania ze świńskich dowcipów w gronie nakręcających się nawzajem

do coraz większych głupot nastolatków. Widzą na scenie nie wizjonerów celnie komentujących kondycję człowieka ciągnącego w XXI wiek bagaż osobistych i wspólnotowych traum, ale podstarzałych satyrów, którzy zasłaniając się prawem do nieskrępowanej artystycznej ekspresji, folgują swoim najdzikszy zachciankom. Dzisiaj mogą z satysfakcją parsknąć: „A nie mówiłem?”.

Tyle tylko, że tekstów i teledysków zespołu oraz solowych projektów Tilla nie można traktować jako dowodów w sprawie. Nie są okolicznością obciążającą, tak samo jak gwiazdom k-popu zamieszanym w niedawną aferę wokół klubu Burning Sun w Seulu (chodziło m.in. o rozprowadzanie w sieci sekstaśm bez świadomości i zgody nagranych kobiet) nie pomogło to, że byli mili w obyciu, na teledyskach uśmiechnięci, a w tekstach piosenek interesowały ich przede wszystkim związki platoniczne. Niestosownych relacji Michaela Jacksona z dziećmi (to prawdopodobnie eufemizm, lecz sprawa nie została jednoznacznie rozstrzygnięta) nie da się zrównoważyć tym, że ładnie śpiewał i tańczył, a Philowi Spectorowi nie skrócono wyroku za morderstwo tylko dlatego,

że wyprodukowane przez niego piosenki tak fajnie brzmią.

Rammstein nie powinien więc odpowiadać za to, co Lindemann robił po pracy, i niedawne oświadczenie perkusisty grupy Christoph Schneidera można odczytać jako przygotowanie gruntu pod umycie rąk: „W ostatnich latach Till się od nas oddalił i stworzył sobie własną bańkę”.

Ale nawet jeśli naprawdę nie wiedzieli, zespół wyjdzie z tego poturbowany. Niewinność została bezpowrotnie utracona, pewne tematy i obrazy zyskały nowy kontekst. Nie sposób wyobrazić sobie na przykład, by po tym skandalu ejakulujący gigapenis wciąż wjeżdżał na scenę jak gdyby nigdy nic. Zresztą „Pussy” zniknęło z programu koncertów, choć jeszcze na początku czerwca było jego nieodzowną częścią.

Nawet jeśli z czarnych chmur nad Rammsteinem tylko pokropi, sprawa zaszkodzi nie tylko niemieckiej grupie, ale też wszystkim artystom, którzy rzucają wyzwanie tabu, balansują na granicy prawa i dobrego smaku, sprawdzają, jak wolność słowa działa w praktyce. Znowu trudniej będzie przekonać zdrowe jądro społeczeństwa, że chorą sztukę mogą tworzyć (i konsumować) zdrowe osobniki, że to tylko nieszkodliwe egzorcyzmowanie wewnętrznych demonów, że nie trzeba się bać. Wokalista Rammsteina upominający się przez całą karierę o wolność dla sztuki właśnie oddał sztuce niedźwiedzią przysługę. ●

Jarek Szubrycht

Adam Michnik poleca: **80. urodziny Ryszarda Krynickiego**

ZAJADŁY NIEPRZYJACIEL ŚMIERCI

FOT. MICHAŁ ŁEPECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Przerażająca jest uparta aktualność tych wierszy.

Krzysztof Siwczyk

Pierwszy raz widziałem Ryszarda Krynickiego obchodzącego za kilka dni, 28 czerwca, 80. urodziny, kiedy był troszkę po „Abrahamie”, czyli po pięćdziesiątce. W małej mikołowskiej kawiarni Lady B. mieści się dziś tytoniowa trafika, ale kiedyś w zadymionej salce siedział Krynicki.

Nic nie mówił, czytał wiersze z „Magnetycznego punktu” w towarzystwie lubianych przez niego „dwóch Marcinów”: Sendeckiego i Barańca. Czytał niespiesznie, ubrany jak zawsze elegancko, w tweedową marynarkę. Już nie palił. Czasem zerkał za okno kawiarni w inne okna. Naprzeciwko bowiem mieściło się rodzinne mieszkanie jego przyjaciela z młodości Rafała Wojaczka.

Myślę, że wtedy, w połowie lat 90., przyjechał do Mikołowa wiedziony intensywnymi wspomnieniami, o które nawet nie śmiałem go zapytać. W ogóle bałem się do niego odezwać. Krynicki zawsze wydawał mi się człowiekiem z pergaminu, rzadkim ptakiem, którego łatwo spłoszyć. A przecież nic w jego biografii nie świadczy o lękliwości.

Ten najbardziej insiderski ze znanych mi ludzi literatury współtworzył w latach 70. i 80. wszystko to, co przeszło do historii pod nazwą Nowej Fali, choć Krynicki woli określenie „pokolenie 68”. Antysemicki marzec tego feralnego roku wyznaczył start całej wybitnej formacji pokoleniowej. Określił jej światoodczucie, wyznaczył trajektorię, po której wzbily się osobowości twórcze tej miary co Ewa Lipska, Stanisław Barańczak, Julian Kornhauser, Adam Zagajewski i turbogalaktyczny meteor Wojacek. Krynicki był od nich wszystkich starszy o te dwa, trzy lata.

Urodził się w 1943 r. w Sankt Valentin (Lager Windberg) na terenie obecnej Austrii. Przyszedł na świat gruzów, w którym trwała radykalna korekta człowieczeństwa. W swoim „Akcje urodzenia” pisze: „urodzonemu w transporcie/ przypadło mi miejsce śmierci”.

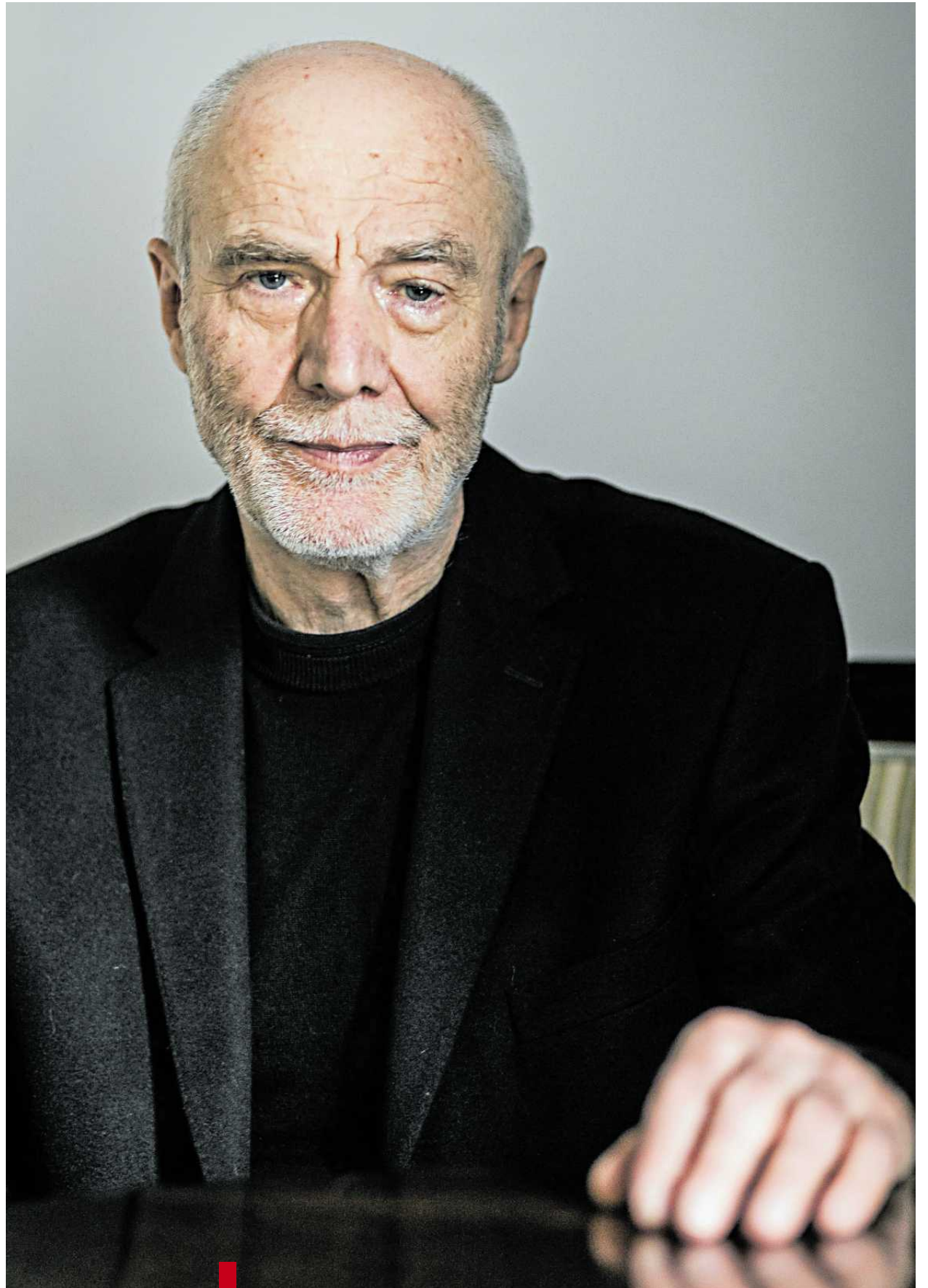
Odnoszę wrażenie, że wszystko, co w życiu zrobił i napisał, napędzane było odmową zajęcia właśnie tego miejsca. Myślę, że Krynicki jak Elias Canetti był i jest zajadłym „nieprzyjacielem śmierci”. W dużej mierze poświęcił życie innym jako tłumacz, wydawca i – co ważne – słuchacz.

Ten „najbardziej wymownie milczący” polski poeta jest nieustająco „w nasłuchu”. Jego intensywna obecność w polskiej kulturze polega na odmowie współludzianu w zgłębliwym bełkocie różnych współczesności, które przeżył.

Debiutował jeszcze w latach 60. kapitalnym arkuszem „Pęd pogoni, pęd ucieczki”, potwornie zmasakrowanym przez cenzurę. We wznowieniu z 2016 r. doskonale widać, jak wiele zawdzięczał awangardzie międzywojennej. Rzadkiej urody erotyki powodują, że wiersze te „mówią od siebie, ale nie o sobie”. Bezwstyd zwierzenia, którego tak unika Krynicki, w tych wierszach zyskuje jakieś nowe miano. Mimetyczną ambicję po-wściągą samowiedza artystyczna, dzięki której Krynicki zna granice swojego języka, nie dopuszczając jednak do poznania granic własnej wyobraźni.

W pełni wyobraźnia ta rozkwitnie w kolejnych książkach. Tę wczesną fazę wyznaczają tomy „Akt urodzenia” (1969) i „Organizm zbiorowy” (1975). Z dzisiejszej perspektywy powrotu historii w jej brunatniejącym, konformistycznym i państwowo zorganizowanym horrendum wybrzmiewają w sposób dojmujący.

Przerażająca jest uparta aktualność słynnych wierszy, takich jak „Faszyści zmieniają koszule”, „I naprawdę nie wiedzieliśmy” czy „Moja żona walczy o ochronę naturalnego środowiska człowieka”. Teksty pisane



*Bałem się do niego odezwać.
Zawsze wydawał mi się człowiekiem
z pergaminu, rzadkim ptakiem,
którego łatwo spłoszyć*

*Wiersze Krynickiego
są jak pchnięcie w serce.
Tak nikt nie pisał, chyba bardzo,
bardzo dawno temu*

w rzeczywistości państwa totalitarnego ze zdwojoną siłą dają świadectwo bezeczeństwa, w którym jednostka skazana jest na zagładę albo konformistyczny gest zachowania życia za cenę całkowitej utraty moralnej busoli.

W 1978 r. Jan Błoński po publikacji chyba szczytowego osiągnięcia Krynickiego, tomu „Nasze życie rośnie”, powiedział: „Nowe wiersze Krynickiego są jak pchnięcie w serce – zwłaszcza dla krytyka: tak nikt nie pisał, chyba bardzo, bardzo dawno temu”. Widziałem prof. Błońskiego z bliska parę razy i zdaję sobie sprawę, że takich sądów nie wygłaszał zbyt często.

Ta wspaniała książka jest początkiem milczenia poety. Wiersze stają się coraz krótsze, maksimum zwięzłości osiągając w kolejnych tomach, już z lat 80., zwłaszcza

w „Niewiele więcej” (1981) i „Wiersze, głosy” (1985). Później natomiast Krynicki zaczyna pracować na materiale przeszłości. Poprawia starsze wiersze, tworzy ich nowe warianty, czasem walczy dosłownie o jedno, dwa słowa. Głosny wiersz rozpoczynający się incipitem: „nagi, obudziłem się nagle w kolejce po chleb”, istnieje w paru wariantach.

Krynicki zaprzestał po tomie „Kamień, szron” (2004) i zadziwiającym „Haiku. Haiku mistrzów” (2014) publikacji nowych wierszy. I tu należy wsłuchać się w inny rodzaj rozmowy, którą prowadzi za pomocą przekładów.

Ogromna bibliografia jego dokonań obejmuje przede wszystkim poezję niemiecką. Wiele z przełożonych przez niego książek określa kanon tej poezji. Wymienię tylko cztery nazwiska: Paul Celan, Bertolt Brecht, Nelly Sachs i Hans Magnus Enzensberger.

Z tym ostatnim wiąże się dla mnie szczególne przeżycie. Parę lat temu Krynicki przekazał mi telefon do swojego dziś już nieżyjącego przyjaciela. Moim zadaniem było namówić Enzensbergera do przyjazdu do Krakowa. Nie udało mi się, ale tamta rozmowa pozostaje jednym z moich najgłębszych przeżyć, bynajmniej nie literackich. Rozmawiając z Enzensbergerem, zrozumiałem chyba, czym może być przyjaźń między poetami.

Taką cichą, nieprzegadaną przyjaźnią Krynicki dzieli się jako wydawca niezliczonej już liczby autorek i autorów. Współ z Krystyną Krynicką prowadzi wydawnictwo a5, które publikując noblistów, jest gościnne również dla tych, którzy najpewniej określą przyszłość poezji. Krynicki jako redaktor jest wymagający, ale też niezmiernie partnerski. Różnorodność wydawanych przez niego książek jest także rodzajem rozmowy, jaką ze światem prowadzi poprzez literaturę innych, czasem bardzo odległych estetycznie od niego autorów.

Jest również zjawiskowym słuchaczem. To zaiste niespotykane, aby klasyk polskiej literatury aktywnie brał udział w spotkaniach, na których usłyszeć można autorów częstokroć debiutujących. Być może ten aspekt jego osobowości wzrusza mnie najbardziej. Nigdy nie widziałem, aby Pan Ryszard komuś odmówił, dokąś nie przyszedł czy zignorował jakąś prośbę o pomoc. Lubi natomiast zaskoczyć swoją obecnością.

W „Poezji żywej”, jednym ze swoich najpiękniejszych wierszy, dedykowanym Henrykowi Wańkowi, napisał coś w rodzaju credo, któremu jest wierny po dziś dzień:

„Poezja – jest/ jak transfuzyjna krew dla pracy serca:/ choćby dawcy już dawno pomarł/ w nagłych wypadkach, to ich krew/ żyje – i cudze krwiobiegi spokrewnia,/ i cudze ożywia wargi”.

Śmiem myśleć o sobie jako o biorcy tej krwi. Wtedy, prawie 30 lat temu, w małej kawiarence Lady B. nawet nie mogłem marzyć o tym, że kiedyś będę gościem w domu Krynickich i że w ich wydawnictwie opublikuję cztery książki. Wszystko między nami działo się niespiesznie. Mięły lata i chyba zbliżaliśmy się do siebie.

Wśród bardzo wielu rzeczy, które im zawdzięczam, jest jedna, która dziś wydaje mi się nie do przecenienia: szacunek dla słów. Ich dewaluacji Krynicki zawsze się przeciwstawiał. Pewne słowa po prostu znaczą dla niego tyle co życie. Myślę, że całe jego pokolenie bardzo się niektórym słowom przysłużyło.

Inny milczący poetycko od lat poeta – pokoleniowo młodszy, ale wiele zawdzięczający Krynickiemu – Bronisław Maj opublikował kiedyś świetną książkę „Wspólne powietrze”. Metafora „powietrza” tak bardzo popularna w „pokoleniu 68” jest dziś na wagę złota. A może na wagę zmiany, za którą tak bardzo tęsknię w upodlonej przez PiS Polsce.

Gdybym chciał w 80. urodziny zapytać Pana Ryszarda, czy takim wspólnym powietrzem będziemy jeszcze kiedyś oddychać, najpewniej nie udzieliłby mi odpowiedzi. Instrukcja takiego oddychania jest zdeponowana w jego poezji. Tej dawniejszej i tej być może przyszłej, którą może jeszcze pisze.

Być może to wspólne oddychanie, wspólnym powietrzem, zaczyna się tam, gdzie widzimy innych, gdzie oddajemy im głos. Tak jak całe życie robił to Krynicki. W tym „pędzie pogoni, pędzie ucieczki” musi być wszak moment na oddech. Również oddech wolnością. Czy nie w takiej perspektywie winniśmy dziś czytać liryk „Nadejdzie chwila”: „pełnia księżyca nad pustynią/ chwila wieczności/ wieczysta i wietrzna”.

To fraza profetyczna dla całej późniejszej twórczości Krynickiego – eremity, piewcy milczenia, spacerowicza po pustyniach świata i zaświatów. ●

Bijesz za mocno/ bijesz nieczysto, serce

Kilka ważnych skłonności milczącego poety.

Marian Stala**

Wiele lat temu, wewnątrz innej niż dzisiejsza rzeczywistości, powiedział Jan Błoński: „Nowe wiersze Krynickiego są jak pchnięcie w serce – zwłaszcza dla krytyka: tak nikt nie pisał, chyba bardzo, bardzo dawno temu”.

Zdanie, na pozór będące marginalnym spostrzeżeniem rzuconym w rozmowie o sytuacji krytyki literackiej w latach 70. XX w., zostało natychmiast zauważone i zapamiętane*.

Uwzględniając dzisiejszą perspektywę, trzeba zdanie to zaliczyć do kręgu najistotniejszych sądów, jakie kiedykolwiek zostały sformułowane o wierszach Ryszarda Krynickiego.

W 1978 r. Błoński rozpoznawał i wyznaczał miejsce twórcy, który wciąż jeszcze był młody, a w pełni doceniali go tylko niektórzy spośród uważnych obserwatorów nowej poezji. Po latach, przed 80. urodzinami Krynickiego, słowa krytyka dobiegające z przeszłości mogą posłużyć jako klucz (czy jako jeden z możliwych kluczy) do świata jego poezji i odbicia tego świata w świadomości kolejnych pokoleń czytelników.

Oczywistym punktem odniesienia sądu Błońskiego było przeświadczenie krytyka o zetknięciu z nowym, wybitnym zjawiskiem poetyckim. Upływ czasu potwierdził przeczcucia autora „Odmarszu”. Dzisiaj, świadomy ryzykowności takich oświadczeń, skłonny byłbym powiedzieć wprost, iż Ryszard Krynicki jest najwybitniejszym z żyjących tu i teraz poetów.

Akcent położony na przymiotnik „nowe” sugeruje, iż jednym z celów krytyka było odróżnienie wczesnej poezji Krynickiego, tej z arkusza „Pęd pogoni, pęd ucieczki” (1968) i z tomów „Akt urodzenia” (1969) i „Organizm zbiorowy” (1975), od wierszy z wydanego w Paryżu zbioru „Nasze życie rośnie” (1978).

Błoński nie mógł powiedzieć wprost, iż chodzi mu także o przeciwstawienie poezji kontrolowanej przez cenzurę i poezji tworzonej i wydawanej poza jej zasięgiem. Dla czytelników z 1978 r. sprawa ta była oczywista. Nawiasem mówiąc, paryska edycja dotarła szybko do kraju i była kilkakrotnie przedrukowywana w drugim obiegu. Sam czytałem po raz pierwszy „Nasze życie rośnie” w postaci pocztówkowych zdjęć kolejnych stron tomu; było to w styczniu 1979 r.; wspominał ten fakt jako drobny przyczynek do historii rozpowszechniania literatury zabronionej przez cenzurę.

Po 44 latach możemy dodać, iż dokonując takiego rozróżnienia, autor „Zmiany warty” uchwycił jeden z najistotniejszych momentów poetyckiej drogi Krynickiego (i przewidział dalsze losy jego poezji).

Chcąc uchwycić swoistość „nowych wierszy” (i nowej twarzy) poety, posłużył się Błoński mocnym – a jednocześnie dobrze zdomowionym w potocznej polszczyźnie – porównaniem. Poznawcze konsekwencje tego chwytu są niewątpliwe i decydują o randze wypowiedzi krytyka.

W tym porównaniu zastanawia najpierw to, iż nowe (w 1978 r.) wiersze Krynickiego zostały oświetlone i zinterpretowane poprzez zestawienie ich z działaniem, czynnością. Nie sądzę, by mógł to być przypadek; przeciwnie, jestem przekonany, że zamierzeniem krytyka było wskazanie jakiejś fundamentalnej dynamiczności wspomnianych wierszy, naładowania ich jawną lub ukrytą, zewnętrzną lub wewnętrzną energią.

(Innymi słowy: Błoński zwracał uwagę nie tyle na fundamentalną dynamiczność wierszy Kry-

nickiego, ile na przejście od dynamiki zewnętrznej do wewnętrznej napięcia, które może sprawić wrażenie zatrzymania, znieruchomienia, skupienia).

Dodajmy: świadectwem dynamicznego ujmowania poezji (i świata) bywają już same tytuły tomów Krynickiego. Dotyczy to zwłaszcza debiutanckiego arkusza „Pęd pogoni, pęd ucieczki”, ale podobnie zinterpretować można także tytuły jak „Akt urodzenia”, „Organizm zbiorowy”, „Nasze życie rośnie”, a nawet „Niepodlegli nicości” i „Magnetyczny punkt”.

I dalej: na poziomie motywów i tematów odpowiednikiem wskazywanych zjawisk jest fascynacja różnymi odmianami wędrówki...

Porównanie wierszy do pchnięcia w serce zwraca uwagę na mocne nasycenie poetyckiego świata Krynickiego emocjami. Przy czym we wczesnej twórczości poety emocje te wywodziły się z kręgu nieufności, podejrzania, zniecierpliwienia, gniewu. Były to najpierw reakcje na uwięzienie w labiryncie języka, a potem – po doświadczeniach roku 1968 – na zagrożenie przez kłamstwa władzy i dominującej ideologii.

Potem przyszedł czas kształtowania poetyckiej etyki o nastawieniu pozytywnym, apelującej, by nie ranić innych ludzi i nie wywyższać się ponad nich (to właśnie ten proces wywołał entuzjastyczną reakcję Błońskiego).

Była to od początku etyka stawiająca temu, kto ją przyjmuje, niezwykle wysokie wymagania; jej drugą, paradoksalną stroną było w poezji Krynickiego przekonanie, że współczesność to „niezabliźniony świat” i że są rany, które nie powinny się zabliznić.

Poza prostym przeciwstawieniem negatywności i pozytywności pozostają te emocje, które wiążą się ze spotkaniem istot innego gatunku oraz ze staniem wobec nieskończoności Wszechświata; obie kwestie są ważne w wierszach Krynickiego publikowanych po 1989 r.

Znamienne tytuły tomów Krynickiego:

„Pęd pogoni, pęd ucieczki”,
„Organizm zbiorowy”,
„Nasze życie rośnie”

„Pchnięcie w serce”, o którym mówił Błoński, to nie tylko oswojone, niemal potoczne porównanie. To także echo dwu osobnych, choć przyciągających się metafor, które w sposób dobitny spotykają się w wersie „język to obnażone serce, nagie ostrze” pochodzącym z pamiętnego wiersza „Język to dzikie mięso” („Wiersze wybrane. Wydanie nowe, poprawione. Wybór i układ Autora”, Kraków 2015).

Podwójne utożsamienie zjawiające się w przywołanym wersie (przeczytanym poprzez wypowiedź Błońskiego) wzmacnia widoczność w wierszach Krynickiego metaforyki bijącego serca z jednej i metaforyki przebudzenia z drugiej strony.

Metaforycznie ujmowane przebudzenie zjawia się w poezji autora „Magnetycznego punktu” niezbyt często, przede wszystkim w dwu jego pierwszych książkach. Jego ważne miejsce w tej poezji, jego zapadająca w pamięć wyrazistość to w znacznej mierze efekt oddziaływania jednego wiersza, znanego w dwu wersjach.

(Wiersz nie ma tytułu; jego wersja pierwotna – „Pęd pogoni, pęd ucieczki”, Warszawa – Poznań 1968 – zaczyna się od słów „nagle nagi, obudziłem się, nagle nagi w kolejce po chleb”; początek wersji drugiej – „Niepodlegli nicości”, Warszawa

1988 – ma postać: „nagle, obudziłem się nagle w kolejce po chleb”).

W wersji pierwotnej śniący budzi się, by „bezsenność śnić”; jego przebudzenie jest przejściem z jednej nierzeczywistości w inną. W wersji drugiej przebudzony pyta samego siebie, czy zbudził się, „żeby błdzić?”, i zdecydowanie odpowiada „iść”; naturalnie: iść w stronę rzeczywistego świata. Gdyby Błoński mógł w 1978 r. czytać drugą wersję przywołwanego wiersza, to uznałby ją za istotny dowód przemiany poezji Krynickiego.

11. Metaforyka serca jest najwyraźniej widoczna w tomach „Organizm zbiorowy” i „Nasze życie rośnie”, w płynnej strefie przejścia pomiędzy wczesną twórczością autora „Niepodległych nicości” a jego „nowymi wierszami”.

Jego wiersze to etyka stawiająca niezwykle wysokie wymagania oraz przekonanie, że są rany, które nie powinny się zabiżnić

Co znamienne: metaforyka ta nie funkcjonuje w arkuszu „Pęd pogoni, pęd ucieczki” i w tomie „Akt urodzenia”; co więcej: w tomach z lat 80. następuje jej wycofanie, nie ma jej także w „Kamieniu, szronie”.

12. W posługiwaniu się przez Krynickiego metaforyką serca łatwiej dostrzec intuicyjne skłonności niż uporządkowany system. Wymienię kilka z nich.

Skłonność pierwsza, mocna: unikanie sentymentalnej aury towarzyszącej sercu w mowie potocznej i poezji spokrewnionej z drugorzędnym romantyzmem.

Skłonność druga, równie istotna: kójarzenie serca z egzystencją (istnieniem) i podstawowymi emocjami.

Skłonność trzecia, pojawiająca się niekiedy: traktowanie serca jako centrum (jednego z centrów) osoby połączone z niezależnością wobec tej osoby.

Skłonność czwarta, stosunkowo słaba: widzenie serca jako łącznika z naturą (porządkiem świata).

Skłonność piąta, mocna, ale nie zawsze wyraźnie ujawniana: dotkliwość albo bolesność związanych z sercem odczuć i doznań...

(Skłonności jest więcej, mogą występować osobno albo, rzadziej, łączyć się ze sobą).

13. Kilka istotnych przykładów. Finałowe wersy „Białej flagi”: „bijesz za mocno/ bijesz nieczysto, serce”.

Fragment dedykowanego pamięci Juliana Przybosa wiersza „To”: „tu, w centrum blisko odległego miasta/ zabije żywiej Twoje obce serce:/ serce, to bijące w znienawidzone oczy/ nicości – na alarm? na odlew?/ właśnie przemijającej chwili?”.

Wiersz „Jakbyś nadal szukało” (w całości): „Dokąd się tak wyrывasz, moje serce,/ jakbyś nadal szukało/ swojego wcielenia?”.

Wiersz „Nieskończona ilość” (w całości): „Nieskończona ilość prostych/ krzyżuje się w twoim sercu/ te proste nie mają początku – ni końca”.

Wiersz „O wiele prostsze” (początek): „Twoje serce nadaje i odbiera sygnały/ zaginionych cywilizacji”.

Fragment wiersza „Silniejsze od lęku”: „Czym jest poezja, co ocala? (...)/

Czym więcej być może, jeżeli nie trwożnym/ jak bicie śmiertelnego serca,/ silniejszym od lęku przed nędzą i śmiercią/ głosem/ sumienia?”.

Te wersy zbyt są intensywne, by opatrywać je komentarzem (albo łączyć z wyliczonymi poprzednio skłonnościami).

14. Czy to takie wersy podyktowały niegdyś Janowi Błońskiemu słowa: „tak nikt nie pisał, chyba bardzo, bardzo dawno temu”? Mogło być tak właśnie; mogło być także tak; nie musiało tak być.

15. Wskazawszy wypowiedź wielkiego krytyka jako jeden z możliwych początków dzisiejszej rozmowy o poezji Ryszarda Krynickiego, zostawiam Czytelników z 70 wierszami poety,

z czterema komentarzami krytycznymi napisanymi specjalnie do trzymanej w ręku książki i z garścią dialogujących z poezją fotografii.

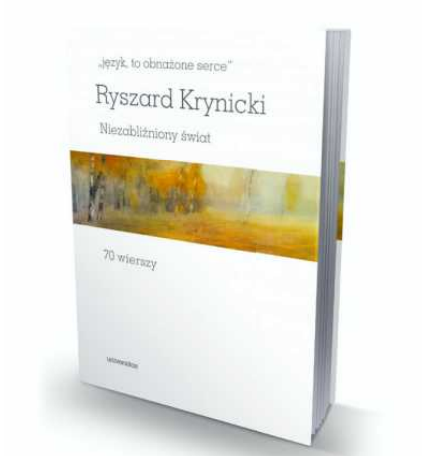
* Wypowiedź Błońskiego pochodzi z rozmowy, jaką przeprowadził z nim Paweł Dybel („Krytyka dzisiaj”, „Więź” nr 7-8/1978); odnotowano ją w drugoobiegowym „Zapisie” (nr 8, 1978), tam przeczytał ją sam poeta. Cytuję ją za tym źródłem, dziękując Pawłowi Próchniakowi za błyskawiczne odszukanie słów Błońskiego w internecie



FOT. GRAŻYNA MAKARA / AGENCJA WYBORCZA.PL

**Marian Stala

• ur. w 1952 r., historyk literatury, krytyk literacki, profesor UJ. Był jurorem Nagrody Nike. Tekst to wstęp do wydanego pod jego redakcją wyboru poezji Ryszarda Krynickiego „**»język, to obnażone serce«**. Niezabliżniony świat. 70 wierszy”, Universitas 2023



WIERSZY POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Ryszard Krynicki

Język, to dzikie mięso

Panu Zbigniewowi Herbertowi
i Panu Cogito

*Język, to dzikie mięso, które rośnie w ranie,
w otwartej ranie ust, żywiących się skłamaną prawdą,
język, to obnażone serce, nagie ostrze,
które jest bezbronne, ten knebel, który dławi
powstania słów, to zwierzę osławiane
z ludzkimi zębami, to niehumanitarne, co rośnie w nas
i nas przerasta, ta czerwona flaga, którą wypływamy
razem z krwią, to rozdwojone, co otacza, to
prawdziwe kłamstwo, które mamy,*

to dziecko, które ucząc się prawdy, prawdziwie kłamie

Zbigniew Herbert

Do Ryszarda Krynickiego – list

*Niewiele zostanie Ryszardzie naprawdę niewiele
z poezji tego szalonego wieku na pewno Rilke Eliot
kilku innych dostojnych szamanów którzy znali sekret
zaklinalnia słów formy odpornej na działanie czasu bez czego
nie ma frazy godnej pamiętania a mowa jest jak piasek*

*nasze zeszyty szkolne szczerze udręczone
ze śladem potu lez krwi będą
dla korektorki wiecznej jak tekst piosenki pozbawiony nut
szlachetnie prawy aż nadto oczywisty*

*uwierzyliśmy zbyt łatwo że piękno nie ocala
prowadzi lekkomyślnych od snu do snu na śmierć
nikt z nas nie potrafił obudzić topolowej driady
czytać pismo chmur
dlatego po śladach naszych nie przejdzie jednorożec
nie wskresimy okrętu w zatoce pawia róży
została nam nagość i stoimy nadzy
po prawej lepszej stronie tryptyku
Ostateczny Sąd*

*na chude barki wzięliśmy sprawy publiczne
walkę z tyranią kłamstwem zapisy cierpienia
lecz przeciwników – przyznasz – mieliśmy nikczemnie małych
czy warto zatem zniżać świętą mowę
do belkotu z trybuny do czarnej piany gazet*

*tak mało radości – córki bogów w naszych wierszach Ryszardzie
za mało świetlistych zmierzchów luster wieńców uniesienia
nic tylko ciemne psalmodie jękanie animuli
urny popiołów w spalonym ogrodzie*

*jakich sił trzeba by na przekór losom
wyrokom dziejów ludzkiej nieprawości
w ogroju zdrady szeptać – cicha nocy*

*jakich sił ducha trzeba by wykrzesać
bijąc na oślep rozpacz o rozpacz
iskierkę światła hasło pojednania*

*ażebym wiecznie trwał taneczny krąg na gęstej trawie
święcono narodziny dziecka i każdy początek
dary powietrza ziemi i ognia i wody*

*ja tego nie wiem – mój Drogi – dlatego
przesyłam tobie nocą te sowie zagadki
uścisk serdeczny*

ukłon mego cienia

Utwory za: Ryszard Krynicki, „Wiersze wybrane”, Wydawnictwo a5, Kraków 2014,
Zbigniew Herbert, „Wiersze wybrane”, Wydawnictwo a5, Kraków 2004

FOT.TOMASZ STAŃCZAK / AGENCJA GAZETA

PO CO ŻYĆ, SKORO SZKOŁA NIE MA SENSU?

Wymagamy od dziecka, żeby nie paliło marihuany, nie piło,
ale torebka mamy jest pełna różnych leków

Z **ADAMEM NYKIEM***,
SPECJALISTĄ PSYCHOTERAPII
UZALEŻNIEŃ, ROZMAWIAŁA
AGATA CAŁKOWSKA

Gdy jechałam do pana, wpadłam w oczy reklama piwa, w której występują Marcin Dorociński i idol mojego dzieciństwa Piotr Fronczewski. Picie nadal jest cool?

– Wiadomo, że robią to dla pie-niędzy, już Ciechowski o tym śpie-wał, ale to niestosowne. A jesz-cze bardziej kiedy alkohol rekla-mują sportowcy, co się zdarzało. Ktoś powie – uczmy się zdrowe-go picia, bo fajnie by było, ale gdy-byśmy nie chlali, jak chlamy. Poja-wiają się jakieś trendy, że pijemy więcej wina czy piwa, ale z drugiej strony dostępność alkoholu jest przerażająca. Norwegia wprowa-dziła zmiany, bo zrozumiała, ja-ki to społeczny problem, i obec-nie sklepów z alkoholem w całym kraju jest 297.

Byłem w gminnej komisji roz-wiązywania problemów alkoholo-wych w niewielkiej miejscowości pod Warszawą, gdzie jest 35 tys. mieszkańców, a 100 sklepów z al-koholem. Nie mówię, żeby prze-stać alkoholem handlować, bo to niemożliwe, nie mówiąc o tym, że nasz system ekonomiczny by padł, ale ograniczenie dostępności może być rozwiązaniem.

A legalizacja marihuany?

– Czeką nas ze względów wła-snie ekonomicznych, ale braku-je mi edukacji na ten temat. Nie można mówić, że palenie nie po-ciąga żadnych negatywnych skut-

Poza tym alkohol jest nie tyl-ko ogromnie dostępny, ale też bar-dzo tani.

Ale czy podwyżka cen by coś zmieniła? Albo dostępność alkoholu od 21. roku życia jak w Stanach Zjednoczonych?

– Nie wiem. 21 lat coś już w nas zmienia, bo 18-latek to nadal dziecko w szkole. Czy zmienia coś podniesienie cen alkoholu, po-dwójnie, i ograniczenie dostępno-sci, że np. alkohole wysokopro-centowe będą dostępne w mniej-szej liczbie sklepów – tego też nie wiem. Może znowu powstały-by meliny, znając Polaków i ich zmysł do interesu. Ale droższy byłby trudniej dostępny dla nielet-nich. Bo jednak kupienie małpki za 5 zł nie jest problemem, a dzie-ciak wypija dwie i jest pijany.

Jeśli wiemy, że alkohol jest spo-lecznie tak dużym problemem, to powinniśmy szukać rozwiązania w polityce społecznej. Spróbujmy z wiekiem, z ceną, z liczbą skle-pów. Zmiany nie nastąpią natych-miast, bo przez lata to nas kształ-towało i lepiło, bo gdybyśmy spoj-rzeli na nasze rodziny, raczej nie było wujka, ciotki, ojca, dziad-ka, którzy nie mieliby problemu z alkoholem. Ale nie wiem, czy ta władza, która co rusz ma „waż-niejsze” sprawy na głowie, jest w stanie się tym zająć.

Zostały organizacje pozarządo-we?

– Na szczęście pozwala im się jeszcze funkcjonować, a w każdej dziedzinie nauczaliśmy się pań-stwo wyręczać, czego przykładem

wyjść na pole. Bo tam, na tej mo-jej dzielnicy Nowa Huta, toczyło się życie towarzyskie, a najważ-niejsze było bycie akceptowa-nym, co miało mocniejsze fun-damenty niż obecnie, bo się ze sobą bardzo dużo komunikowa-liśmy. Teraz oczywiście dzieci się widują w szkole, ale nie w takim zakresie, bo pojawiły się nauka zdalna, indywidualne nauczanie, ucieczka z tradycyjnej szkoły.

To dla dzieci dobre?

– Spójrzmy na warszawskie osiedla – są świetne place zabaw, siłownie, boiska. Ale nie spotka tam pani dzieci, nie jest głośno, nie grają w piłkę, uciekają w ko-munikację, która teoretycznie jest bezpieczna, ale daje uludę, że je-śli mamy stu znajomych, to ma-my stu. Nie, chodzi o akceptację, o lalki za zdjęcie nowego ciucha. A kiedy wychodzą z tego sztucz-nego świata na zewnątrz, okazuje się, że jest szorstko. Raz ktoś po-patrzy ze złością, a nasze uczu-cia się zaburzają, nie wiadomo, co zrobić.

Cały świat tak funkcjonuje.

– Czerpiemy z zachodu styl życia, ale to pociąga konsekwencje.

Młodzi ludzie, kolejne poko-lenia będą pełni lęków i niepoko-jów, obaw przed tym, co na ze-wnątrz. Najmłodszy, którzy przy-chodzą do mnie, to roczniki 2007, 2008 – nastolatki. Nie zawsze są uzależnieni, ale szukają w sub-stancjach ukojenia, zniwelowania napięcia przed oceną, szkołą, bra-kiem relacji z bliskimi i rówieśni-kami. Świat środków psychoak-

pliwości, fiksujemy się na tym, co naszym zdaniem jest istot-ne dla dziecka, a to, co może być naprawdę istotne, wydaje nam się śmieszne.

Dla nastolatków ważne jest, by być akceptowanym, lubianym, że-by mieć te lalki, żeby byli ludzie, którzy chcą spędzać z nimi czas. Jak to jest zachwiane, to się burzy ich świat. Idą smutni do domu, a rodzice pytają: „Co się stało?”. Dziecko odpowiada, co je boli, a rodzic: „Zostaw, olej to, ucz się, jak coś osiągniesz, to te rzeczy nie będą miały znaczenia”. My teore-tycznie jako rodzice mamy rację, bo tak będzie, bo jakaś szczeniacka miłość za 10 lat nie będzie mia-ła znaczenia. Ale dla nich jest te-raz najważniejsza i jak się nad tym nie pochylimy, to komunika-cja nam się rozjedzie, a to prze-cież nie jest rodzina patologiczna.

Nie umiem odpowiedzieć na pytanie, gdzie zaczyna się ten roz-jazd, bo współcześni rodzice mu-szą na te wszystkie dobra zapra-cować, czasami w kilku miej-scach, po to, żeby mieć poczucie, że dom jest dostatni. Przychodzi weekend i oczekujemy od dziec-ka, żeby czymś się zainteresowa-ło, zajęło. Choć wiem, że trudno po pracy jest przyjść i coś zrobić, włączenie bajki jest najłatwiej-szym wyjściem, a pandemia do-żyła swoje trzy grosze.

Co nam o nas powiedziała?

– Że brakuje nam bliskości. Że-byśmy czasami nawet się ze so-bą źle poczułi. Mam sporo pacjen-tów z korporacji, którzy przeszli na pracę zdalną i nadal nie wra-cają do biur. Mówią: „A po co mi te small talki w pokoju socjalnym, w domu robię swoje i nie mu-szę codziennie stać w korku”. Ale z drugiej strony, jeśli tego nie uzu-pelnimy innymi kontaktami, to życie staje się nieznosne. Pojawia-ją się depresja, xanax, terapia.

Dlatego tak łatwo tracimy z oczu dzieci? Bo nie umiemy już nawiązać relacji?

– Budowanie tego gniazda zajmu-je nam psychicznie i fizycznie tak dużo przestrzeni, że nasz orga-nizm nie nadąża. Zdarza się co-raz więcej osób, które osiągają ogromne sukcesy w korporacjach, ale w życiu osobistym – porażka.

Nie dziwi mnie, że mamy za-pchane oddziały psychiatrii dzie-cięcej. To, co mnie w pracy za-smuca, to bardzo dużo młodych osób, takich bardzo młodych, wchodzących w życie, które mó-wią o bezsensie, niechęci do życia. Gdybyśmy mieli takiego 15-lat-ka w latach 90., to nawet o tym by nie pomyślał, bo miał środo-wisko kolegów i jeśli w domu by-ło dobrze, nikt go nie krzywdził, to przebiegał nogami, żeby grać w piłkę.

No i gdzie przyczyna te-go wszystkiego?

– Nie ma jednego winnego. My-śmy się zaczęli zmieniać jako spo-leczeństwo. Inne rzeczy są dla nas ważne. Mam 56 cali, to za dwa la-ta kupię 60.

Przychodzą tutaj ludzie, którzy nie umieją rozmawiać?

– Na pewno rozmawianie jest dla wielu trudne. Tu mówią, bo mają do tego warunki.

W pracy z młodym człowie-kiem jest o tyle trudno, że trzeba zbudować zaufanie, by mówił to,

czego w domu nie mówi. Tu nie zasypuje się pytaniami policyjny-mi: Od kiedy bierzesz? Co? Kto ci sprzedał? Rozmawiamy o nim, o tym, co lubi, i ja także się wtedy uczę. Tak się buduje komunika-cję. A rodzice czekają na koryta-rzu i po spotkaniu zadają dziecku pytanie: „O czym wyście tak długo rozmawiali?”. O pierdołach.

Rozumiem, że w szkole też tego nie dostają?

– Różnie jest. Czasami przychodzi do nas pedagog i mówi, że trzeba coś zrobić, ale zdarzają się szkoły, które relegują ucznia, żeby sobie nie obniżyć rankingów. A jeszcze policja przyjdzie do szkoły, no po co nam problemy?

Nie prowadzę statystyk, ale mam takie skrajne przykłady, że przychodzi rodzic z dzieckiem i poza szukaniem pomocy mu-szą jeszcze dla dziecka szukać no-wej szkoły. To jakby ktoś postawił pani pieczęć na plecach: bezna-dziejna, a szkoła przystawiła na czoło, czyli widać z przodu i z tyłu. Bo szkoły się ze sobą komunikują, pytają o takich uczniów. Co powie szkoła, która dziecko wyrzuciła?

Przytoczę panu dane z rapor-tu fundacji Unaweza „Młode głowy. Otwarcie o zdrowiu psychicznym”. Co drugi uczeń w Polsce w wieku 10-19 lat ma skrajnie niską samoocenę, 80 proc. nie radzi sobie ze stresem dnia codziennego, co dziesiąty uczeń deklaruje, że podjął pró-bę samobójczą, a 40 proc. ma myśli samobójcze.

– Tak, wiek, w którym inicjowane są samobójstwa, mocno spadł. Za-trważające, że dzieci, które wcho-dzą w świat, w życie, mają 10, 12, 15 lat, decydują się na odebranie sobie życia. Gdy przychodzi do mnie 13-latek, który miał proble-my w szkole, gdy pojawiły się ma-rihuana, jakieś leki i kiedy uda mi się nawiązać komunikację, to dziecko już mnie nie sprawdza, tylko mówi to, co czuje. A mó-wi tak: „Proszę powiedzieć, po co mam żyć, szkoła nie ma sen-su, ani dom”. I tutaj nie mówimy o patologicznych szkołach i o pa-tologicznym domu. Może tworzy-my świat tak szybkiego tempa, że te dochodzące do biegu dorosłych dzieci nie są w stanie tego tem-pa zrozumieć, zaakceptować, do-szusować do niego. Nie wiem. Nie znam odpowiedzi. Ale niewątpli-wie jest tak, że z perspektywy te-rapeuty potwierdzam, że faktycz-nie myślenie o bezsensie życia jest u osób bardzo młodych.

To jakie rośnie pokolenie?

– Nie mam pojęcia, jak będzie wy-głądać dorosły świat ludzi, którzy już w tak młodym wieku nie wi-dzą sensu życia.

To co zrobić?

– Rozmawiać. Społecznie. Nie my-śleć – mam na myśli polityków – tylko o wynikach wyborów. Ta-kie kawałki społeczeństwa, jak wycho-wanie, młodzież, medycyna, służ-ba zdrowia, edukacja w szero-kim znaczeniu tego słowa, nie po-winny mieć nigdy nic wspólnego z bieżącą polityką. Bo jeśli chcemy te sektory rozwijać, to bez wzglę-du na to, czy u władzy są czer-woni, czarni czy żółci, powinniśmy mieć w tych dziedzinach jed-ną wspólną linię. I chodzi o pro-ste czasami rozwiązania, jak roz-wój fizyczny dzieci, bo teraz za-

Owsiak od lat kupuje sprzęt do szpitali, inni przyjmują dzieci molestowane.

A gdyby te wszystkie organizacje nagle zniknęły? Państwo by tego nie uniosło

ków, bo nie każdy powinien palić. U osób, które mają skłonności do chorób psychicznych, jest czymś bardzo złym, a wiem, bo mam tu-taj osoby na terapii, które zostały przez ziolo sformatowane.

Co to znaczy?

– Nie radzą sobie z codzienno-scią we właściwy sposób. Mają za-burzone relacje, nie są w stanie utrzymać związku, często zmie-niają pracę. Nie działają, jeśli nie zapalą. Są być może tacy, którzy nad tym panują, tak jak alkoholi-cy wysokofunkcjonujący, którzy są szefami, lekarzami, dziennika-rzami, mają rytm picia, czyli od poniedziałku do piątku zero, ale w weekend nie trzeźwieją. Ile or-ganizm to wytrzyma? Trudno po-wiedzieć.

A kiedy wiadomo, że mamy problem z alkoholem?

– Lepiej widać to z zewnątrz, ale często pierwsze symptomy lek-ceważymy. Na początku pande-mii, po trzech czy czterech tygo-dniach, zaczęły się telefony od osób, które mówiły, że zaczęły bardzo dużo pić i chyba powinny z kimś porozmawiać. Bo jak wy-chodziliśmy, pililiśmy w knajpach, nie było tego widać w domu.

jest masowość zbiórek. Ktoś nie ma pieniędzy na lek czy operację? Zbiórka i ludzie wpłacają. Owsiak od lat kupuje sprzęt do szpitali, in-ni przyjmują dzieci molestowa-ne, jeszcze inni chorych na rzadką chorobę. Monar zajmuje się nar-komanami. A gdyby te wszystkie organizacje nagle zniknęły? Pań-stwo by tego nie uniosło.

Bo nie jesteśmy dojrzałym społeczeństwem demokratycz-nym?

– Za chwilę będę miał 53 lata, za-lapałem się na koniec komuny, stanie w kolejkach, kartki. Nowe rozdzanie, na początku, było tro-chę kostropate, nieudane. Obec-nie się to jakoś kształtuje, ale trud-no wymagać, żebyśmy mieli doj-rzałą demokrację, skoro mamy ją dopiero 30 lat. Porównywanie do krajów zachodnich nie ma więk-szego sensu, bo oni się oswoili, nie egzaltują się tym, że ktoś ma, a ja nie, a wzajemna pomoc, wspólno-ta nie zależą tylko od tego, że ktoś ma dużo gorzej.

To jacy jesteście jako ludzie?

– Należałoby zacząć od dzieci, od okresu kształtowania. Dla mnie największą karą, kiedy byłem dzieckiem, było to, że nie mogę

tywnych ma dzisiaj dużą paletę. Wymagamy od dziecka, żeby np. nie paliło marihuany, ale torebka mamy jest pełna różnych leków. Masowo łykamy je na wszystko, a dziecko to widzi. Albo mama mówi, że ma wszystkiego dość, i otwiera butelkę wina.

Teraz dzieci mają dużą łatwość nabywania wiedzy, lepiej znają ję-zyki, mogą też szukać składni-ków leku, który odpowiada za po-prawę nastroju. Bo gdy jest ma-sowość brania albo picia, to po co ma czekać z poprawą nastroju?

Może za dużo od dzieci współ-cześnie wymagamy?

– Weźmy takie enigmatyczne sfor-mulowanie rodziców: „Weź się za siebie!”. Albo: „Kim będziesz w przyszłości?!”. A co to właści-wie znaczy dla 14-latka? Skąd ma to wiedzieć, skoro planuje swo-je życie do końca tygodnia, że-by się spotkać z ziomkami i po-siedzieć na schodkach. Czy wię-ciej wymagamy? Popelniamy ten błąd, że będąc pokoleniem defi-cytów, chcemy wszystko zapew-nić – samochód, wyjazdy zagra-niczne, ciuchy, korepetycje. A ja-ko socjolog sądzę, że powinniśmy nauczyć dziecko tego, czego sa-mi nie umiemy. Brakuje nam cier-

panowała moda na przynoszenie zwolnień L4. Ale jeśli sam rodzic nie daje przykładu, bo się nie rusza z kanapy, to skąd dziecko ma to zaczerpnąć?

Nie ma rozwiązań idealnych, ale nie można odpuścić. Ludzie rządzący od wielu lat, właściwie od 1989 roku, nie wytworzyli spójnej polityki zdrowotnej, a edukacyjnej nadal nie ma.

Może jestem naiwny, ale z drugiej strony, pracując 30 lat w terapii, widzę ludzi, którzy wychodzą z sytuacji naprawdę beznaziejnych. Trochę jak Jurek Górski (pierwowzór bohatera filmu „Najlepszy”), który 20 lat brał heroinę i wszyscy na nim krzyżyk postawili, a facet się nie tyle podniósł, ile wzbil.

Dlaczego w zasadzie został pan terapeutą?

– Po maturze nie dostałem się na studia i nie chciałem czekać na wezwanie do wojska. Poszedłem do pomaturalnej szkoły medycznej i tam zrobiłem specjalizację z pracy socjalnej, pracowałem w tym zawodzie kilka lat. Potem poszedłem na socjologię.

Mam wrażenie, że praca z ludźmi zawsze była we mnie.

A rodzice?

– Mama jest z wykształcenia muzykiem, tato pracował w Hucie im. Lenina. Ciekawe zestawienie, ale rodzina pochodzi z Kieleckiego i mój dziadek ze strony mamy całe życie pracował tam w opiece społecznej. W wakacje dziadek zabierał mnie do DPS-u, spędzałem czas ze starszymi osobami. Żeby była jasność, to też nie był dla mnie żaden przymus, lubiłem ten czas, poznawanie ludzi.

Rozumiem, że teraz to poznanie jest masowe.

– W związku z tym, co się dzieje w kraju, i z tym, że pracujemy na kontraktach Narodowego Funduszu Zdrowia, w kolejce do nas oczekuje na rozpoczęcie terapii 400 osób. Uzależniony czeka kilka, a nawet kilkanaście miesięcy.

W Warszawie wbrew pozorom nie ma wiele takich placówek, ale też dużo dobrych terapeutów szybko przechodzi do gabinetów prywatnych, bo tam zarabiają kilka razy więcej.

Pracował pan 12 lat w służbie więziennej jako terapeuta uzależnień. Trudniej wyciągnąć z uzależnienia człowieka, który przebywa w izolacji?

– Pracowałem jako cywilny pracownik, jeden dzień w tygodniu, indywidualnie i w grupie terapeutycznej, z osobami na metadonie. Na oddziale ludzie dzielili się na tych, którzy samodzielnie podejmowali decyzję o terapii, i na tych, którym terapię zasądono w sentencji wyroku, a taka trwa obecnie pół roku. Pierwsza grupa jest, powiedzmy, mocniej zmotywowana.

Miałem tam kontakt z mnóstwem osób, które przeszły ten czas, wyszły na wolność i nigdy nie wrócili do uzależnienia. Same podjęły decyzję, żeby zmienić swoje życie, ale jeśli na swojej drodze trafiamy na ludzi, którzy nam w tym pomogą, to wspaniale. To miejsce nauczyło mnie, żeby patrzeć na ludzi po tamtej stronie jako na tych, którzy potrzebują pomocy, mają zwichrowane życie, ale nie można patrzeć na nich przez pryzmat zła.

Czyli resocjalizacja ma sens?

– Jeśli chodzi o to, co przerabiałem na tym oddziale, to wiem, że przy zaangażowaniu osób, które pracują indywidualnie i starają się robić swoje, jest to do zrobienia.

Rok później związałem się na pięć lat z fundacją Podaj Dalej z Konina. Tam robiłem coś innego, to organizacja, która zajmu-

je – Marek Kotański chodził po ministerstwach, walczył o środki finansowe, czasami straszyl strajkiem. Tak było.

W roku 1999 powstała poradnia w Warszawie.

– Jesteśmy przy ul. Hożej 57, gdzie Marek wynajmował swoje pierwsze biura. Kotanowi udało się

Terapeuta też jest człowiekiem. Gdy przychodzi pacjent po długiej przerwie, to obchodzi nas, co się z nim działo. Udało się czy nie?

je się pomocą osobom niepełnosprawnym. Mimo że sam jestem na wózku od 1996 roku, wcześniej tej dziedziny nie tykałem, choć byłem już wtedy gotowy do bycia z innymi kulawymi, że tak powiem. Tam były dzieci i młodzież, między 18. a 25. rokiem, wyjęte na pół roku ze swojego środowiska, wybierały dowolny język, uczyły się wybranego zawodu, ale też samodzielności, bo w domu często były wyręczane. Dla osoby, która tego nie potrafi, to ważne, by nauczyć się ubrać samodzielnie czy skorzystać z toalety. Tak się powinno myśleć. Do tego wszystkiego z pieniędzy fundacyjnych wybrany pracodawca dostawał dofinansowanie, żeby tego człowieka zatrudnić. Dzięki temu dużo osób jest aktywnych zawodowo.

Do pracy z osobami z niepełnosprawnościami, jak sądzę, musiałem dorosnąć.

Dlaczego?

– Żeby złapać dystans. Dojeżdżałem tam pociągami, poruszałem się samodzielnie, mogłem być dla nich przykładem, że nikt go tu nie przywiózł, nie postawił. Żeby być tym „normalnym”, musiałem sam się latami uczyć tej samodzielności. Byłem wtedy na tyle ogorzały, że to doświadczenie było bardzo cenne. W Koninie jest zresztą jedna z najlepszych drużyn koszykówki na wózkach. Da się? Da, w takim Koninie, nie obrażając Konina.

Zaczynał pan pracę jako terapeuta uzależnień w Krakowie, w 1992 roku, jakie to były czasy?

– To była zupełnie inna narkomania. Terapeuta trochę walczył o życie pacjenta razem z nim. Wtedy wysłanie kogoś na detoks było ratowaniem życia, bo kolejne tygodnie czy miesiące takiego ćpania z reguły kończyły się tragicznie. Umieralność osób uzależnionych była bardzo duża. Wtedy narkotyki wyniszczały fizycznie, dziś są takie, które wyniszczają psychicznie.

Monarowi i Markotowi chyba nie było na początku łatwo?

stworzyć organizację, która lokalnie stała się ludziom potrzebna, a Monar ma taką strukturę, że ma co prawda zarząd, którego jestem członkiem, ale nie decyduje o ośrodkach, tylko o zatrudnianiu kierowników i dyrektorów ośrodków. Placówek Monaru jest dzisiaj około 150, poza tym oddział detoksykacyjny w Krakowie.

A przywiązuje się pan do pacjentów?

– Zawód terapeuty powinien polegać na tym, że powinniśmy się naleciałości własnego życia optymalnie wyzbyc, bo wiadomo, że są pacjenci, do których nam mentalnie bliżej. Są sytuacje terapeutyczne, które nie przynoszą skutku, bo pacjent się przy terapiucie źle czuje i odwrotnie.

Ale tutaj nie mówimy o głębokiej psychoanalizie, bo ratujemy zgłiszczą, gdy w bardzo młodym życiu pojawiły się środki zmieniające świadomość i zaczęły wpływać negatywnie na życie. Nie mam prawa dodawać sobie splendoru zmiany w tym człowieku, bo musi wiele zmian dokonać samodzielnie, aby ten system nie był dla niego toksyczny. Jak człowiek żyje w środowisku narkotycznym, to wyjazd na detoks wydaje mu się czymś trudnym. Jedzie do ośrodka, jest tam kilka miesięcy, a potem najtrudniejszy jest powrót do środowiska, bo trzeba dokonywać wyborów.

Bierze pan za pacjentów odpowiedzialność?

– Terapeuta też jest człowiekiem. Gdy przychodzi pacjent po długiej przerwie, to obchodzi nas, co się z nim działo. Udało się czy nie? Nie atakujemy go telefonami, oczekujemy, że przyjdzie, ale jak zaczyna mówić, to jesteśmy ciekawi, czy mu się udało, i jeśli nie, to szukamy sposobu, aby pomóc.

A co to znaczy „udało” dla osoby uzależnionej?

– To zależy od relacji w indywidualnym toku pracy, tu nie ma kalki. Dla kogoś zejście z bardzo toksycznego narkotyku na rzecz łagodniejszego jest już dużą ulgą, bo może więcej nie da rady zro-

bić. To nie jest tak, że drzwi poradni są magiczne, człowiek może wyjść z pytaniami o siebie, bo to pierwotna motywacja.

W przypadku alkoholizmu ważne są pierwsze 24 godziny, żeby się nie napić. Potem tydzień nie piję, tydzień nie biorę. To jest ta motywacja.

A to tłumaczenie, że mamy alkohol w genach?

– Nie lubię stereotypów. Okej, jeśli w domu był alkohol, jesteśmy z nim obcy, to łatwiej po niego sięgnąć, ale czy mamy organizm bardziej przystosowany, żeby się uzależnić? Tego nie wiem. Natomiast znam osoby, które wyszły z domów, w których było bardzo źle, i są szczęśliwe, i osoby, w których domach nie było alkoholu i narkotyków, a piją i ćpają. No, nie jest to proste.

Porusza się pan na wózku. Jak to się stało?

– TH12, czyli złamanie kompresyjne kręgosłupa na skutek wypadku samochodowego. Miałem 26 lat. Pierwsze trzy miesiące były bardzo trudne, zastanawiałem się nad sensem życia. Pamiętam moment, kiedy leżałem w szpitalu w Konstancinie na sali ścieśniasobowej i byłem najsprawniejszy, bo ruszałem rękoma, czyli sam jadłem, no kozak. Myślałem o śmierci, ale problem polegał na tym, że co trzy godziny przychodzili i nas obracali, żebyśmy nie mieli odleżyn.

Leżał obok mnie chłopak z Łukowa z urazem czterokończynowym. Wszedł na drzewo, żeby złamać gałąź, no i złamał, i spadł. W pewnym momencie mi powiedział, że jak wyjdzie, a wychodził następnego dnia, to zrobi tyle rzeczy. I ja zdębiałem. To ja ruszam rękoma, mam przy sobie wspierające osoby, rodziców, moją ukochaną siostrę, Kotan przychodził do szpitala i wyciągał mnie do życia. Z natury jestem osobą pogodną i po tej rozmowie zaczęło mi się to odkręcać, choć jedyny kontakt ze światem to dzwonek przy łóżku – no była to duża zmiana i poczucie braku perspektywy. Pamiętam, że jeszcze w szpitalu w Szczecinie po wypadku zapytałem lekarza: „To jak to teraz będzie?”. On tak popatrzył na mnie i mówi: „Nie wiem”. Pytam: „To teraz będę na wózku jeździł?”, a on: „Pod warunkiem że się nauczysz”.

To jaka jest obecnie w Polsce sytuacja osób z niepełnosprawnościami?

– Osoba, która nie chodzi, dostaje za darmo wózek, taką kolubrynę, co można zobaczyć w szpitalach. Mam obecnie polski, ale wcześniej mi rodzina zafundowała szwedzki, no to taki mercedes.

Dotychczas państwo dopłacało do zakupu wózka 1,7 tys. zł, teraz to 4 tys. zł. Czyli trzeba wziąć kredyt, chyba państwo wyszło z założenia, że osoba niepełnosprawna miała oszczędności. Natomiast w Skandynawii jest tak, że osoba, która chce być zawodowo aktywna, dostaje taki wózek za darmo.

Po moim wypadku szybko zacząłem pracować, płacę podatki, nie mam żadnych świadczeń, a tylko zniżki na sprzęty medyczne typu cewnik. Czy państwu nie bardziej się opłaca zapewnić dobry wózek, żeby człowiek wrócił do zawodowej pracy i płacił podatki? Dlaczego skazuje się ludzi na wegetację i zamyka w domu? Za chwilę lato, kolejna tura wypadków nad wodą, na drogach i kolejne osoby wylądują ze złamanym kręgosłupem.

A walka opiekunów osób z niepełnosprawnościami ma sens?

– Nie rozumiem, kto wpadł na pomysł, żeby osoba, która się opiekuje niepełnosprawnym, nie mogła pracować, bo traci zasiłek, jakby sama miała być niepełnosprawna. Przecież funkcjonowanie w tak trudnych warunkach powinno mieć odskocznnię, by choć na trzy godziny pójść, nie wiem, do biura.

Ale nam się bardziej opłaca ciemiężyć tych ludzi. Zapomina się o ich godności. Wyobraża sobie pani, że jest zamknięta w domu z niepełnosprawnym dzieckiem i nie może pani podjąć żadnej aktywności? ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Adam Nyk

• absolwent socjologii UJ, specjalista psychoterapii uzależnień od 2002 r., ukończył studia podyplomowe z zakresu zarządzania placówkami służby zdrowia na WSM w Warszawie. Pracę w Monarze rozpoczął w 1992 r., w krakowskiej poradni rodzinnej, przez kolejne lata pracował w ośrodku stacjonarnym z osobami dorosłymi, z młodzieżą, na oddziale detoksykacyjnym oraz osobami zakażonymi w Wandzinie. W 1999 r. był współzałożycielem Poradni Rodzinnej w Warszawie przy Hożej 57. Przez 12 lat pracował również w Areszcie Śledczym w Warszawie-Stużewcu na oddziale terapeutycznym dla osób skazanych

wyborcza

magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;

ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imieliński, Aleksandra Soberzak, Bartosz T. Wielński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski
FOTODYDZIA: Dorota Nowacka
WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@agora.pl, 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Baranowski
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.





P o moich rowerowo-wakacyjnych wspomnieniach („Weekendówka” z 3 czerwca) napisała do mnie pani Jolanta, której moja sentymentalna podróż do Żytnej przypomniała o innej pobliskiej miejscowości – Silnicy – i przywołała miłe wspomnienia. To też zadanie naszej krzyżówki, dlatego tym bardziej mi miło, że – parafrazując niezrównanego Jerzego Rybińskiego – „za moją to sprawą” tak się zadziało. Serdeczne pozdrowienia!

A dziś nie wychodzimy z wakacyjnych klimatów, tym bardziej że za oknami aura konkretna i z okazji rozpoczynających się wakacji (wiem oczywiście, że kto ma wakacje, ten ma...) dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcimy klimatom letnim.

Początek wakacji zwykle obiecywał bardzo wiele, ze spełnieniem tych obietnic bywało różnie, ale generalnie zdarzały się wyjazdy, które raczej te przyrzeczenia spełniały.

Jak choćby wyjazd na kolonie do NRD, gdzieś pod Berlin, podczas którego toczyliśmy zacięte boje na boisku piłkarskim z miejscowymi futbolistami, graliśmy w Historyczny Upadek Japonii, urządzaliśmy dyskoteki, pojechaliśmy w ramach atrakcji do stolicy na Alexanderplatz (bratwursty!), a nasz wychowawca – jakiś były komandos – pokazywał nam, jak rzucać nożem.

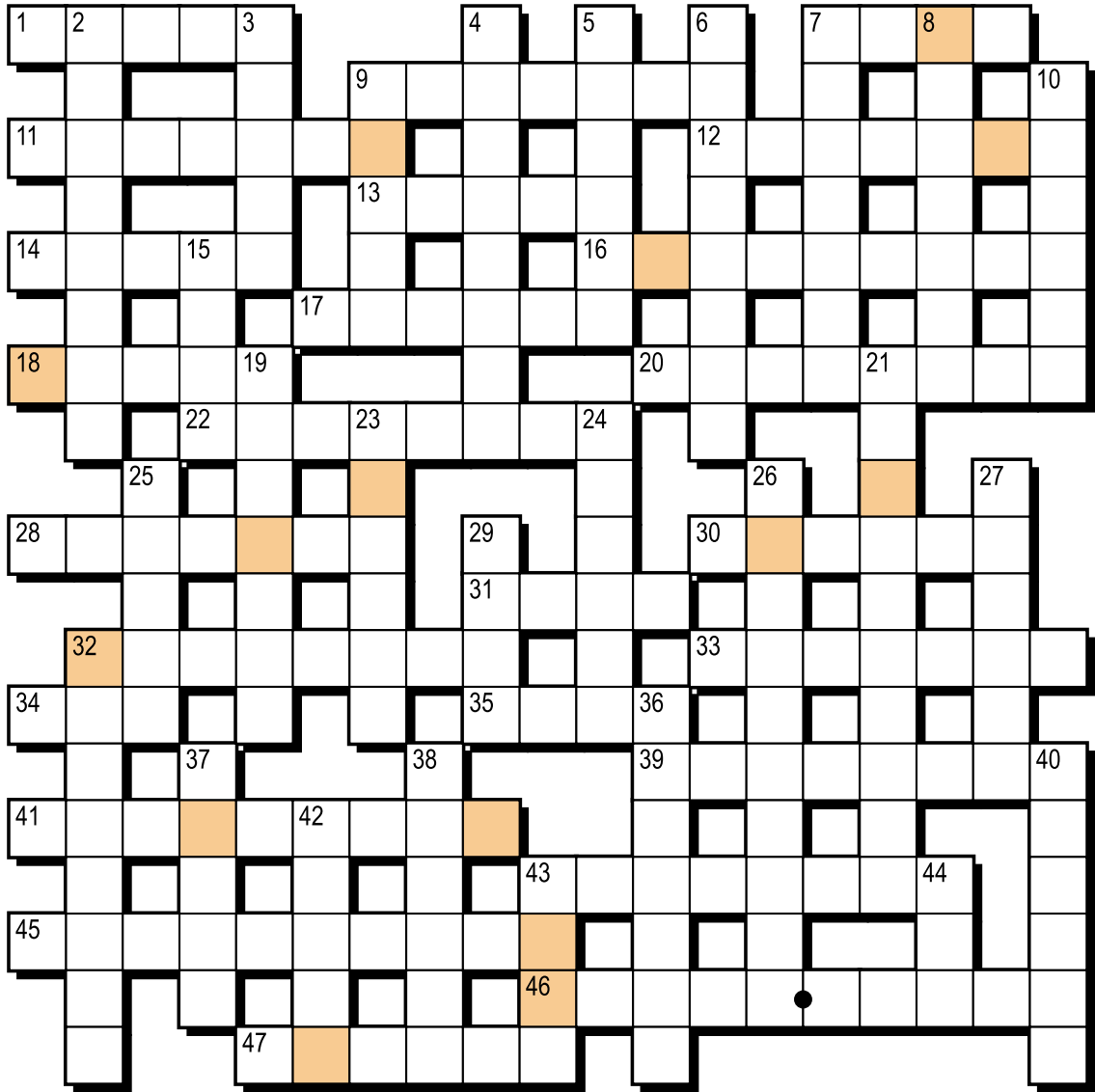
Ale i tak najlepiej pamiętam handlowanie z miejscowymi proporczykami, które wielu z nas zabrało z Polski (okazało się, że nie na darmo). Nie wiedzieć czemu owe proporczyki – najróżniejsze, takie okolicznościowe, sportowe czy zakładowe – były niezwykle pożądanym towarem przez naszych gospodarzy. Nie pomnę, co oferowali w zamian, lecz trzeba przyznać, że towary mieli atrakcyjne, o czym świadczyło wyposażenie ich drużyny piłkarskiej w futbolowe akcesoria – jakieś neutralizujące ból spraye itp. U nas na asfaltowych boiskach po prostu trzeba było kontuzję „rozbiegać”.

Wyjazd był przedni. Pamiętam, że mieliśmy jaskrawe chusty, żeby nasza barwna grupa się nie pogubiła (choćby na tym placu Aleksandra) i pod koniec wyjazdu zbieraliśmy podpisy koleżanek i kolegów. Bardzo długo miałem tę chustę w szafie. Nie tak długo jak wspomnienie tego wyjazdu, ale dość długo.

Państwu życzę równie miłych wakacyjnych „podróży”, rzecz jasna, udanych urlopów (musowo z „Weekendówką!”), a do pomocy w ułożeniu dzisiejszej krzyżówki... No właśnie. Nie miałem serca nikogo angażować, jak wakacje to wakacje, więc część dzisiejszych pytań jest mego autorstwa.

Dużo i jeszcze więcej słońca! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 57 z 17.06:

Poziomo:
7) Kawaler 8) Love Island 11) Idol 12) kamera 13) wywiad 14) Dursi 16) Marta Manowska 18) Agent 19) twarz 21) juror 22) Ozzy 24) Urbański 26) programy 27) Model 30) fani 32) Fort 33) sława 34) cenzura 35) Kinga Rusin 36) kanapy.

Pionowo:
1) Dwa światy 2) Warsaw Shore 3) pani 4) rewolucje 5) Doda 6) celebryta 9) Starak 10) Dowbor 15) Smith 16) Master-Chef 17) Amaro 20) zasady 23) zwycięzca 25) Hołownia 27) Marcin 28) lustra 29) Carrey 31) Aneta.

HASŁO:
KARDASHIANKI

WAKACYJNA

Hasła Andrzeja Kulaska oznaczono inicjałami (AK). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, tworzą rozwiązanie.

Poziomo:

1) Dunajcem – tratwami 7) „nagłówek” rowerzysty, alpinisty 9) schroniska turystyczne przy szlakach wodnych 11) dziura za parawanem 12) niewielki sportowy albo turystyczny – to awionetka 13) minijezioro 14) „Rzymskie wakacje” lub „Wakacje pana Hulot” 16) kontynentalne lub do łóżka (w hotelu)

17) króluje na plaży nudyśtów 18) z kurortami Hurghada i Szarm el-Szejk na Riwierze Morza Czerwonego 20) plażościanki 22) metoda podróżowania z piosenki Karin Stanelek 28) ogrodniczki albo rybaczki 30) z Oahu i Maui 31) na molo w Sopocie w środku wakacji 32) „Dziewczyny lubią brąz” 33) znane miejscowości wypoczynkowe oblegane w sezonie 34) ... turystyczny, świadczenie z czasów COVID-u 35) dobre miejsce na agrowczaszy

39) miejscowości wypoczynkowe popularne w lipcu i sierpniu 41) tam latem kwitły „Chabry z poligonu” (AK) 43) mają żytkę do łowienia 45) słodkie wakacyjne „farniente” 46) „promowana” przez Stana Borysa 47) nadbałtyckie kąpielisko na zachód od Jastrzębiej Góry

Pionowo:

2) łodzie – przystanie, auta – ? 3) ruchome – w Słowińskim Parku Narodowym 4) okazywany na granicy 5) wakacyjna ... (przetwa?) 6) Open'er lub Pol'and'Rock

7) „Sen nocy letniej” Szekspira 8) woda w tężni 9) długotrwały deszcz, plucha (oby nie w wakacje!) 10) w czasie wakacji należy o nich zapomnieć 15) podróżowało się po niej palcem, czekając na wakacje (AK) 19) kolejne „porcje” urlopowiczów w ośrodku 21) spędza urlop w miejscowości wypoczynkowej 23) „Amazonka, Wielka Rafa, ... trzy”, w szancie „Gdzie ta keja” 24) wynajmowane letnikom 25) wyspa z Międzyzdrojami i Międzywodziem 26) obramowanie tarasu, punktu widokowego

27) z Maxi Kazem (z piosenki) (AK) 29) Czarny ... Gąsienicowy, w Tatrach 32) bieszczadzkie hale 36) ryby trzymające z linami (obozowicz wie) 37) bez nich podczas spaceru promenadą się nie obejdzie (AK) 38) obowiązkowy ... plażowy malucha: wiaderko, łopatką, grabki 40) lustrzanka albo cyfrowka 42) serwowana w nadbałtyckiej smażalni 43) w bidonie turysty 44) imię wykonawczyni piosenki „Podaruj mi trochę słońca”

Leszek Rydz

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play